

FIRMY DALEJ CHCĄ
ZATRUDNIĆ

HUAWEI NIE RZĄDZI
W BANKACH

*Dlaczego wybory na Ukrainie
są ważne dla Polski*

GAMING PRZED
KRYZYSEM

ZŁOTO ŚWIECI
CORAZ MOCNIEJ

GAZETA BANKOWA

NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

MARZEC 2019 // NR 3/1215 // CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

„*Chcę budować siłę grupy i zostawić
w niej zysk. Dziś pracujemy
w Orlenie z zespołem doświadczonych
i zdeterminowanych ludzi, realizując
strategię narodowego czempiona*”

Prezes PKN ORLEN
DANIEL OBAJTEK

*Interes
narodowy*

TO INTERES
SPÓŁKI



ANDRIJ DESZCZYCIA

ambasador Ukrainy w Polsce

„*Przeprowadzamy zmiany, dokonujemy reform
i oczekujemy, że zostanie to dostrzeżone i docenione*”



ISSN 0860-7613 INDEX 359033





**Ruszając w drogę z AC z opcją
Auto Non Stop w PZU** masz
komfort, jaki daje sprawna pomoc
i auto zastępcze na cały okres
naprawy.

Teraz nowość! Zarejestruj się na portalu moje.pzu.pl i korzystaj z obsługi online.

Umów się z agentem 801 102 102 pzu.pl

Oplata zgodna z taryfą operatora



Informacje o zakresie ubezpieczenia i ograniczeniach odpowiedzialności PZU SA są zawarte w ogólnych warunkach ubezpieczenia PZU Auto dostępnych w Oddziałach PZU i na stronie pzu.pl

REDAKCJA

ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa
tel. (22) 616 36 00
redakcja@gb.pl

REDAKTOR NACZELNY

Maciej WOŚKO mwoosko@gb.pl

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Stanisław KOCZOT

SEKRETARZ REDAKCJI

Krzysztof KOTOWSKI

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Jerzy BIELEWICZ, Robert BOMBAŁA (redaktor wGospodarcę.pl),
Małgorzata DYGAŚ, Lech PIESIK, Anna RACIŃEWSKA, Marek SIUDAJ
(redaktor wGospodarcę.pl), Szymon SZADKOWSKI (redaktor wGospodarcę.pl),
Janusz SZEWCZAK, prof. Grzegorz SZULCZEWSKI, Maksymilian WYSOCKI

RADA PROGRAMOWA

prof. Grażyna Ancyparowicz, członek RPP, SGH; dr Dominik Bierecki, Spółdzielczy Instytut
Naukowy w Sopocie, kancelaria Jedliński, Bierecki i Wspólnicy w Gdyni; prof. Leszek
Dziawgo, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu; prof. Eugeniusz Gatnar, członek RPP,
Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach; prof. Andrzej Gospodarowicz,
Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu; dr hab. Beata Kozłowska-Chyła,
Uniwersytet Warszawski; prof. Alojzy Z. Nowak, Uniwersytet Warszawski;
Zdzisław Sokół, prezes BFG; Henryk Uzdrowski, Grupa Fratria;
prof. Małgorzata Zaleska, SGH, przewodnicząca Komitetu Nauk o Finansach PAN;
prof. Jerzy Żyżyński, członek RPP, Uniwersytet Warszawski

WYDAWCA



Fratria sp. z o.o.
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
www.fratrria.pl

PREZES

Romuald ORZĘT

DRUK

Walstead Kraków Sp. z o.o.

DYREKTOR KREATYWNY

Michał KORSUN mihael.korsun@fratrria.pl

DYREKTOR ARTYSTYCZNY

Maciej BURZYKOWSKI maciej.burzykowski@fratrria.pl

STUDIO GRAFICZNE

Andrzej SKWARCZYŃSKI andrzej.skwarczynski@fratrria.pl
Lidia SŁOWIKOWSKA lidia.slowikowska@fratrria.pl
Maciej MAJTCAK maciej.majtczak@fratrria.pl

FOTOEDYCJA

Anna ŁABĘCKA anna.labecka@fratrria.pl

KOREKTA

Anna WOLF

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA

Joanna MAZUR joanna.mazur@fratrria.pl

DYREKTOR DS. MARKETINGU,
KOMUNIKACJI ORAZ ORGANIZACJI EVENTÓW

Justyna KRUSZEWSKA justyna.kruszewska@fratrria.pl

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU

Katarzyna MARCHEWKA – katarzyna.marchewka@fratrria.pl,
tel. 603 097 503

PATRONATY MEDIALNE

marketing@fratrria.pl

BIURO REKLAMY

e-mail: reklama@fratrria.pl
tel. (22) 616 36 00

PRENUMERATA REDAKCYJNA

prenumerata@fratrria.pl, tel. (22) 616 15 70

Regulamin oraz warunki prenumeraty na stronie www.gb.pl

Wpłaty za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:

nr konta: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Publikacja jest chroniona przepisami prawa autorskiego.
Wydrukowanie kserokopii lub powielanie inną metodą oraz
rozpowiadanie bez zgody wydawcy w całości lub w części
jest zabronione i podlega odpowiedzialności karnej.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych oraz zastrzega prawo redagowania
nadesłanych tekstów. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią materiału pochodzącego od Wydawcy.
Bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Zdjęcia na okładce:

Andrzej Wiktor, Shutterstock, Andrzej Skwarczyński

Dwa lata Plus

Dwa lata to czas, gdy można się przyzwyczaić do pewnych procesów dziejących się w gospodarce na tyle, by traktować je jako niemal stały element polityki ekonomicznej. Stały, zatem także niedostrzegany. A szkoda, bo w przypadku Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju warto co jakiś czas przypominać sobie, że Polska realizuje od dwóch lat niespotykany dotąd plan gospodarczego rozwoju.

Dość niepostrzeżenie w lutym obchodziliśmy rocznicę publikacji SOR, jak w skrócie nazywana jest Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Plan Morawieckiego jest na bieżąco monitorowany, a każdy proces rozpoczynający się w ramach realizacji tej międzyresortowej strategii – nadzorowany szczegółowo m.in. przez radę i biuro monitorowania portfela projektów strategicznych, traktowany jest jak biznesplan. I to właśnie podejście biznesowe, żeby nie powiedzieć korporacyjne, do planów rządu i administracji jest największym atutem SOR, pierwszego od wielu lat planu przełamującego kadencyjną politykę gospodarczą dotychczasowych rządów.

Czy to działa? Dość wymienić wzrost płacy minimalnej, wzrost dochodu rozporządzalnego, najniższy w historii poziom bezrobocia, spadek skrajnego ubóstwa, wzrost wpływów z podatków, rekordowo niski deficyt budżetowy, wzrost PKB i doskonały wynik Polski na tle krajów Unii – to twarde liczby. Do tego można dodać instytucje, do istnienia i działalności których już przywykliśmy: Polski Fundusz Rozwoju, Polska Agencja Inwestycji i Handlu, działalność BGK i PFR Nieruchomości, Rzecznika Małych i Średnich Przedsiębiorców...

Jak podkreślał podczas rocznicowego spotkania w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju prof. Waldemar Paruch, szef rządowego Centrum Analiz Strategicznych, SOR oparty jest na trzech filarach – gospodarczym, politycznym i społecznym. Nie można zatem zapomnieć, rozmawiając na temat strategii, o potężnych programach społecznych realizowanych od dwóch-trzech lat: Rodzina Plus, Mieszkanie Plus, Senior Plus... Tych plusów jest, jak wiemy, znacznie więcej.

Projektowe, „biznesplanowe” podejście do projektów rządowych, również projektów ustaw, zmian legislacyjnych i systemowych pozwala na bardzo staranne mierzenie efektywności podejmowanych działań. Po dwóch latach bilans wychodzi (nomen omen) na plus, co warto odnotować, choćby by odświeżyć pamięć o tym, jak było przed „slajdami” planu Morawieckiego.

Maciej Wośko

MACIEJ WOŚKO

Redaktor naczelny „Gazety Bankowej”





TEMAT NUMERU:

Ukraiński zastrzyk dla polskiej gospodarki

Na stałe w Polsce pracuje już około 900 tys. Ukraińców, sezonowo – w porywach nawet 1,5 mln.

Ukraińcy zaczynają coraz więcej wpłacać do budżetu i do ZUS, choć wciąż niemal połowę zarobków transferują do ojczyzny. Na razie tylko około 10 proc. z nich korzysta z polskich banków, ale to się zmieni, jeśli osiądą u nas na stałe.

str. **6**

WYDARZENIA:

Interes narodowy jest interesem spółki

Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen: Chcę budować siłę grupy i zostawić w niej zysk. Dziś pracujemy w Orlenie z zespołem doświadczonych i zdeterminowanych ludzi, realizując strategię narodowego czempiona.



str. **36**



WYDARZENIA:

Firmy nadal chcą zatrudniać

Polskie przedsiębiorstwa odczuwają coraz większe problemy ze znalezieniem pracowników, a także z rosnącymi kosztami wynagrodzeń. Jednocześnie jednak nadal planują zwiększać zatrudnienie i podnosić płace.

str. **40**

SPIS TREŚCI



WYDARZENIA:

Gaming przed kryzysem

Z jednej strony gaming jest potężniejszy niż kiedykolwiek. Z drugiej – branża funkcjonuje od kryzysu do kryzysu.

str. 62



WYDARZENIA:

Strefa euro

Do strefy euro zapewne w końcu wejdziemy, ale nie wiadomo kiedy. Na razie moment nie jest odpowiedni, toteż formułowanie stanowczych stanowisk nie jest zgodne z polską racją stanu.

str. 66



TECHNO BIZNES:

Mała firma też może się bronić

Nie ma cudownego lekarstwa na cyberzagrożenia. Często wystarczy jednak zastosować praktyki wypracowane przez branżę.

str. 78

FINANSE:

Złoto świeci coraz mocniej

Popyt na złoto stymulowany przez banki centralne i przemysł jest coraz większy. Konkurencja ze strony kryptowalut niemal przestała istnieć.

str. 86



od redakcji 3

temat numeru

Wybory na Ukrainie

Ukraiński zastrzyk dla polskiej gospodarki	6
Geopolityczne puzzle i gospodarcze szachy	12
Rosyjska gra o Ukrainę	16
Kawalkada znad Dniepru	20
Jeszcze dużo do zrobienia	24
Andrij Deszczycia, ambasador Ukrainy w Polsce:	
Wojna zmieniła naszą gospodarkę	28
Złoty jedzie na Ukrainę	33

wydarzenia

Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen: Interes narodowy	
jest interesem spółki	36
Firmy nadal chcą zatrudniać i więcej płacić	40
Huawei nie rządzi w bankach	44
Kredyty mieszkaniowe: koniec żniw	50
Energetyczny atom	58
Gaming przed kryzysem	62
Strefa euro: strategicznie tak, taktycznie – nie	66
Futbol: Jak zatrzymać najlepszych graczy?	68
O gospodarczym patriotyzmie inwestorów	
z zagranicznym kapitałem	73

felietony

Stanisław Koczot: Holenderska choroba	48
Jerzy Bielewicz: Strażnicy przeciw gangsterom	54
Prof. Eugeniusz Gatnar:	
Cyfrowe pieniądze banków centralnych	56
Janusz Szewczak: Tęcza gospodarka	65
Prof. Grzegorz Szulczewski:	
Niski poziom moralności finansowej	94

techno biznes

Mała firma też może się bronić przed hakerami	78
Potęgą drzemąca w danych	82

finanse

Złoto świeci coraz mocniej... ..	86
Folder Finanse	90
Bankowa poleca	91

historia gospodarcza

Kielecki fenomen	96
------------------------	----

kultura

Folder Kultura	106
----------------------	-----

temat numeru

Fakty & Procesy & Prognozy



for. Shutterstock (4)

PIOTR ROSIK

Ukraiński zastrzyk dla polskiej gospodarki

Na stałe w Polsce pracuje już ok. 900 tys. Ukraińców, sezonowo – w porywach – nawet 1,5 mln. Ukraińcy zaczynają coraz więcej wpłacać do budżetu i do ZUS, choć wciąż prawie połowę zarobków transferują do ojczyzny. Na razie tylko ok. 10 proc. z nich korzysta z polskich banków, ale to się zmieni, jeśli osiedlą u nas na stałe

Ogłoszenia „dam pracę” i „wolne pokoje” po ukraińsku. W autobusach i tramwajach język ten słychać coraz częściej. Migracja zarobkowa z Ukrainy do Polski przybrała w ostatnich latach wielkie rozmiary.

Fala ruszyła w 2014 r., po tym, jak Rosja zaanektowała Krym. – Według najnowszego International Migration Outlook 2018, publikowanego corocznie przez OECD, w 2017 r. Polska stała się globalnym liderem, jeśli chodzi o napływ cudzoziemskiej, sezonowej, krótkoterminowej siły roboczej (większym niż Stany Zjednoczone) – piszą autorzy raportu Ośrodka Studiów Wschodnich „Migracje z Ukrainy do Polski. Stabilizacja trendu” (2018). W ubiegłym roku ta fala zaczęła delikatnie wyhamowywać, ale i tak jej rozmiary są wciąż imponujące.

Sezonowo nawet 1,5 mln

Ilu dokładnie Ukraińców przebywa w Polsce, tego nie wiadomo. Według szacunków Narodowego Banku Polskiego (NBP) z ubiegłego roku pod koniec 2017 było ich w naszym kraju ok. 900 tys. W całym 2018 r. powiatowe urzędy pracy wydały 1,42 mln oświadczeń o zamiarze powierzenia pracy obywatelom Ukrainy, co oznacza spadek rok do roku o 17 proc. Obywatele Ukrainy otrzymali w zeszłym roku prawie 900 tys. polskich wiz, o ponad jedną piątą mniej niż rok wcześniej (ale od połowy roku mogli już przekraczać granicę bez tych dokumentów). – Wydaje się, że w sezonie, gdy jest największy popyt na prace tymczasowe w rolnictwie, w Polsce może przebywać co roku nawet do 1,5 mln Ukraińców – mówi „Gazecie Bankowej” prof. Paweł

Kaczmarczyk, dyrektor Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego.

Skalę migracji długoterminowej z Ukrainy do Polski pokazują dane Urzędu ds. Cudzoziemców. Pod koniec 2018 r. prawie 193 tys. obywateli Ukrainy posiadało ważny (aktualny) dokument pobytowy (w tym jednolite zezwolenia na pobyt i pracę, zezwolenia na pobyt czasowy wydane z innych przyczyn oraz zezwolenia na pobyt stały wydawane m.in. ze względu na posiadaną Kartę Polaka).

Zaburzenia statystyki od 2018 r.

Na początku 2018 r. weszły w życie znaczące zmiany w przepisach regulujących zatrudnianie cudzoziemców w Polsce, m.in. zawężona została kategoria prac, które można wykonywać na podstawie oświadczenia o zamiarze zatrudnienia cudzoziemca; zaczęto pobierać opłaty urzędowe za wydawanie tych oświadczeń; pojawił się nowy typ zezwolenia na pracę (sezonowe dziękuję miesięczne). Te zmiany sprawiają, że porównywanie danych z 2018 r. z danymi z lat wcześniejszych staje się utrudnione.

Polska wysysa miasta zachodniej Ukrainy

Ukraińcy przybywają do Polski głównie z trzech powodów: w poszukiwaniu pracy, z uwagi na to, że członkowie ich rodzin już tu są, albo na studia. Zdecydowana większość z nich przyznaje, że główną przyczyną opuszczenia ojczyzny są niskie zarobki (twierdzi tak 74 proc. badanych) oraz niestabilność polityczna (25 proc.)

i wszechobecna korupcja (21 proc.) – wynika z raportu „Ukraińcy na polskim rynku pracy” opublikowanego w 2018 r. przez agencję pośrednictwa pracy EWL.

Z których części Ukrainy przybywa do Polski najwięcej osób? Głównie z zachodniej (ok. 74 proc. migracji), bo duże znaczenie ma bliskość geograficzna. Ale w ostatnim czasie rośnie liczba emigrantów z centralnej części kraju (ok. 25 proc.). Migranci ze wschodniej Ukrainy (Donbas) stanowią ledwie ok. 1 proc. przybywających. Zdecydowana większość migrantów to mieszkańcy miast. Tak wynika z badania Państwowego Komitetu Statystycznego Ukrainy, którego wyniki zostały opublikowane w 2018 r.

Jeszcze kilka lat temu Ukraińcy osiedlali się niemal wyłącznie w dużych polskich miastach, głównie w Warszawie, Krakowie i Poznaniu. Obecnie sytuacja się zmienia. – Migracja z Ukrainy rozlewa się po całej Polsce, nawet po małych miastach. Co ciekawe, relatywnie dużo jest ich np. w województwie warmińsko-mazurskim – wskazuje prof. Kaczmarczyk.

Głównie na budowie albo w sklepie

Ukraińcy trafiają przede wszystkim do firm z sektora przemysłu, budownictwa i usług. Wypełniają głównie wakaty, które nie wymagają wielkich umiejętności ani wielotygodniowych szkoleń, czyli wykonują proste prace niewymagające kwalifikacji. Z danych serwisu OLX wynika, że pracodawcy najchętniej zatrudniają ludzi z Ukrainy na budowach, w gastronomii, jako kierowców lub kurierów, rzadziej na stanowiskach w firmach produkcyjnych.

”

Prawie 40 proc. Ukraińców przybywających do Polski ma wykształcenie wyższe, tymczasem pracują na budowie albo jako kasjerzy w sklepach

Na wykonywanie których profesji wydawano najczęściej zezwolenia na pracę dla Ukraińców w 2018 r.? Lwia część przybyszów zza południowo-wschodniej granicy znalazła zatrudnienie jako pracownicy wykonujący prace proste, robotnicy przemysłowi i rzemieślnicy oraz operatorzy maszyn i urządzeń.

Prof. Kaczmarczyk wskazuje, że olbrzymia większość Ukraińców pracuje znacznie poniżej swoich kwalifikacji. – Prawie 40 proc. tych ludzi przybywających do Polski ma wykształcenie wyższe, tymczasem pra-

cują na budowie albo jako kasjerzy w sklepie. Również związek między dawniej wykonywaną przez nich pracą na Ukrainie a obecną w Polsce jest dość luźny – mówi szef Ośrodka Badań nad Migracjami UW.

Według prof. Kaczmarczyka obecnie pojawiają się nowe trendy na rynku pracy dla Ukraińców. Coraz więcej przybyszów ze Wschodu pracuje w hotelarstwie i gastronomii, a coraz mniej w rolnictwie. – Widać tendencję do coraz większego przesuwania się grup pracowników z Ukrainy do sektora handlowego czy usługowego. O ile jeszcze kilka lat temu pracownicy z Ukrainy wykonywali przede wszystkim proste prace fizyczne, o tyle dzisiaj coraz częściej pracują w sklepach, restauracjach, hotelach i innych punktach usługowych – potwierdza Jakub Bińkowski, ekspert Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

Co ciekawe, według raportu firmy EWL jedynie ok. 26 proc. Ukraińców przyznaje, że pracowało kiedykolwiek w Polsce „na czarno” (bez podpisanej umowy). Z drugiej strony 23 proc. badanych przyznało, że skorzystałoby z oferty pracy „na czarno”, gdyby to oznaczało znaczną podwyżkę wynagrodzenia.

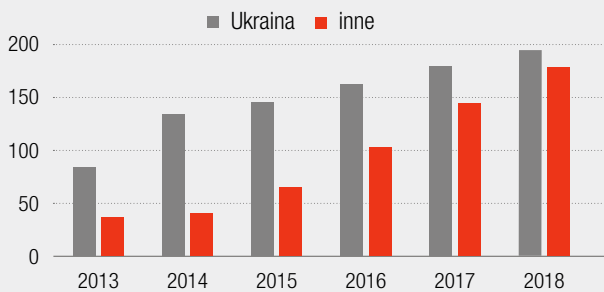
Prawie 14 mld zł popłynęło na Ukrainę w 2018 r.

Ukraińcy zarabiają w Polsce średnio 2 100 zł na rękę. Jaką część wynagrodzenia transferują do ojczyzny? Dokładnie nie wiadomo, ale zapewne ok. 40 proc., bo na zaspokojenie podstawowych potrzeb przeznaczają średnio 34 proc. – wynika z szacunków NBP. Wysokość transferu pieniężnego wykonywanego przez Ukraińca najczęściej waha się między 500 a 2 000 zł. „Z analizy wyników dotyczących częstotliwości przekazów rysuje się model transferowania, według którego migranci najczęściej odkładają część zarobionych środków i przekazują je do rodziny co dwa-trzy miesiące. Z taką częstotliwością transferów dokonuje aż 46,9 proc. w aglomeracji warszawskiej i 29 proc. w aglomeracji lubelskiej” – czytamy w raporcie NBP „Obywatele Ukrainy pracujący w Polsce” (kwiecień 2018).

W pierwszych trzech kwartałach 2018 r. transfery z Polski pracujących emigrantów ukraińskich sięgnęły ok. 9,9 mld zł, czyli o 15 proc. więcej niż w analogicznym okresie 2017 r. Stanowiły one ok. 92 proc. wszystkich środków transferowanych przez cudzoziemców z naszego kraju. W całym roku 2017 pracownicy z Ukrainy przekazali do swojego kraju prawie 11,7 mld zł, w 2018 r. ta suma mogła sięgnąć co najmniej 13,6 mld zł – wynika z danych NBP.

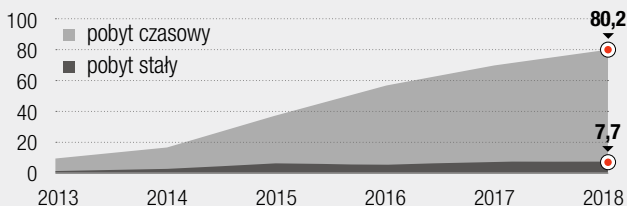
Problem w tym, że transfery międzynarodowe ujmowane w statystykach NBP to takie, które przechodzą przez banki komercyjne lub wyspecjalizowane firmy finansowe, mające odpowiednie licencje. Tymczasem Ukraińcy swoje zarobki często wywożą za wschodnią granicę osobiście, w tzw. skarpecie. „Analiza sposobu

Liczba cudzoziemców posiadających ważny (aktualny) dokument pobytowy w RP (na koniec roku, w tys.)



Źródło: Urząd ds. Cudzoziemców

Legalizacja pobytu obywateli Ukrainy w RP - decyzje pozytywne (w tys.)



Źródło: Urząd ds. Cudzoziemców

W jakich zawodach pracują Ukraińcy w Polsce?* (w tys.)

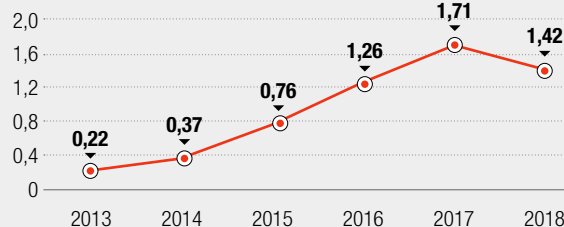


Źródło: MRPiPS

*Liczba wydanych zezwoleń na pracę w I półroczu 2018

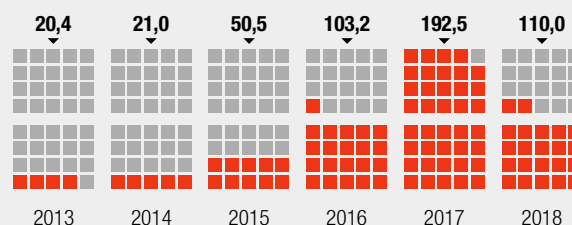


Liczba oświadczeń o zamiarze powierzenia pracy wydanych obywatelom Ukrainy (w mln)



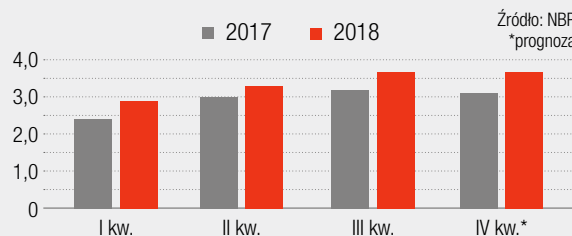
Źródło: Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

Liczba zezwoleń na pracę wydanych obywatelom Ukrainy (w tys.)



Źródło: Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

Wartość transferów pieniężnych z Polski wykonanych przez pracujących ukraińskich emigrantów (w mld zł)



Źródło: NBP
*progniza

transferowania środków wskazuje, że Ukraińcy najczęściej zawożą je rodzinie osobiście (odpowiednio w Lublinie 66,1 proc. i w Warszawie – 61,8 proc.). Osobiste przekazywanie zarobków świadczy o cyrkulacyjnym modelu

migracji, w którym kontakty z rodziną odgrywają istotne znaczenie” – czytamy w raporcie NBP. Tylko ok. 39 proc. ukraińskich migrantów korzysta z przekazów pieniężnych lub przelewów bankowych – wynika z raportu

firmy EWL. To oznacza, że dane NBP o transferach pieniężnych do Ukrainy pokazują tylko pewien wycinek zjawiska, a jak duży – nie do końca wiadomo.

W opinii prof. Pawła Strzeleckiego z Instytutu Statystyki i Demografii Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie (SGH) wysokość transferów pieniężnych na Ukrainę w przyszłości może się zmniejszać, bo charakter migracji prawdopodobnie zmieni się z cyrkulacyjnej na osiedleńczą. Mówiąc prościej: Ukraińcy przestaną krążyć między Polską a ojczyzną i po prostu zamieszkają u nas na stałe. – Gdy migracja staje się długoterminowa, częstość i skala przekazów spada. Migranci ściągają rodziny lub je zakładają. Słabną ich związki z krajem pochodzenia. Takie przemiany można zaobserwować wśród imigrantów z Polski w krajach Europy Zachodniej i prawdopodobnie tak będzie się działo z Ukraińcami w Polsce. Jeśli zostaną na dłużej, coraz mniej pieniędzy zarobionych w Polsce będą wysyłać do ojczyzny, a coraz więcej będą inwestować i konsumować w Polsce – prognozuje prof. Strzelecki.

Co 10. Ukrainiec korzysta z polskich banków

Osiedlanie się Ukraińców w Polsce będzie się wiązało zapewne z coraz większym ich ubankowaniem. Obecnie tylko ok. 10 proc. z nich korzysta z usług bankowych oferowanych przez polskie banki – wynika z informacji Pekao. Mimo to i tak stanowią oni najliczniejszą grupę (311 tys.) wśród obcokrajowców (488 tys.) korzystających z usług bankowych w Polsce – to z kolei dane PR News i GUS na koniec I kwartału 2018 r.

Niemal co czwarty (22,5 proc.) obywatel Ukrainy korzystający z usług bankowych w Polsce jest klientem Banku Pekao, który oferuje m.in. darmowe przelewy do ojczyzny i bankowość mobilną PeoPay po ukraińsku. O tę grupę docelową z Pekao rywalizują m.in. Bank BGŻ BNP Paribas (oferuje np. bezpłatne wypłaty z bankomatów grupy BNP Paribas na Ukrainie), Nest Bank (koszt przelewu internetowego to ledwie 15 zł) czy Alior Bank (0 zł opłaty za wypłatę z bankomatu na Ukrainie). – Obserwujemy coraz większe zainteresowanie naszą ofertą ze strony obywateli Ukrainy. Odnotowujemy wzrost tej grupy klientów. Głównym produktem, z którego korzystają, jest konto osobiste i przypisana do niego karta płatnicza – mówi Kamila Nowak, menedżer ds. PR w Alior Banku.

Ukraińcy zasilają ZUS...

Coraz więcej Ukraińców pracuje w Polsce legalnie. Zasilają pieniędzmi nie tylko budżety swoich rodzin na Ukrainie, lecz również budżet RP podatkami, a Zakład Ubezpieczeń Społecznych (ZUS) – składkami.

Najnowsze dane ZUS mówią o 569 tys. zarejestrowanych pracownikach – cudzoziemcach. Z tego prawie

425 tys. to obywatele Ukrainy, którzy przeważnie pracują na umowę o pracę (225 tys.). Co ciekawe, już ok. 4 tys. Ukraińców prowadzi pozarolniczą działalność gospodarczą. Według szacunków ZUS Ukraińcy odprawiali do urzędu w 2018 r. niemal 4 mld zł składek, co stanowiło 2,4 proc. wpływów składkowych.

Czy ZUS może wypłacać Ukraińcom emerytury za okresy przepracowane w ich ojczyźnie?

ZUS nie może wypłacać z polskiego systemu ubezpieczeń społecznych emerytur za okresy ubezpieczenia czy zatrudnienia, które zostały wypracowane na Ukrainie. Polskie emerytury mogą być przyznane i wypłacane przez ZUS wyłącznie za okresy ubezpieczenia przebyte na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej (dokładnie: za okresy składkowania do polskiego systemu ubezpieczenia emerytalnego). Jest to zgodne z zasadą, że każde państwo wypłaca świadczenia emerytalne za okresy ubezpieczenia przebyte zgodnie z przepisami tego państwa (czyli jedna osoba może uzyskać emeryturę z dwóch systemów). Idąc dalej, by obywatel Ukrainy miał prawo do polskiej emerytury, musi ukończyć wiek emerytalny i posiadać minimalny staż ubezpieczeniowy lub wymagalne okresy ubezpieczenia oraz spełnić wszelkie inne warunki, jakie wynikają z polskich przepisów.

... i zwiększają tempo wzrostu PKB

Ekonomiści nie mają wątpliwości, że napływ migrantów z Ukrainy ma pozytywny wpływ na polską gospodarkę, a nawet podbija tempo wzrostu polskiego PKB. Różnią się jedynie w ocenie skali tego zjawiska. Na przykład zdaniem dr. Jakuba Borowskiego, głównego ekonomisty banku Credit Agricole, w 2018 r. PKB Polski urósł dzięki Ukraińcom o ok. 0,4 proc. bardziej, niż gdyby ich nie było (tempo wzrostu wyniosło 5,1 proc.).

Gdyby nie Ukraińcy, populacja Polski w wieku produkcyjnym już by wyraźnie spadała, a jest stabilna – zwraca uwagę prof. Paweł Strzelecki. – Ponadto dzięki tej migracji liczba pracujących wzrasta szybciej, o 0,7–0,8 p.p. w 2016 i 2017 r. Jeśli uznać, że pracownicy z Ukrainy byli identyczni z Polakami, wówczas bardzo zgrabnie mogłoby się to przełożyć na ok. 0,5 p.p. dodatkowego wzrostu PKB – szacuje prof. Strzelecki. – Oczywiście pracownicy z Ukrainy pracują częściej w mniej produktywnych zawodach, co obniża ich możliwy wkład do PKB. Z drugiej strony badania NBP wskazują, że pracują przeciętnie więcej godzin w tygodniu od Polaków, bo chcą jak najwięcej przekazywać do rodziny w ojczyźnie. Trudno zatem jednoznacznie oszacować wpływ Ukraińców na polską gospodarkę – dodaje.

Obecność w Polsce imigrantów zarobkowych z Ukrainy zapewnia płynność naszemu rynkowi pracy – uważa Jakub Bińkowski. – Wbrew tezę stawianą przez nie-

których komentatorów nie odnotowujemy w związku ze zwiększonym wolumenem imigracji spadku wynagrodzeń. Ukraińcy umożliwiają przedsiębiorcom w wielu branżach prowadzenie i rozwijanie działalności. Niedostateczna podaż pracy na polskim rynku mogła doprowadzić do gwałtownego zastoju, szczególnie w przemyśle i usługach. Nie stało się tak w dużej mierze dzięki Ukraińcom – podkreśla Bińkowski.

Prof. Kaczmarczyk obawia się jednak, że polskie firmy za bardzo przyzwyczyły się do łatwego dostępu do dobrej i relatywnie taniej siły roboczej. – Rodzime przedsiębiorstwa zaczęły uzależniać swoje długofalowe strategie rozwoju od tego zjawiska, a to niebezpieczne postępowanie. Poza tym nie zagospodarowują we właściwy sposób potencjału tej siły roboczej. Prawie połowa obywateli Ukrainy pracujących w Polsce ma wyższe wykształcenie, a niemal wszyscy pracują na stanowiskach poniżej kwalifikacji – ostrzega naukowiec z UW.

Czy Niemcy zabiorą nam Ukraińców

Niektórzy eksperci straszą, że Polska może być tylko przystankiem dla Ukraińców w drodze na Zachód. W listopadzie 2018 r. Związek Przedsiębiorców i Pracodawców opublikował memorandum pt. „Realizacja czarnego scenariusza – czy Polska straci pracowników z Ukrainy na rzecz Niemiec”, w którym „straszył”, że w ciągu kilku lat z Polski może wyjechać kilkaset tysięcy Ukraińców, z uwagi na niewłaściwą politykę migracyjną polskiego rządu i udogodnień na rynku niemieckim.

Z punktu widzenia rynku pracy obecność pracowników z Ukrainy jest dla nas zbawienna – potwierdza Jakub Bińkowski, ekspert ZPP. – Dla gospodarki kluczowe jest mądre zagospodarowanie tej imigracji. Jeśli tego nie zrobimy, to w rezultacie rosnących kosztów pracy wzrosną również ceny towarów i usług – wskazuje Bińkowski.

”

Niedostateczna podaż pracy na polskim rynku mogła doprowadzić do gwałtownego zastoju, szczególnie w przemyśle i usługach. Nie stało się tak w dużej mierze dzięki Ukraińcom

Dokąd Ukraińcy mogą chcieć uciec? Z raportu EWL wynika, że rozważając pracę poza granicami swojej ojczyzny, najczęściej myślą o Polsce, Niemczech i Czechach. Zdaniem prof. Strzeleckiego zarobki w Niemczech mogą stanowić argument dla stopniowego przenoszenia się części imigrantów ukraińskich z Polski do Niemiec. – Dobrze przypomnieć sobie, jak było z otwarciem niemieckiego rynku pracy dla Polaków w 2011 r. Z czasem wyemigrowało z naszego kraju za Odrę dodatkowo ponad 200 tys. ludzi. Płace w Polsce jeszcze długo nie dobiły do poziomu płac w Niemczech – mówi naukowiec z SGH.

Prof. Kaczmarczyk nie obawia się jednak znaczącego odpływu Ukraińców: – To prawda, że polityka migracyjna krajów Zachodu w stosunku do ludzi z Europy Wschodniej poprawia się znacząco w ostatnim czasie. Badacze ukraińscy w swoich raportach wskazują jednak, że ich rodacy bardzo cenią sobie bliskość geograficzną, językową i kulturową Polski. Poza tym ważne są też koszty migracji, w końcu do Polski łatwiej, taniej i szybciej dotrzeć niż do Niemiec czy Francji. Sądzę więc, że w ciągu najbliższych pięciu lat nie powinniśmy obserwować jakiegos znaczącego odpływu Ukraińców z Polski na Zachód.



for: Shutterstock

31 marca na Ukrainie odbędzie się pierwsza tura wyborów prezydenckich. Choć zarejestrowano aż 44 kandydatów, to według sondaży jedynie troje z nich ma realne szanse wejść do drugiej tury: urzędujący prezydent Petro Poroszenko, była premier i założycielka oraz liderka partii Batkiwszczyna (Ojczyzna) Julia Tymoszenko, a także Wołodymyr Zelenski, popularny satyryk i aktor wspierany przez mieszkającego na stałe w Szwajcarii oligarchę Ihora Kołomojskiego, prezesa Kongresu Zjednoczonej Wspólnoty Żydowskiej Ukrainy



Petro Poroszenko
objął swój urząd po
tragicznych wydarzeniach
na kijowskim Majdanie

RYSZARD CZARNECKI, JERZY BIELEWICZ

Geopolityczne puzzle i gospodarcze szachy

Brytyjski „The Independent” bezlitośnie określił tę sytuację w artykule zatytułowanym „From tragedy to farse: Ukraine heads to the polls” („Od tragedii do farsy: Ukraina idzie na wybory”), konkludując, że nadchodzące wybory mogą przynieść zupełnie niewyobrażalny gdzie indziej wynik, bo przecież trudno poważnie brać pod uwagę, by np. w Polsce prezydentem miał zostać Janusz Rewiński...

„Boh trojcu lubit”...

Według niektórych komentatorów intryga pisana na Kremlu przez Władimira Putina obsadza w roli przegranego w tych wyborach Petra Poroszenkę, który objął swój urząd po tragicznych wydarzeniach na kijowskim Majdanie i ucieczce swojego poprzednika Wiktora Janukowycza do Rosji. I rzeczywiście, z całej tej trójki kandydatów najbardziej kłuje Moskwę w oczy urzędujący prezydent, mimo że oligarcha Poroszenko wciąż



Julia Tymoszenko i Wołodymyr Zełenski są najpoważniejszymi rywalami urzędującego prezydenta

posiada fabryki słodczy swojej firmy Roszen zlokalizowane w... Rosji. Ukraina Poroszenki przeciwstawiła się bowiem agresji militarnej Rosji, wzmocniła armię i sektor obronny, wyprowadziła gospodarkę z głębokiej recesji, stabilizując ją przy wzroście PKB na poziomie 3,5 proc. przez ostatnie dwa lata, pobudziła inwestycje zagraniczne, dążąc do integracji z Zachodem, a ostatnio doprowadziła nawet do uniezależnienia lokalnej Cerkwi od zwierzchnictwa patriarchatu moskiewskiego.

Julia Tymoszenko niesie w swym bagażu politycznym kontrowersyjne dla wielu działania i decyzje. Po pierwsze, jako premier rządu doprowadziła przed laty do podpisania z Rosją niekorzystnej dla Ukrainy, a wciąż obowiązującej, umowy na dostawę gazu naturalnego. Po drugie, podczas wspólnej konferencji prasowej w Moskwie z przywódcą Rosji nie stanęła w obronie ówczesnego prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczenki zaatakowanego w sposób niezwykle obraźliwy przez Władimira Putina. Ówczesny premier, a obecny prezydent, określił Juszczenkę słowem „wor”, co po rosyjsku znaczy „złodziej”. Wiele ukraińskich komentatorów uważa, że tak czyniąc, Tymoszenko postawiła własny interes polityczny ponad interes oraz powagę własnego kraju. To fakt, który trudno nawet po latach pominąć milczeniem.

Wołodymyr Zełenski, popularny aktor i satyryk, nie mówi rzeczy kontrowersyjnych, piętnuje korupcję i kusi świeżością w porównaniu ze starymi wyjadaczami sceny politycznej. Ma jednak zasadniczą wadę – jego związki z rywalizującym z Poroszenką oligarchą Ihorem Kołomojskim mogą oznaczać, że w razie zwycięstwa doprowadzi do zamiany jednego układu oligarchicznego na drugi układ oligarchiczny. Kraj i jego regiony mogłyby w takim scenariuszu stać się ponownie żetonami w rozgrywce o wpływy i władzę grup powiązanych z lokalnymi baronami, a zatem i ten scenariusz należy określić jako młyn na wodę Rosji. Taka sytuacja mogłaby skutkować słabą, bezwolną, skonfliktowaną i skorumpowaną Ukrainą, siłą rzeczy podporządkowaną woli „pana na Kremlu”. Dlatego USA i UE wołają wspierać prezydenta Petra Poroszenkę mimo wielu zastrzeżeń dotyczących korupcji w kraju i zbyt wolno postępujących reform w gospodarce, wymiarze sprawiedliwości i samorządach.

Polski punkt widzenia

Niestety na relacjach Polski z Ukrainą ciążyą zmo-ry przeszłości. Kwestia ekshumacji ofiar, ale też brak

fol. AP Photo/Efrem Lukatsky (2x); Shutterstock (2x)

potępienia zbrodni wołyńskiej przez stronę ukraińską kładą się cieniem także na rozmowach o zacieśnieniu współpracy gospodarczej. Do tego należy dodać incydenty dość niefortunnych, jeśli nie skandalicznych, wypowiedzi niektórych polityków w 2014 r.

Ukraińcy nie zapomnieli wizyty ministra spraw zagranicznych rządu PO-PSL Radosława Sikorskiego w ostatnich dniach Majdanu. Na spotkaniu z liderami ówczesnej opozycji wypowiedział słynne słowa: „Albo poprzecie porozumienie [z prezydentem Janukowyczem i de facto Rosją – przyp. aut.], albo będziecie mieli stan wojenny, armię. I wszyscy będziecie martwi”. Po kilkudziesięciu godzinach owi politycy – kandydaci na martwych – objeli w Kijowie władzę. Prezydent Bronisław Komorowski z kolei miał szczególnie bliskie relacje z prorosyjskim prezydentem Wiktorem Janukowyczem (obecnie w Rosji). W ciągu czterech lat prezydentury Janukowycza panowie spotkali się prawie 30 razy, co pomijając przerwy wakacyjne, daje średnią niemal raz w miesiącu! Jakże snuli plany dla Polski i Ukrainy, nie wiemy, choć z pewnością szybszej integracji Ukrainy z Zachodem to nie pomogło.

”

Polska wspiera dążenia Ukrainy i robi wiele, by transformacja tego kraju zakończyła się sukcesem

Polska, zgodnie z przestrogą śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego z pamiętnego wiecu w Tbilisi: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, a później może i czas na mój kraj, na Polskę!”, jest i będzie zainteresowana realnie niepodległą Ukrainą niezależną od wpływów Rosji. Polska wspiera dążenia Ukrainy i robi wiele, by transformacja tego kraju zakończyła się sukcesem. Przede wszystkim otworzyliśmy szeroko granice na przybyszów z Ukrainy, dając im schronienie, stabilizację i godną pracę. Według szacunków transfery finansowe z Polski na Ukrainę przekraczają obecnie 3 mld euro w skali roku! Z drugiej strony pracownicy zza naszej wschodniej granicy wspierają swym wysiłkiem również polski system ubezpieczeń społecznych, przyczyniając się w jakiejś mierze do dynamicznego i rekordowego wzrostu PKB na poziomie ponad 5 proc. w skali roku przy zmniejszającym się zadłużeniu publicznym. Ukraina liczy na finansowanie z Polski wspólnych projektów infrastrukturalnych, takich jak gazociągi i ropociągi, korytarze transportowe, połączenia kolejowe, czyli przedsięwzięcia, które zwiększają możliwości wzajemnej wymiany handlowej i napędzą wzrost gospodarczy w obu krajach. Do kluczowych należy choćby korytarz transportowy (droga, kolej, telekomunikacja, nośniki energii)

Gdańsk–Lwów–Odessa, który w swych planach już teraz uwzględniają rządy w Kijowie i Warszawie. Jak wynika z ogłoszonych przez stronę ukraińską planów, droga szybkiego ruchu ze Lwowa do Odessy ma być gotowa do 2024/2025 r. Jednocześnie Ukraina wyraża swe zainteresowanie i chęć udziału w projekcie Trójmorza jako kraj współpracujący, co może stanowić właściwy krok w kierunku przyszłej przynależności do UE. Każdy kolejny rok Ukrainy zwróconej na Zachód, a nie na Wschód zwiększa możliwości naszej współpracy i polskiej pomocy politycznej dla Kijowa. Ukraina, otwierając się na wpływy i inwestycje zarówno z Polski, innych krajów Unii Europejskiej, jak i USA, dokonuje swoistej westernizacji państwa. To, czy będzie ona kontynuowana, zależy także od wyników wyborów, które odbędą się 31 marca.

Kijów piłką w grze mocarstw?

Ukraina po 2014 r. gra dość konsekwentnie na USA, jednocześnie starając się pozyskiwać wsparcie UE i jej głównych rozgrywających: Niemiec i Francji. Nieprzypadkowo oba te państwa współtworzą tzw. format normandzki, a więc wspólnie z... Rosją współdecydują o losach Kijowa. Pytanie: na ile dla tradycyjnie otwartych na rosyjskie argumenty i wpływy dwóch największych państw Unii nowa Ukraina jest samodzielnym punktem odniesienia, a na ile pochodną ich relacji z Moskwą i jednocześnie zakładnikiem tychże stosunków?

Pytania można mnożyć. Czy kształt unijnej dyktawy gazowej, forsowanej przez Komisję Europejską pod dyktando Niemiec przy wsparciu Francji, niekorzystny dla Polski i krajów bałtyckich (w jakiejś mierze także skandynawskich) nie szkodzi przede wszystkim Ukrainie? Berlin krytykujący Waszyngton za negocjacje z Polską w sprawie stałych baz wojskowych pokazuje przecież, że choć jest historycznie adresatem ukraińskich ambicji suwerennościowych, to jednocześnie przywiązuje szczególną wagę do „status quo” w relacjach z Moskwą. To zła wiadomość dla Kijowa. Czy wynik wyborów prezydenckich zmieni kierunek, w jakim podąża od kilku lat Ukraina? Niekoniecznie.

Jednocześnie na podstawie deklaracji polskich polityków i prowadzonej przez rząd rozsądnej polityki wobec naszego wschodniego sąsiada trzeba powiedzieć, że Rzeczpospolita będzie współpracować z każdym prezydentem Ukrainy i każdym rządem w Kijowie wybranym w demokratycznych wyborach.

W 2019 r. na Ukrainie odbędą się nie tylko wybory prezydenckie. Jesienią Ukraińcy będą wybierali nowy skład Rady Najwyższej, czyli jednoizbowego parlamentu liczącego 450 deputowanych. Trzeba mieć świadomość, że geopolityczne położenie Ukrainy to układanie skomplikowanego wzoru z pomieszanych puzzli, a gospodarcza współpraca tego kraju ze światem przypomina raczej szachowy mecz, w którym partnerzy przesiadają się to na jedną, to na drugą stronę. ●



Niezależność w zasięgu Twojego biznesu

Wybierając PRODUKTY GIEŁDOWE od TAURONA, zyskujesz swobodę w kontrolowaniu ceny energii przy jednoczesnej ochronie przed podwyżkami.

MAREK BUDZISZ

Rosyjska gra o Ukrainę

Ukraińską gospodarką rządzą oligarchowie. Ale to tylko część prawdy, bo przede wszystkim rządzi nią polityka. W roku dwóch kampanii wyborczych – obecnej prezydenckiej i jesiennej parlamentarnej – trudno zapomnieć o wpływie wyborczych kalkulacji na podejmowane w Kijowie decyzje



Uzgodniony przez Kijów z MFW program stabilizacyjny przewiduje m.in. prywatyzację zasobów ziemi rolnej na Ukrainie, co budzi ogromne społeczne emocje i opór

fol. Shutterstock

Uzgodniony przez Ukrainę z Międzynarodowym Funduszem Walutowym (IMF) program stabilizacyjny, którego wypełnienie jest warunkiem kontynuowania pomocy i uniknięcia niewypłacalności kraju, realizowany jest przez rząd powoli i z ociąganiem. Program przewiduje tak niepopularne posunięcia jak zaostrzenie polityki przyznawania rent i emerytur, podniesienie cen gazu dla ludności, przyjęcie przez rząd budżetu z deficytem niższym niż 2,3 proc. PKB oraz ustanowienie budżącego

zaufanie sądu antykorupcyjnego i zgodę na prywatyzację ziemi.

Tymoszenko na wojnie z IMF

O ile obóz prezydencki trudno uznać za prymusa we wdrażaniu reform, o tyle jego najpoważniejsi konkurenci są ich otwartymi przeciwnikami. Julia Tymoszenko, jeden z najpoważniejszych kandydatów z widokami na sukces w wyborach prezydenckich, prowadzi swą kampanię wyborczą pod hasłami walki z antynarodo-

”

Gospodarka Ukrainy powiązana jest z Rosją wieloma – często dość niejasnymi i podejrzanymi – nićmi

wym dyktatem IMF i Banku Światowego. Rozpoczętą przez władze reformę systemu emerytalnego określiła mianem „cynicznej i brutalnej”, której celem jest „oszukanie” Ukraińców. W miejsce polityki zaciskania pasa i redukcji deficytu budżetowego zaproponowała podniesienie emerytur do poziomu minimum 100 euro miesięcznie (dziś średnio wynoszą one 42 euro). Podniesienie cen gazu ziemnego określiła „ludobójstwem” na Ukraińcach. W podobnym kierunku idą jej propozycje zmniejszenia obciążeń podatkowych osób fizycznych i skupienie się na opodatkowaniu firm. W sytuacji niewydolności państwowego systemu poboru podatków taka operacja może się skończyć tylko na pierwszej części planu. Obserwatorzy ukraińskiej sceny politycznej zwracają uwagę na to, że w ciągu ostatnich czterech lat w Radzie Najwyższej Tymoszenko najczęściej głosowała przeciw rządowym propozycjom reform. W skonstruowanym przez niezależny ośrodek badawczy Vox Ukraine „indeksie wsparcia reform” zajęła ona 330. miejsce (na 423 deputowanych).

Walka o ziemię

To, jak trudno na Ukrainie wdrażać zmiany, najlepiej widać na przykładzie publicznej debaty w kwestii nadal obowiązującego moratorium na sprzedaż gruntów rolnych. Batkiwyszczyna byłej premier Julii Tymoszenko opowiadała się za jego przedłużeniem o kolejny rok, a frakcja prezydencka w większości chciała zniesienia ograniczeń. Kwestia ta budzi na Ukrainie ogromne emocje, czemu nie ma co się dziwić. Z jednej strony zniesienie ograniczeń na sprzedaż ziemi jest jednym z warunków, które już kilka lat temu sformułował IMF i Bank Światowy, dalszego udzielania Ukrainie wsparcia. Z drugiej Julia Tymoszenko argumentuje, że opowiedzenie się obozu prezydenckiego za uwolnieniem obrotu ziemią, czemu sprzeciwia się większość wyborców, nie jest wcale spowodowane chęcią wprowadzania zmian, ale tym, że wspierający Poroszenkę oligarchowie i on sam (jego rodzina jest właścicielem jednego z największych ukraińskich holdingów rolnych) chcą wraz ze zniesieniem ograniczeń korzystnie sprzedać zachodniemu kapitałowi to, co bezprawnie najczęściej przejęli. W efekcie długich uzgodnień i ucierania stanowisk przyjęto rozwiązanie salomonowe – moratorium przedłużono o rok, ale rząd ma czas do końca marca, aby przygotować i przedłożyć w parlamencie projekt ustawy regulującej obrót ziemią. Najprawdopodobniej do wyborów do Rady Najwyższej nowa ustawa nie zostanie uchwalona i ten, kto wygra, będzie mógł w tej sprawie postawić kropkę nad i. Zdaniem obserwatorów ukraińskiego życia gospodarczego to jedna z kluczowych dla przyszłości kraju spraw. Bez przeforsowania ustawy nie ma co liczyć na większy napływ bezpośrednich inwestycji zagranicznych, które od kilku lat pozostają na niskim poziomie.

Reforma systemu władania ziemią rolną jest regu-larnie odkładana w czasie, mimo że według ostatnich ujawnionych informacji grunty rolne, będące własnością komunalną lub państwa, przynoszą nieporównanie mniejsze dochody niż będące w rękach prywatnych. Według oficjalnych danych własnością publiczną jest nadal ok. 10 mln ha ziemi na Ukrainie (25 proc. całości), z czego na użytki rolne przypada nie mniej niż 8 mln ha (dla porównania Niemcy mają 16 mln ha gruntów ornych, a Polska ma ok. 14 mln ha). Ukraińskiemu Ministerstwu Rolnictwa podlega 470 tys. ha. Dodatkowe 550 tys. ha ma w swym zasobie Ukraińska Narodowa Akademia Nauk Rolnych. Z oficjalnych danych wynika, że formalnie z zasobu publicznego wydzierżawiono ok. 1,4 mln ha gruntów, w urzędowym katastrze ziemi znajdują się informacje o 20 proc. ukraińskich ziem rolnych. Kto władza pozostałymi ziemiami, na jakiej podstawie, komu i czy w ogóle komukolwiek płaci – nie wiadomo. Ale nawet z częściowych danych wynika, że rentowność ziemi, na której gospodarują dzierżawcy, jest znakomicie niższa, niżli będącej prywatną własnością. O ile ci pierwsi mają 2 tys. hrywien zysku z hektara (ok. 65 euro), o tyle prywatne firmy wypracowują 9 tys. hrywien (ok. 310 euro). Dla porównania w Polsce dochód z 1 ha ziemi kształtuje się na poziomie 790 euro, w Niemczech – 900.

Skandal w energetyce

Bez zagranicznych inwestycji w rolnictwie i sektorze przetwórczym Ukraina, mimo wielkich możliwości, nie stanie się „spizarnią Unii Europejskiej”, zresztą kwestia ściągnięcia inwestorów skłonnych zainwestować w modernizację ukraińskich przedsiębiorstw dotyczy całej gospodarki. A te nie napływają. W ubiegłym roku, według oficjalnych danych, zagraniczne podmioty zainwestowały bezpośrednio w ukraińską gospodarkę 2,4 mld dol., co jest kwotą o 7,7 proc. mniejszą niżli rok wcześniej.

Warto w tym kontekście przypomnieć, że Ukraina, będąca dziś jednym z najbiedniejszych europejskich krajów, w latach 2014–2015 przeżywała bardzo ostry kryzys gospodarczy. Jej PKB spadł wówczas o 17 proc., w IV kwartale 2016 r. odnotowano pierwsze symptomy przyspieszenia PKB, który wzrósł wówczas o 4,8 proc., ale w roku następnym gospodarka znów hamowała – rozwijała się w tempie 2 proc. W roku ubiegłym było



fot. Shutterstock

Bez zagranicznych inwestycji w rolnictwie i sektorze przetwórczym Ukraina nie stanie się „spizarnią Unii Europejskiej”, zresztą kwestia ściągnięcia inwestorów skłonnych zainwestować w modernizację ukraińskich przedsiębiorstw dotyczy całej gospodarki

lepiej. Jak informował opinię publiczną Stepan Kubiw, wicepremier i minister rozwoju gospodarczego w ukraińskim rządzie, ubiegłoroczny wzrost PKB kształtował się na poziomie 3,5 proc. Według ostatnich prognoz przedstawionych przez narodowy Bank Ukrainy, w 2020 r. gospodarka kraju będzie się rozwijała w tempie 2,9 proc., w roku kolejnym zaś ma szansę przyspieszyć do 3,7 proc. Najpoważniejszym ryzykiem, że prognozy te nie potwierdzą się w rzeczywistości, jest perspektywa spowolnienia w europejskiej i światowej gospodarce. Ale nawet jeśli czarne scenariusze się nie urzeczywistnią, to aby szybko wrócić do poziomu sprzed Rewolucji Godności, tempo wzrostu musiałoby wynosić nie mniej niż 5 proc. Kubiw przedstawił niedawno plan ożywienia ukraińskiego wzrostu gospodarczego, w którym jedno z pierwszych miejsc zajmuje przyciągnięcie na Ukrainę bezpośrednich inwestycji zachodnich firm.

Bez inwestycji ukraińska gospodarka nie przyspieszy, nowe miejsca pracy nie powstaną, a fali emigracji nie uda się zatrzymać. Ale inwestycji, mimo zauważalnego postępu w reformowaniu ukraińskiej gospodarki, nie będzie, jeśli nie uporządkuje się relacji z Rosją (z państwem będącym według oficjalnej nomenklatury agresorem), z którą gospodarka Ukrainy powiązana jest wieloma – często dość niejasnymi i podejrzanymi – nićmi. Najlepszym przykładem jest skandal, który właśnie wybuchł w Kijowie, związany z potajemnym przedłużeniem przez ukraińską państwową firmę zarządzającą tamtejszymi elektrowniami atomowymi (w kraju pracuje 15 bloków) kontraktu na dostawy paliwa jądrowego. Skandal jest tym większy, że jesienią przebywał w Kijowie amerykański minister ds. energetyki Rick Perry, który na zakończenie wizyty zamieścił tweet z podziękowaniem dla ukraińskiego prezydenta „za oddanie sprawie dywersyfikacji źródeł zaopatrzenia w energię”. Chodzi o dostawy paliwa do reaktorów przez amerykańską firmę Westinghouse, które amerykańska firma miała zacząć realizować.

Jednak w tym samym czasie, kiedy na oficjalnych spotkaniach z Perryem premier Grojsman mówił o rosyjskiej agresji „w sektorze energetycznym”, a prezydent Poroszenko przygotowywał kraj do wypowiedzenia Umowy o przyjaźni i współpracy z Rosją, rząd w Kijowie podjął decyzję o przedłużeniu do 2025 r. umowy na

dostawy paliwa jądrowego z rosyjską firmą TWEL. Jej 100-procentowym właścicielem jest rosyjski państwowy koncern Rosatom, którego prezesem do niedawna był Sergiej Kirijenko, obecny wiceszef administracji prezydenta Putina. We władzach koncernu zasiada trzech urzędujących ministrów, w tym doradca Putina ds. zagranicznych oraz szef Służby Bezpieczeństwa Ekonomicznego FSB. Jeszcze na początku ubiegłego roku, podczas wizyty prezydenta Poroszenki w Waszyngtonie, padały oficjalne deklaracje ze strony ukraińskich władz, że udział dostaw amerykańskich w całości zaopatrzenia w paliwo ukraińskich reaktorów jądrowych osiągnie w najbliższych dwóch latach 55 proc. Teraz się okazuje, że Rosjanie do 2025 r. mają zagwarantowany udział w ukraińskim rynku na poziomie nie niższym niż 55–60 proc. Specjaliści przywoływani przez ukraińską prasę dziwią się nie tylko temu, że ostatecznie władze postanowiły kontynuować uzależnienie sektora dającego 60 proc. energii elektrycznej kraju od dostaw z Rosji, lecz również kwestionują celowość samej polityki dywersyfikacji. Ukraina jest bowiem jedynym na świecie krajem zaopatrującym swą energetykę nuklearną w pręty uranowe od dwóch różnych dostawców, a co jest jeszcze dziwniejsze – dostarczane przez Amerykanów kosztują podobnie, ale cechują się zaś lepszymi parametrami eksploatacyjnymi.

Wybiórcze sankcje

Stare powiązania gospodarcze z Rosją wciąż funkcjonują. Federacja Rosyjska nadal jest największym partnerem handlowym Ukrainy. Według oficjalnych informacji statystycznych w okresie styczeń–listopad 2018 r. wartość importu z Rosji wyniosła 7,4 mld dol. i wzrosła w porównaniu z rokiem poprzednim o 17 proc. Władze co prawda lubią mówić, że kraj najwięcej handluje z Unią Europejską, ale traktowaną jako całość, bo Niemcy są dopiero na trzecim miejscu w tym rankingu (5,5 mld dol.), a Polska jest na piątym (3,3 mld). Handel między oboma krajami rośnie (co prawda wolniej niż wymiana z Chinami, która zwiększyła się skokowo o 34 proc.) nawet mimo wprowadzenia przez Rosję wielu ograniczeń, które objęły zakaz importu z Ukrainy 55 grup towarów, takich jak słodczyce, alkohole, ryby, mięso.

Zresztą wprowadzone przez Moskwę na początku listopada sankcje przeciw Ukrainie wyraźnie pokazują, że ich głównym celem było wywarcie presji politycznej na ukraińskich oligarchów, aby w obliczu wyborów prezydenckich „dokonali właściwego wyboru”. Na liście objętych restrykcjami, polegającymi na zamrożeniu aktywów posiadanych w Rosji, znalazły się 322 osoby oraz 68 firm. O ile jednak swe nazwiska w spisie mogli odnaleźć niemal wszyscy ukraińscy politycy i wiodący liderzy opinii publicznej, o tyle z przedstawicielami wielkiego biznesu jest już całkiem inna historia. Ukraińscy komentatorzy zauważyli, że na liście osób objętych ograniczeniami brak jest wpływowego na wschodzie Ukrainy Rinata Achmetowa oraz Ihora Kołomojskiego wspierającego kampanię Wołodymyra Zełenskiego, jednego z liderów sondaży prezydenckich. Zwrócono też uwagę, że jeśli spoglądać na rosyjskie ograniczenia przez pryzmat sektorów, które w największym stopniu mogą być nimi dotknięte, to przede wszystkim dotyczy to przemysłu stalowego oraz produkcji i przetwórstwa żywności.

Rosyjskie sankcje mogą się okazać dotkliwe, jeśli Moskwa zdecyduje się na blokowanie transferów pieniężnych dokonywanych przez ukraińskich gasterbiterów pracujących w Rosji. Choć ich liczba maleje (według ostatnich rosyjskich danych przybywców z Ukrainy przebywało w Rosji 1 listopada 2018 r. 1 mln 988 tys., rok wcześniej – 2 mln 218 tys., a w 2016 – 2 mln 590 tys.), to

transfery od pracujących poza granicami kraju są ważnym źródłem utrzymania dla wielu ukraińskich rodzin, szczególnie na wschodzie kraju. Ale znacząco wpływają również na dodatni wynik tamtejszego bilansu płatniczego i umożliwiają utrzymanie kruchej stabilizacji makroekonomicznej. Z ostatniego komunikatu ukraińskiego Banku Narodowego wynika, że transfery pracujących poza granicami kraju w tym samym stopniu, co aktywność podmiotów gospodarczych, przyczyniły się do nadwyżki ukraińskiego bilansu płatniczego, szacowanej na 1,8 mld dol. w 2018 r.

Trzeba pamiętać, że Ukraina nadal jest krajem, któremu grozi niewypłacalność. Dług państwowy (wliczając w to zadłużenie bezpośrednie i podmiotów, dla których gwarantem jest państwo) wyniósł na koniec 2018 r. 78,32 mld dol. i wzrósł w ciągu roku o 2,6 proc, rezerwy walutowe kraju zaś wynoszą 20,8 mld dol. W marcu kończy się program „rozszerzonego finansowania”, jaki Ukraina podpisała z Bankiem Światowym, i zdaniem Ministerstwa Finansów musi on zostać zastąpiony kolejną umową, przewidującą finansowanie stand by na poziomie 3,9 mld dol.

Jeśli cokolwiek przeszkodzi Ukrainie – która musi regulować lub rolować w tym czasie zobowiązania na poziomie 400 mld hrywien (ok. 14,8 mld dol.) – w uzyskaniu kolejnych środków, to nowy prezydent zacznie swą kadencję od gaszenia pożarów. ●

REKLAMA

51/1118/F



DAVE MATTHEWS BAND EUROPE 2019

KONCERT
COS Torwar | **25 marca 2019**
Warszawa 20:00 Bilety: prestigemjm.com

Z KAŻDYM ZAKUPIONYM BILETEM
 - NAJNOWSZY ALBUM COME TOMORROW DO POBRANIA ZA DARMO

DAVEMATTHEWSBAND.COM | WAREHOUSE.DAVEMATTHEWSBAND.COM



a-ha
play hunting high and low live

18 listopada 2019
Torwar Warszawa

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige
MJM

REGENT
THEATRE

wprost

Expat

GOTTA BANG!EL

Gazeta

WP

cgm.pl

video

Multikino

pap

STRÖER

VISION

STRÖER

Prestige
MJM

złote przeboje

wp

wprost

Expat

GOTTA BANG!EL

Gazeta

WP

cgm.pl

Multikino

pap

STRÖER

VISION

STRÖER

eprasa.pl 4d01dec8c9

WOJCIECH OSIŃSKI

Berlin

Kawalkada znad Dniepru

Niemiecki rząd zgodził się na ustawę, która ma ograniczyć liczbę przeszkód utrudniających imigrację z państw spoza UE. Czy Ukraińcy zaczną masowo opuszczać Polskę?

W Niemczech już od kilku lat trwały przymiarki do stworzenia nowej ustawy migracyjnej, mobilizującej – jak przyznawała w niektórych wywiadach Angela Merkel – „niespożytą siłę roboczą z zagranicy”. Współrzą-

dający chadecy i socjaldemokraci spierali się długo o szczegóły, ale w połowie grudnia 2018 r. zgodzili się w końcu na projekt, który ma regulować napływ fachowców do Niemiec.

Daje to także asumpt do ciekawych rozważań na temat zatrudnionych w Polsce Ukraińców, którzy mogą niebawem hurtowo odpłynąć na Zachód.



Nowa ustawa o zatrudnianiu cudzoziemców w Niemczech, liberalizująca warunki dla Ukraińców ma wejść w życie z początkiem 2020 r.

fot. Shutterstock

Ustawa przewiduje bowiem poluznienie formalnych przeszkód utrudniających imigrację z państw, które nie należą do UE. Dotąd niemiecka polityka migracyjna skupiała się jedynie na fachowcach o wyższym wykształceniu. Wprowadzone zmiany zastępują dotychczasowe przepisy zatrudniania imigrantów, których pobyt w Niemczech jest tolerowany. Ukraińcy, którzy mogą się samodzielnie utrzymać z pracy zarobkowej, mogą w przyszłości liczyć na prawo pobytu w RFN przez dwa i pół roku. Jednym z warunków otrzymania takiego zezwolenia jest przepracowanie w pełnym wymiarze godzin przynajmniej 18 miesięcy. Nowa ustawa migracyjna ma wejść w życie z początkiem 2020 r. i będzie obowiązywać do 30 czerwca 2022 r. „Nasz kraj potrzebuje fachowców z państw trzecich do zapewnienia naszego dobrobytu” – oświadczył w chwili przypływu szczerości minister spraw wewnętrznych Horst Seehofer (CSU). Zgadza się z nim minister pracy z ramienia SPD – wbrew plotkom o nieustannych zatargach w Wielkiej Koalicji. „Udowodniliśmy, że potrafimy rządzić” – zaznaczył Hubertus Heil.

Kość niezgody

Polityka migracyjna była długo kością niezgody między bawarskimi chadekami a SPD. Liderzy obu partii dostrzegli w niej swój oręż, beztrudno wyrzekając się perspektywy szerszej niż postawienie na swoim. W najgorętszej fazie kryzysu uchodźczego wyparto z tej dyskusji argumenty racjonalne, zastępując je moralizowaniem. Przed wyborami parlamentarnymi w 2017 r. występy polityków były wypełnione litaniami wzajemnych zarzutów. Natomiast wiosną 2018 r., zasiadając ponownie we wspólnych ławach rządowych, stwierdzili, że łatwiej jest wskazywać problemy i diagnozować ich przyczyny podczas kampanii, niż je naprawić, mając w ręku wszystkie narzędzia władzy. Przejście sporu o imigrantów w stan przewlekły mogło wszelako doprowadzić do rozłamu (i tak już targanego licznymi konfliktami) rządu.

Koniec końców nawet niektórzy ministrowie z SPD przyznali, że politykę „otwartych granic” można odczytać w kategoriach błędu. Problem polega na tym, że Niemcy potrzebują pilnie rąk do pracy. Gospodarka naszych zachodnich sąsiadów jest zdana na napływ imigrantów, tyle że fachowców, którzy nie będą przyssani do garnuszka państwa. Do grudnia 2018 r. rządzący spierali się jeszcze tylko o liczbę imigrantów mogących podjąć pracę zarobkową w Niemczech. „Za pomocą tej ustawy stworzymy sensowne rozwiązania dla cudzoziemców, którzy chcą pracować i są dobrze zintegrowani w naszym społeczeństwie” – upierał się Heil. Jak zaznacza, Niemcy nie chcą wydalać „niewłaściwych osób”, lecz stworzyć jasny status prawny regulujący zasady pobytu dla ludzi, którzy chcą się przyczynić do wzrostu niemieckiego PKB. Jednocześnie politycy chcą

wyjść naprzeciw przedsiębiorcom cierpiącym na brak fachowców.

Zanim jednak ustawa wejdzie w życie, zostaną do niej na pewno jeszcze wprowadzone pewne zmiany. Zdaniem niektórych chadeków bowiem projekt oparto wprawdzie na założeniach ze wszech miar rozsądnych, ale jej obecny kształt zachęca jeszcze do wielu nadużyć, mogących wywołać kolejną niekontrolowaną falę imigrantów, którzy miast wzmocnić gospodarkę, będą sięgać do kieszeni niemieckich podatników. Dzięki tej ustawie swoją „słodką labę” nad Szprewą mogłyby też przedłużyć osoby, które jeszcze przebywają na terenie Niemiec, choć odmówiono im azylu.

Oburzyły się również inne środowiska. O ile lewicowe ugrupowania dość bezrefleksyjnie uznały projekt za „krok we właściwym kierunku”, o tyle np. związkowcy rzucili się rządzącym do gardeł, sięgając niekiedy po kalumnie zarezerwowane dla przestępców gospodarczych. Według szefa Niemieckiego Zrzeszenia Związków Zawodowych (DGB) ustawa zaprzepaści szansę na lepszą integrację imigrantów oraz ich udział w życiu ekonomicznym Niemiec. „Przybysze z Europy Wschodniej być może nawet ożywią naszą gospodarkę, ale ustawa migracyjna ma jeszcze sporo luk, które pozwalają na dumping płacowy. Imigranci zarobkowi nie będą mieli pojęcia, że będą wyzyskiwani” – obawia się Reiner Hoffmann. Swoje wątpliwości zgłaszają też posłowie opozycyjnej FDP. „Rząd strwonił mnóstwo czasu na dyskusję o tym projekcie, a w rezultacie otrzymaliśmy tylko prawny bubel, który gubi się w szczegółach” – uważa Johannes Vogel z FDP i ekspert ds. rynku pracy. Gromy i potępienia ściągnęli na siebie rządzący także ze strony prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD), która obawia się zbyt wysokiej liczby migrantów nieskorych do zakasania rękawów.

Brak fachowców

Zupełnie innego zdania są niemieccy pracodawcy, którzy już od dłuższego czasu skarżą się na brak fachowców, winiąc za zaistniałą sytuację polityków. Ci zaś odpierają zarzuty, twierdząc, że to przedsiębiorcy nie zdyskontowali w pełni całej gamy stojących do ich dyspozycji możliwości ściągania do Niemiec specjalistów z zagranicy. „Już teraz uprzedzam: nawet najdoskonalsza ustawa nie załatwi wszystkiego” – wyjaśnia Heil.

Niemniej wielu pracodawców wyraża nadzieję, że kontrolowany napływ fachowej siły roboczej z takich państw jak Ukraina ułatwi ich sytuację. Z ustaleń Niemieckiej Izby Przemysłowo-Handlowej (DIHK) wynika, że ponad połowa niemieckich przedsiębiorstw jest gotowa na zatrudnienie fachowców z państw trzecich Europy Wschodniej. Dwie trzecie tej grupy pracodawców, którzy od dawna nie mogą obsadzić wszystkich stanowisk w swoich firmach, jest przekonanych, że świeża siła robocza znad Dniepru rozwiąże ich pro-

blemy. O ile według oficjalnych statystyk bezrobocie w Niemczech jeszcze nigdy nie było tak niskie jak obecnie (ok. 5,2 proc.), o tyle paradoksalnie 1,2 mln miejsc pracy nadal pozostaje nieobjętych. Brakuje inżynierów i rzemieślników, lecz także tysiący pracowników w służbie zdrowia. Z obliczeń kolońskiego Instytutu Gospodarki Niemieckiej (IW) wynika, że Niemcy zatrudniają na niejasnych warunkach ok. 300 tys. „prywatnych pielęgniarek” z Europy Wschodniej. Tym samym w ostatnich latach powstała działająca w szarej strefie nowa gałąź gospodarki, będąca poważną konkurencją dla legalnego pielęgniarstwa. – Bogactwo Zachodu nadal opiera się na wyzysku mniej uprzywilejowanego Wschodu i Południa. Imigranci zarobią w Niemczech co prawda trzykrotnie więcej niż u siebie, ale równocześnie o kilkakrotnie mniej, niż zarobiliby, pracując na legalnych niemieckich warunkach – zapewnia monachijski socjolog pracy Stephan Lessenich.

Nowa ustawa ma więc przede wszystkim postawić kres epidemii nadużyć ze strony niemieckich pracodawców, którzy wykorzystują cudzoziemców, osłabiając mimo chodem gospodarki krajów, z których ci napływają. Ma też ułatwić procedury związane z uznaniem w RFN świadectw, certyfikatów i dyplomów, jako że bariery biurokratyczne są pod tym względem wciąż wysokie. – Obecnie w większości liczących się na rynku niemieckim firm ludzie i tak najczęściej komunikują się w języku angielskim. Dlatego obowiązkowe egzaminy z niemieckiego trąca już trochę myśzką – uważa Bernhard Rohleder, prezes Stowarzyszenia Teleinformatyki i Nowych Mediów (BITKOM).

Zmartwienia Niemców

Już pod koniec 2017 r. bank centralny RFN (Bundesbank) ostrzegał przed pogarszającą się z każdym rokiem sytuacją na niemieckim rynku pracy. We wrześniu 2018 r. berliński Instytut Badań Gospodarczych (DIW) wskazał na rosnące ryzyko spowolnienia wzrostu gospodarczego w 2019 r., wynikającego głównie z powodu braku wykształconych specjalistów w rozlicznych branżach. Z tego powodu wiele niemieckich fabryk musiało zainwestować w kosztowne maszyny produkcyjne, mające zastąpić ludzką siłę roboczą. Są to dla nich ogromne wydatki, które dodatkowo spotęgowały problemy finansowe. I mimo że niemiecka gospodarka oficjalnie jest jeszcze w doskonałej kondycji, to nadchodzące zmiany demograficzne w społeczeństwie mogą w przyszłości gwałtownie wyhamować koniunkturę. W 2019 r. ok. 300 tys. Niemców przejdzie na emeryturę, a w kolejnych latach będzie ich coraz więcej. Już kilka lat temu niemieccy analitycy zauważyli, że sytuacja na rynku pracy będzie się ustawicznie pogarszać. Dlatego po wielu latach niemieckiej buty w 2011 r. ułatwiono wreszcie Polakom dostęp do rynku pracy. We wschodnich krajach

związkowych powstały ośrodki, które przygotowują polskich pracobiorców na życie zawodowe w RFN.

Analogicznych projektów można się też spodziewać, gdy ruszy kawalkada znad Dniepru. Niewykluczone, że brak wykwalifikowanych fachowców był także jednym z kryteriów, którymi kierowała się kanclerz Angela Merkel, gdy jesienią 2015 r. zawiesiła bezprawnie konwencję dublińską. Nie przewidziała jednak, że większość gości z Afryki oraz Bliskiego Wschodu zasili kolejki przed urzędami ds. opieki społecznej. Choć nawet sensowna integracja i podjęcie pracy zarobkowej przez imigrantów nie musi się okazać cudownym lekarstwem na uzdrowienie rynku pracy. Również inne państwa Unii czekają dotkliwie zmiany demograficzne, a przy trwałej dobrej koniunkturze (choćby w Polsce) coraz mniej ludzi z Europy Środkowo-Wschodniej będzie szukało swojego szczęścia w krajach takich jak Niemcy. Tyle że właśnie odpływ ukraińskiej siły roboczej na Zachód może położyć kres optymistycznym wieściom z polskiej gospodarki.

Problemy dla Polski

Z raportu przygotowanego w połowie 2018 r. przez firmę usługową Work Service wynika, że 84 proc. zatrudnionych w Polsce Ukraińców poleciłoby nasz kraj swoim bliskim i znajomym. Wszak z tejże samej ankiety wyłania się także obraz nader ponury – niemal 60 proc. z miejsca wybrałoby się za Odrę, jeśli pojawiłaby się taka możliwość. Główną motywacją wpływającą na decyzję o przeprowadzce do Niemiec są znacznie wyższe wynagrodzenia.

Tymczasem ewentualny odpływ ukraińskich pracowników, którzy przyczyniają się do wzrostu polskiego PKB, u wielu naszych przedsiębiorców wywołuje powściągliwie przejawianą irytację. A ekonomiści wprost przekonują, jakoby stanowił realne zagrożenie dla polskiej gospodarki. – Z polskiego rynku pracy może zniknąć co najmniej pół miliona pracowników – mówi Michael Burda, amerykański ekonomista, który w swoich publikacjach skupia się głównie na niemieckim rynku pracy („Das deutsche Arbeitsmarktwunder”). – Nowa „otwartość” Niemców stanowi ryzyko i prawdopodobnie spowolni wzrost gospodarczy w waszym kraju – wróży.

Według niego już teraz dynamika imigracji zarobkowej z Ukrainy do Polski znacząco spadła. – W pierwszym półroczu 2018 r. zarejestrowano w Polsce o wiele mniej oświadczeń o zamiarze powierzenia pracy obcokrajowcom ze Wschodu niż w poprzednich latach – tłumaczy Burda. Wizy dla Ukraińców zostały zniesione w Niemczech już w czerwcu 2017 r., przy czym w samym pierwszym miesiącu funkcjonowania nowych przepisów granicę przekroczyło prawie 100 tys. osób. Wraz z wejściem w życie ustawy migracyjnej owa tendencja może wyrażnie przybrać na sile, tym bardziej że pobyt bez wiz na terenie RFN jest na razie ograniczony do 90 dni.



for: Shutterstock

Tysiące Ukraińców przebywa na terenie Niemiec na niejasnych zasadach, czekając w blokach startowych na swoją szansę

Dla Polski ta sytuacja nie jawi się więc szczególnie szczęśliwie. Albowiem nie dość, że otworzyła swoje wschodnie bramy dla setek tysięcy imigrantów (skądinąd bez wsparcia UE), to ukraiński exodus może się także odbić ujemnie na gospodarce. Goście ze Wschodu mogą się zresztą też okazać konkurencją dla Polaków zatrudnionych w Niemczech, szczególnie w Meklemburgii-Pomorzu Przednim. Tysiące mieszkańców Pomorza Zachodniego korzysta z otwartych granic, ożywiając zamarłe wschodniemieckie miasta. To sprawia, że np. miejscowości takie jak Löcknitz stały się już przedmieściami Szczecina, gdzie do rozwoju lokalnej gospodarki przyczyniają się Polacy. W stolicy województwa żyje i pracuje jednak także wielu obywateli Ukrainy, dla których możliwość prawa do niemieckiej emerytury prezentuje się nader zachęcająco. Już teraz tysiące Ukraińców przebywa na terenie Niemiec na niejasnych zasadach, czekając w blokach startowych na swoją szansę. Burda zakłada, że w przypadku odpływu tylko 500 tys. Ukraińców możliwy uszczerbek polskiego PKB wyniosłby 1,6 proc.

Dogodne warunki

Jak widać, nie tylko Niemcy się zastanawiają, jak zwiększyć napływ siły roboczej, a zarazem zabezpieczyć pracowników z wykształceniem zawodowym. Również Polska potrzebuje sensownej i szeroko zakrojonej polityki migracyjnej, ułatwiającej procedury oraz zachęcającej do podjęcia przez imigrantów ze Wschodu legalnej pracy. Z problemem braku siły roboczej, hamującym koniunkturę i stanowiącym zagrożenie dla stojącego na glinianych nogach systemu emerytalnego, borykają się wszystkie państwa Unii, zwłaszcza w czasach, gdy coraz więcej osób pobiera świadczenia socjalne. – Dalszym krokiem w celu uzupełnienia niedoborów na rynku pracy powinno być stworzenie przejrzystego uzyskania przez Ukraińców prawa stałego pobytu – uważa Burda. Według jego obliczeń Polska powinna w następnych

”

W Kijowie pokutuje przekonanie, że w Niemczech pociągi jeżdżą szybko i zawsze docierają na czas. Ale – szczerze mówiąc – ukraińskie pociągi znacznie rzadziej się spóźniają

trzech dekadach przyjąć ponad 5 mln imigrantów zarobkowych, aby utrzymać dotychczasowe tempo rozwoju gospodarczego.

Czy uda się zatamować odpływ Ukraińców na Zachód? Wbrew wszelkim historycznym animozjom imigranci znad Dniepru znajdują nad Wisłą dogodne dla siebie warunki. Posługują się spokrewnionym językiem i łatwo się asymilują. W każdym razie nieopisanie łatwiej niż w Niemczech. – Docierając do RFN, Ukraińcy są niekiedy rozczarowani. W Kijowie pokutuje przekonanie, że Niemcy są nowoczesnym krajem, w którym pociągi jeżdżą szybko i zawsze docierają na czas. Ale – szczerze mówiąc – ukraińskie pociągi znacznie rzadziej się spóźniają – przekonuje Denis Trubetskoy, ukraiński dziennikarz, który współpracuje z niemieckimi gazetami. Jak opowiada, wizerunek przodownika nowoczesności i cyfryzacji ugruntowała na Ukrainie głównie silna międzynarodowa pozycja Niemiec w branży motoryzacyjnej. Tymczasem po przekroczeniu granicy ukraińscy imigranci z trudem ukrywają zdumienie, że nagle mają wolniejszy internet. Wśród młodych Ukraińców dominuje niemniej na ogół pozytywny obraz RFN, acz poniekąd nieco naiwny. – Moi rodacy zauważają, że Niemcy są potęgą gospodarczą, która w UE odgrywa przywódczą rolę, ale rzadko pytają, jak do tego doszło – mówi Trubetskoy. ●



Nasze firmy inwestują na Ukrainie. Polski producent okien Fakro ma tam aż trzy fabryki

fol. materiały prasowe Fakro

PIOTR ROSIK

Jeszcze dużo do zrobienia

Polska jest jednym z kluczowych partnerów handlowych Ukrainy. Współpraca między obydwojema krajami mogłaby być jednak o wiele większa

Polska znajduje się od lat w wąskim gronie kilku najważniejszych partnerów handlowych Ukrainy. Jeśli chodzi o eksport ukraiński, jesteśmy partnerem numer dwa, wyprzedza nas tylko Federacja Rosyjska. Ukraina importuje głównie z Rosji, Chin i Niemiec, ale Polska zajmuje czwartą pozycję. Miejsce naszego kraju w tym zestawieniu może się jednak poprawić, bo w III kwartale 2018 r. polski eksport na Wschód – do Rosji oraz na Ukrainę i Białoruś – rósł znacznie szybciej niż w I połowie roku – wynika z raportu o bilansie płatniczym Rzeczypospolitej, opublikowanego niedawno przez Narodowy Bank Polski (NBP).

Importujemy i eksportujemy

Polska ma istotne znaczenie przede wszystkim dla ukraińskich przedsiębiorstw z obwodów zlokalizowanych przy granicy między obydwojoma państwami. Nasz kraj ma 55 proc. udziału w sprzedaży eksporterów z obwodu tarnopolskiego, 24 proc. w przypadku obwodu lwowskiego. Te dwa regiony są również głównymi odbiorcami polskiej produkcji (odpowiednio: 48 proc. i 27 proc.) – wynika z danych Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu. Im dalej od polsko-ukraińskiej granicy zlokalizowane są siedziby przedsiębiorstw, tym mniejsze znaczenie ma dla nich rynek zbytu sąsiada.

Polska na Ukrainę eksportuje głównie wyroby przemysłu elektromaszynowego (31 proc. eksportu), chemię (22 proc.) i produkty spożywcze (10 proc.). Na przykład w listopadzie ubiegłego roku polski producent silosów i suszarni zbożowych Feerum podpisał dwa kontrakty o wartości prawie 50 mln euro (ok. 210 mln zł) ze spółką Epicentr z Kijowa. Z Ukrainy do Polski sprzedawane

są przeważnie wyroby metalurgiczne (27 proc.), artykuły spożywcze (24 proc.) czy też produkty mineralne (19 proc.).

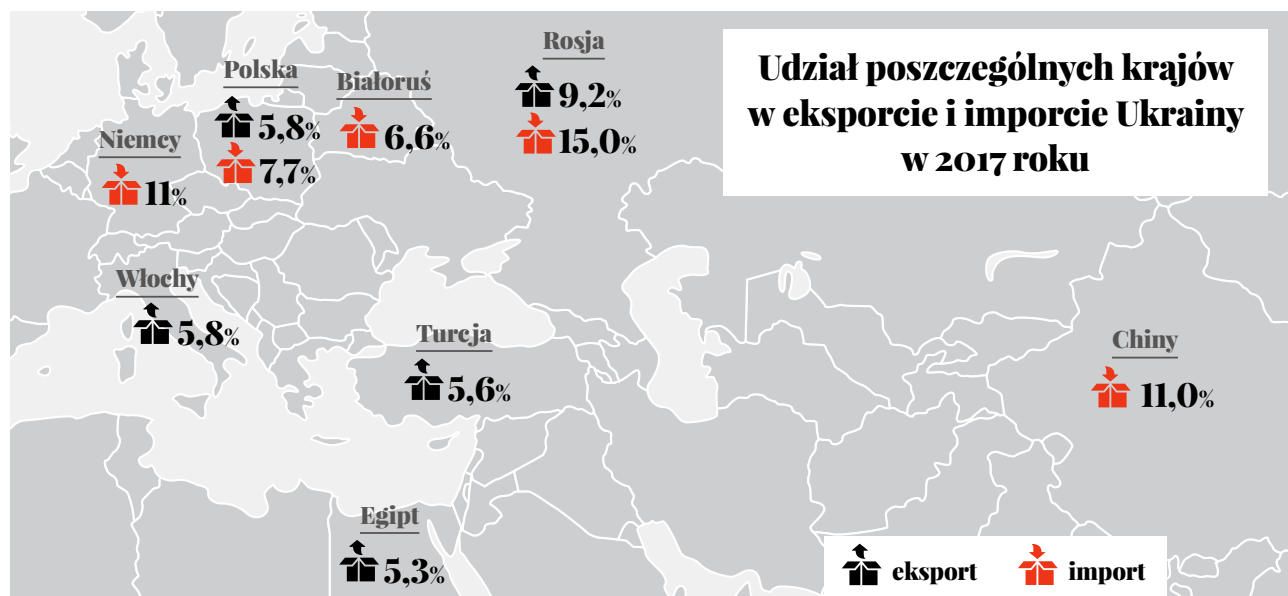
Zajęcie przez Rosję Krymu i konflikt w Donbasie uderzyły w relacje handlowe Ukrainy ze wszystkimi krajami, w tym z Polską. W ostatnich dwóch latach sytuacja się jednak poprawiła. Już w 2017 r. wartość ukraińskiego eksportu i importu z Polski powróciła do poziomów sprzed 2014 r. Nie ma jeszcze danych za rok 2018, ale dane MFW za I kwartał 2018 sugerują, że ubiegły rok mógł być najlepszy od wielu lat, jeśli chodzi o wymianę handlową między Warszawą a Kijowem.

Mimo to o wiele lepiej rozwija się współpraca handlowa Ukrainy z innymi krajami niż Polska. Ukraiński eksport do Holandii wzrósł w 2017 r. o 70 proc. rok do roku, podczas gdy eksport do Polski zwiększył się tylko o 24 proc. Import z Węgier poszedł w górę w 2017 r. o 44 proc., a z Polski ledwie o 28 proc. – wynika z danych ukraińskiego głównego urzędu statystycznego.

Głównie Rosja

Polskie firmy odgrywają na Ukrainie ważną rolę w sektorze finansowym. Mają w nim ok. 40 proc. udziału. PKO BP ma tam Kredobank, a Getin Holding posiada Idea Bank Ukraina oraz spółkę windykacyjną. PZU również od wielu lat prowadzi tam biznes, zarówno w segmencie ubezpieczeń majątkowych, jak i na życie.

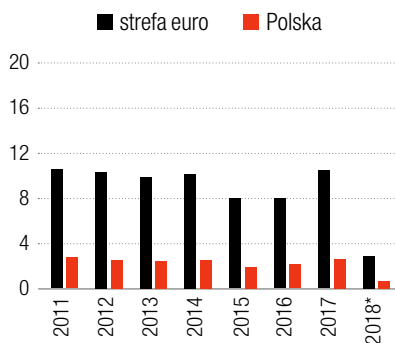
Nasze firmy inwestują na Ukrainie. Polski producent okien Fakro ma tam aż trzy fabryki. Ukraina jest też dość istotnym rynkiem dla wadowickiego Maspeku. Za naszą południowo-wschodnią granicą ulokowały kapitał także takie firmy jak Barlinek, Cersanit, Sanitec-Koło, Can-Pack, Sobieski, TZMO, Inter-Groclin, Nowy Styl czy Kęty. W styczniu na Ukrainę weszła spółka



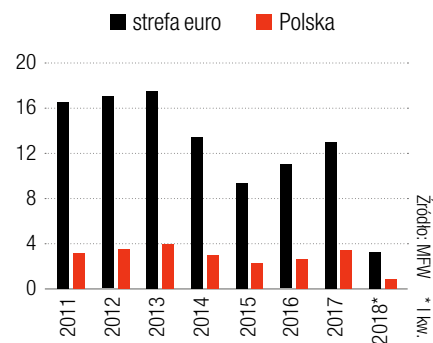
Wartość eksportu i importu Ukrainy na świecie (w mld USD)



Wartość eksportu Ukrainy (w mld USD)



Wartość importu Ukrainy (w mld USD)



Źródło: MFV

Unimot, uruchamiając dwie stacje paliw marki Avia. Ekspansję niedawno rozpoczęła tam również podkarpacka firma Availo, oferująca zdalne usługi prawnicze.

Największym inwestorem na Ukrainie pozostaje jednak Rosja. Według danych Narodowego Komitetu Statystycznego Ukrainy w I półroczu 2018 r. ulokowała tam 436 mln dol. (34,6 proc. inwestycji zagranicznych w tym okresie). Polska zajęła piątą pozycję w tym zestawieniu, za Cyprem, Holandią i Austrią.

Obecność ukraińskiego biznesu w Polsce jest o wiele skromniejsza niż polskiego na Ukrainie. Ukraińscy inwestorzy są udziałowcami takich polskich przedsiębiorstw jak Fabryka Żarówek Helios (od 2011 r. kontroluje ją spółka Iskra) czy Zakłady Przetwórstwa Mlecznego Ostrowia (od 2012 r. należą do spółki Milkiland). Pod koniec 2016 r. wartość inwestycji ukraińskich w Polsce sięgała ledwie 50 mln dol. (według danych Państwowej Służby Statystycznej Ukrainy).

Warto jednak pamiętać, że na polskiej giełdzie jest notowanych wiele ukraińskich spółek. Na rynku głównym GPW jest ich pięć (Agroton, Astarta, IMC, Kernel, Ovostar), a na rynku równoległym NewConnect – jedna (Agroliga). Wszystkie reprezentują sektor spożywczy.

Slabe punkty

Do dalszej ekspansji gospodarczej na Ukrainie zachęca opublikowana niedawno analiza „Duża prywatyzacja na Ukrainie – szanse na gospodarczą ekspansję polskich firm” autorstwa Pawła Purskiego i Pawła Musiałka. Pokazuje ona, jak dużo może zyskać Polska na inwestowaniu na Wschodzie, gdzie siła robocza jest tańsza, a rynek niemały. W dodatku niedawno ruszył na Ukrainie program prywatyzacji, co stwarza możliwości dla inwestorów zagranicznych, zarówno z kapitałem państwowym, jak i prywatnym. Według ekspertów Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu „sektorami szans” na Ukrainie dla polskich firm są m.in. sektor

spożywczy (napoje bezalkoholowe, kawa) oraz sektor maszyn rolniczych. Podbój Kijowa i okolic nie będzie jednak prosty.

Na przeszkodzie mogą stanąć nie tyle podatki czy kulejąca infrastruktura transportowa, ile różnice kulturowo-instytucjonalne. Nie da się ukryć, że po wejściu Polski do Unii Europejskiej pogłębiły się dysproporcje w podejściu do biznesu między obydwojma krajami. „Wejście Polski do UE wymusiło dostosowanie się do standardów europejskich. Optymalizacja oraz pełne wykorzystanie możliwości polsko-ukraińskiej współpracy ekonomicznej wymagają w pierwszej kolejności od Ukrainy rozwiązania wielu problemów związanych z deoligarchizacją systemu ekonomicznego (demonopolizacją i wprowadzeniem przejrzystych reguł gry), walki z korupcją oraz należytej ochrony prawnej dla inwestorów i biznesmanów zagranicznych (wymaga to m.in. reformy systemu sądownictwa)” – pisze Walenty Baluk z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, w artykule „Formalny i materialny wymiar partnerstwa strategicznego Polski i Ukrainy” opublikowanym na łamach „Spraw międzynarodowych” w 2018 r.

Na razie walka Ukrainy z samą sobą nie idzie jej dobrze. „Przedsiębiorcy chcący handlować z zagranicą zgodnie z prawem mają z tym poważne trudności. Biznes skarży się na nielegalne kontrole, haracze dla celników, przeciąganie odpraw celnych ładunków” – pisał w maju 2018 r. w „Obserwatorze Finansowym” Michał Kozak.

Pozostaje mieć nadzieję, że ukraińska kultura instytucjonalna i biznesowa poprawi się, współpraca handlowa między Warszawą a Kijowem będzie się zaś rozwijała m.in. dzięki takim przedsięwzięciom jak Polsko-Ukraińskie Forum Biznesowe, które odbyło się w listopadzie 2018 r. w Nadarzynie koło Warszawy, albo IX Forum Międzynarodowe „Dni Polskiego Biznesu w Ukrainie”, którego miejscem w listopadzie 2018 r. był Kijów.

Wejdź na sklep.gkpge.pl

422 222 222



rabat
-15%
w PGE eSklep

**Oszczędzaj z rabatem
na urządzenia Whirlpool
w PGE eSklep**

O szczegóły zapytaj konsultanta w Biurze Obsługi Klienta,
Infolinii PGE lub sprawdź w regulaminie na www.zapewniamyenergie.pl

Wojna zmieniła naszą gospodarkę

Przeprowadzamy zmiany, dokonujemy reform i oczekujemy, że zostanie to dostrzeżone oraz docenione – mówi ambasador Ukrainy w Polsce Andrij Deszczycia

ROZMAWIALI

STANISŁAW KOCZOT I MACIEJ WOŚKO

Jak określiłby pan obecny stan relacji politycznych i gospodarczych między Polską a Ukrainą? Jako dobry, zadowalający, bardzo dobry? Czy te relacje są coraz lepsze, czy raczej zatrzymały się na pewnym poziomie i brakuje im pozytywnych impulsów?

Andrij Deszczycia: Zawsze może być jeszcze lepiej. Dotyczy to także stosunków ukraińsko-polskich. Jeżeli mówimy o relacjach między naszymi państwami, to na szczeblu politycznym, strategicznym, określiłbym te relacje jako dobre. Polska od czasu agresji rosyjskiej, a nawet wcześniej – od czasu Majdanu – stanowczo popiera Ukrainę. To wsparcie zarówno na poziomie rządowym, jak i społecznym. Obecny i poprzedni rząd zajmują konsekwentne stanowisko, jeżeli chodzi o poparcie Ukrainy w przeciwdziałaniu agresji rosyjskiej, o przywrócenie naszej terytorialnej integralności, o nieuznanie aneksji Krymu i potępienie okupacji Donbasu, o przedłużenie i zaostrzenie sankcji wobec Rosji. Polska wspierała wprowadzenie ruchu bezwizowego, podpisanie umowy stowarzyszeniowej i umowy o wolnym handlu. Dziś konsekwentnie umieszcza kwestie ukraińskie w agendzie instytucji międzynarodowych, w tym w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, której Polska jest członkiem. Wsparcie Polski jest dla nas znaczące. Ma to również przełożenie na relacje gospodarcze. Sytuacja na Ukrainie poprawia się, po poważnym pogorszeniu w latach 2014–2015, na początku wojny z Rosją, rośnie także wymiana handlowa między Polską a Ukrainą. Liczymy na to, że na Ukrainie zwiększy się liczba polskich inwestycji, co będzie podstawą do stwierdzenia, iż istnieje zainteresowanie biznesu, a relacje polityczne są kontynuowane, bo biznes jest powiązany ze strategią państwa.

Czekamy na wizytę premiera Polski na Ukrainie, której od dwóch lat nie było. Liczymy również na to, że będą kontynuowane rozmowy na szczeblu historyków w sprawie naszej wspólnej historii. Pod tym względem istnieją między nami rozbieżności.

Na Ukrainie trwa kampania przed wyborami prezydenckimi. Prezydent Petro Poroszenko mówił niedawno, że Ukraina chciałaby w ciągu pięciu lat podjąć działania zmierzające do wstąpienia do NATO i Unii Europejskiej. Jak pan może skomentować tę deklarację?

Ta wypowiedź jest odzwierciedleniem wyboru, jakiego dokonał naród ukraiński w roku 2014, wychodząc na Majdan i walcząc o europejską przyszłość swego państwa. Niepodpisanie przez Wiktora Janukowycza umowy stowarzyszeniowej z Unią przyczyniło się do fali protestów. Kierunek prozachodni został wówczas, na Majdanie, wybrany przez społeczeństwo ukraińskie. Potem zostało to przełożone na podpisanie umowy stowarzyszeniowej, umowy o ruchu bezwizowym, o strefie wolnego handlu. Następnie zmieniono założenia polityki zagranicznej Ukrainy, a członkostwo w Unii Europejskiej i NATO stało się jej celem strategicznym. W tej chwili zostały wprowadzone już zmiany do Konstytucji Ukrainy, których inicjatorem jest prezydent Petro Poroszenko. Członkostwo w obu tych instytucjach teraz wpisano do Konstytucji jako cel strategiczny naszego państwa, by maksymalnie utrudnić ewentualne próby zmiany wektora geopolitycznego Ukrainy w stronę Rosji. Cała polityka, którą realizuje prezydent Poroszenko, jest nastawiona na zbliżenie ze strukturami europejskimi i euroatlantycznymi. Badania opinii społecznej pokazują, że ponad 60 proc. Ukraińców jest za Unią, a ok. 50 proc. – za

Andrij Deszczycia:
Liczymy na to, że na
Ukrainie zwiększy
się liczba polskich
inwestycji



fol. Andriej Skwarczyński

członkostwem w NATO. Oczywiście jest to dążenie tylko jednej strony – ukraińskiej. Jakie będzie stanowisko Unii Europejskiej czy NATO, zobaczymy. W każdym razie przeprowadzamy zmiany, dokonujemy reform i oczekujemy, że zostanie to dostrzeżone oraz docenione. Tak czy inaczej, reformy są nam – jako państwu – potrzebne.

Jak by pan określił relacje Ukrainy z Unią Europejską i ze Stanami Zjednoczonymi? Czy nie ma pan wrażenia, że obie te potęgi przyzwyczyły się do wojny toczonej na wschodzie Ukrainy? A może tak wcale nie jest? I inny jest stosunek do konfliktu UE, a inny USA?

Muszę przyznać, że stanowisko Stanów Zjednoczonych – poprzedniej i obecnej administracji – jest bardziej zdecydowane, a reakcja na bieżące wydarzenia czasami wyprzedza reakcję Unii Europejskiej. Stany Zjednoczone są świadome tego, że Rosja naruszyła integralność terytorialną Ukrainy, i zdecydowanie sprzeciwiają się łamaniu przez Rosję prawa międzynarodowego oraz praw człowieka. Unia Europejska potrzebuje konsensusu, podejmowanie decyzji w jej przypadku wymaga konsultacji z państwami członkowskimi. Oczywiście siła głosu UE jest potężna i ważna, jeżeli ten głos jest jednomyślny. Bez wprowadzenia unijnych sankcji postawy USA i Kanady, która bardzo nas popiera, byłyby niewystarczające. Z kolei Rosja próbuje solidarność Unii rozbić wobec kwestii związanych z Ukrainą i polityką sankcyjną w stosunku do Kremla i w innych obszarach: polityka energetyczna, brexit, protesty we Francji. Utrzymanie jedności jest poważnym wyzwaniem dla polityków europejskich.

Musimy też pamiętać o tym, że poszczególne kraje Unii mają różne interesy gospodarcze, np. rurociąg gazowy Nord Stream 2...

Sprawa Nord Stream 2 zbliża Ukrainę i Polskę. To dobry przykład, by pokazać, że do tej jedności w UE trzeba dążyć i na nią należy stawiać. Może to zająć dość dużo czasu, potrzebnego chociażby na przekonywanie innych państw europejskich, w tym Niemiec, że w dłuższej perspektywie tracą na Nord Stream 2.

W tej sprawie dosyć jednoznaczne jest stanowisko USA.

Stany Zjednoczone mogą sobie pozwolić na to, by podjąć bardziej stanowcze decyzje. Leżą one w sumie w interesie wszystkich tych, którzy są włączeni w ten proces.

Czy dyskusje w UE, które są po to, by uzyskać wspólne stanowisko, nie prowadzą do tego, że Unia zapomina o wojnie na Ukrainie? Czy nie można odnieść takiego wrażenia?

Nie tyle zapomina, ile przyzwyczajają się do tego, że wojna trwa. Ponieważ Ukraina przeciwstawia się ro-

syjskiej presji i nie jest ona odczuwalna dla innych europejskich państw, Unia ma wrażenie, że wojna toczy się gdzieś daleko. Chociaż geograficznie daleko wcale nie jest. Trzeba też pamiętać o tym, że niektóre państwa, ulegając presji swoich elit biznesowych, chcą z Rosją robić interesy „business as usual”. Z drugiej strony – o czym już wspominałem – Rosja jest zainteresowana osłabieniem Unii Europejskiej. Nasze stanowisko jest jasne: trzeba z Unią współpracować, chcemy się z nią bardziej integrować, zmieniliśmy – jeżeli chodzi o kwestie gospodarcze – wektor z rosyjskiego na zachodni. Unia potrzebuje zmian idących w tym kierunku, by stworzyć takie mechanizmy, takie struktury, takie instytucje, aby mogły szybko działać, podejmować decyzje w sytuacjach krytycznych. Żyjemy w takim świecie, gdzie podejmowanie decyzji wymaga dynamizmu.

”

Wojna doprowadziła do tego, że prawie 5 proc. terytorium Ukrainy nie jest przez nas kontrolowane

Jak wojna na wschodzie Ukrainy wpływa na ukraińską gospodarkę? Jakie wojna spowodowała zmiany, jakie może jeszcze spowodować?

Wojna doprowadziła do tego, że prawie 5 proc. terytorium Ukrainy nie jest przez nas kontrolowane. Duża część przemysłu ciężkiego znajduje się w regionach okupowanych. W pierwszych latach wojny straciliśmy ok. 15 proc. naszego PKB. Trzeba było dostosować gospodarkę do zmian, jakie wynikały z braku zasobów ciężkiego przemysłu. Wojna spowodowała jednak i to, że – po pierwsze – zaczęliśmy w inny sposób patrzeć na swoją gospodarkę. W wyniku wojny przeorientowała się ona na Zachód. Wzrosła także jakość produkcji, bo jeżeli chcemy sprzedawać na Zachód, musimy podnieść standardy, które dotychczas były nastawione na rynek rosyjski czy państw WNP. Po drugie – od ponad trzech lat nie kupujemy już rosyjskiego gazu z Rosji, ale od partnerów europejskich, w tym z Polski, Węgier, ze Słowacji. Instrument polityczny, jakim był gaz z Rosji, został wyeliminowany. Nasza polityka energetyczna zmienia się w kierunku albo wydobycia własnego gazu, albo importu z Zachodu, a nie ze Wschodu. Po trzecie – wojna doprowadziła do tego, że wzmocniliśmy swoje wojsko. Armia, która na początku wojny była w stanie krytycznym, teraz jest jedną z najlepszych w Europie. Na wydatki zbrojeniowe oraz bezpieczeństwo przeznaczamy

5 proc. PKB. Daje to impuls zarówno do rozwoju sił zbrojnych, jak i przemysłu zbrojeniowego.

Jak będą wyglądały kolejne etapy uniezależniania się Ukrainy od gazu z Rosji? Mówi się o gazie płynnym, LNG, sprowadzanym np. ze Stanów Zjednoczonych.

Prowadzone są negocjacje w tej sprawie. Potrzebne są inwestycje po stronie ukraińskiej. Jesteśmy zainteresowani, by kupować gaz LNG, amerykański, katarski czy poprzez Baltic Pipe z Norwegii, ale żeby połączyć system rurociągów gazowych na Ukrainie z systemem polskim, potrzebujemy ok. 100 km nowego gazociągu. To wydatek prawie 250 mln euro. Będzie to albo inwestycja ukraińska, albo joint venture, wspólna zainteresowanych stron. Prowadzone są dość konkretne rozmowy w tej sprawie. Jesteśmy zainteresowani tą inwestycją.

Wiele się mówi również o energetyce jako o polu współpracy obu państw. Chodzi o most energetyczny, którym miałby popłynąć prąd z Elektrowni Chmielnicki do Polski. Ukraina jest tym mocno zainteresowana.

Jeżeli myślimy o konkretnym przedsięwzięciu związanym z energetyką, to mostu budować nie trzeba, wystarczy tylko go zmodernizować, ponieważ linia przesyłowa prądu z Ukrainy do Polski, z Elektrowni Chmielnicki do Rzeszowa, jest już zbudowana.

Potrzuje jedynie modernizacji. I oczywiście decyzji politycznej. W tej sprawie mamy jeszcze dużo do zrobienia, rozmowy trwają od co najmniej dwóch lat, w tym na szczęblu ministrów.

Niezależnie od planów inwestycyjnych – mniej czy bardziej rozwiniętych – polski biznes już intensywnie działa w pana kraju. Jak ocenia on współpracę z Ukrainą? Co jest dla niego największą barierą, co mu przeszkadza w robieniu interesów?

Polskie inwestycje na Ukrainie utrzymują się mniej więcej na tym samym poziomie od 2014 r. Jedne z największych zagrożeń dla polskiego biznesu na Ukrainie – według opinii, które do mnie docierają od przedsiębiorców – to niepewność związana z wojną na wschodzie kraju. Nie wiadomo, czy ofensywa rosyjska rozszerzy się, czy nie. Inwestorzy tego się boją. Niektórzy przecież stracili na tym, że terytoria na wschodzie zostały zajęte. Kolejna rzecz, na którą wskazują polscy inwestorzy, to korupcja na Ukrainie. Reforma sądownictwa trwa, jej wyniki już są odczuwalne. Biznes musi zobaczyć, że sytuacja jest stabilna, jeżeli chodzi o system prawny. Wiadac, że państwo jest przewidywalne. Oczekiwało, że dojdzie do przedterminowych wyborów, a jednak wytrzymaliśmy pięć lat po wyborach prezydenckich, w październiku mamy wybory parlamentarne,

REKLAMA

14/0219/F



Forum
Wizja
Rozwoju



Honorowy patronat
Prezesa Rady Ministrów
Mateusza Morawieckiego

Partnerzy merytoryczni



Minister Rodziny,
Pracy i Polityki Społecznej



Ministerstwo
Finansów



Przewodnicząca Komisji
Polityki Senioralnej
Małgorzata Zwiercan

II Forum Wizja Rozwoju

Gdynia, 24-25 czerwiec 2019

www.wizjarozwoju.pl



fot. Andrzej Skwarczyński

które odbędą się – i jedno i drugie – w normalnym terminie. Następuje polityczna stabilizacja. Mam nadzieję, że będzie to podstawa do tego, by inwestycje jednak rosły.

Jakich inwestycji na Ukrainie pan oczekuje? Mówił pan o gazie, o energetyce. Dla jakich innych branż jest miejsce w pana kraju?

Na przykład dla firm z branży bankowej (na Ukrainie działa PKO BP przez swoją spółkę Kredobank). Działają, ale się nie rozwijają, nie zwiększają inwestycji. Inne perspektywiczne branże to rolnictwo, infrastruktura drogowa i portowa, branża budowlana oraz IT. Bardzo interesująca dla obu stron, polskiej i ukraińskiej, jest branża spożywcza. Jesteśmy podobni do siebie nie tylko kulturowo i historycznie, lecz również gospodarczo. Rolnictwo stanowi ważną część gospodarki w obu krajach. Możemy być dla siebie konkurencyjni, ale też trzeba znaleźć sposoby współpracy przy wchodzeniu na rynki trzecie.

Współpraca biznesowa jest jak najbardziej możliwa, jednak eksport rolny do Polski rośnie i wzbudza duże opory polskich rolników.

Dlatego musimy znaleźć niszę, w której będziemy mieli wspólny interes. I tym wspólnym interesem mogą być rynki państw trzecich, m.in. Azji i Afryki.

W Polsce pracuje wielu obywateli Ukrainy. Jakie znaczenie dla Ukrainy mają ich wyjazdy? Ukraińcy zasilają nasz rynek, pomagają budować naszą gospodarkę, dla Ukrainy natomiast ich masowe wyjazdy mogą stanowić poważny problem.

Tak, teraz staje się to problemem. Nasi przedsiębiorcy narzekają, że nie mogą znaleźć pracowników. To sygnał dla naszego rządu, a także dla biznesu, by stworzyć ludziom takie warunki, aby nie wyjeżdżali z Ukrainy. Wyjeżdżają na Zachód, by więcej zarobić. Na początku, kiedy emigracja była na poziomie kilkuset tysięcy, jej skutki nie były bardzo odczuwalne. Jeszcze na początku

2014 r. prawie 5 mln Ukraińców pracowało w Rosji. Po 2014 r. zaczęli wracać. Ponieważ gospodarka była przyzwyczajona do tego, że ich nie ma, kiedy 2 mln wyjechało na Zachód, nie było to jeszcze zbyt mocno odczuwalne. Kiedy jednak ta granica została przekroczona (a została, bo Ukraińcy wyjeżdżają nie tylko do Polski, lecz również do innych krajów zachodnich), gospodarka zaczęła odczuwać negatywne skutki. Teraz jest to dla nas poważne wyzwanie. Jednak wyjazdy Ukraińców na Zachód mają też pewne korzystne elementy. Na przykład w 2018 r. z Polski na Ukrainę zostało przekazane 3,6 mld dol. To pokaźna inwestycja. Taka jest perspektywa krótkoterminowa. Długoterminowa jest trochę inna – osoby, które wyjechały na Zachód, nie tylko się wzbogacą materialnie, lecz także zdobędą doświadczenie, kontakty, poznają języki obce, nauczą się inwestować i pracować. Kiedy sytuacja się ustabilizuje, będą wracać na Ukrainę. Wracają już np. informatycy, którzy mogą tworzyć taki sam produkt na Zachodzie i na Ukrainie.

Czy nie obawia się pan, że wyjazdy mogą jeszcze bardziej się nasilić, chociażby z tego powodu, iż na ukraińskich pracowników coraz bardziej otwierają się kolejne kraje UE, np. Niemcy?

Uważam, że większość osób, które przyjechały do Polski, planuje tutaj zostać. Jeżeli będą mieć do wyboru, czy jechać dalej na Zachód, czy zostać w Polsce, będą brać pod uwagę trzy czynniki: po pierwsze – wysokość zarobków, po drugie – mentalność, po trzecie – bliskość do Ukrainy. Co najmniej dwa – mentalność, klimat, w jakim pracują, podobny język, niewielka odległość od Ukrainy (np. z Warszawy do Kijowa mamy dziennie pięć-sześć połączeń lotniczych) – przeważa na korzyść Polski. Zarobki w Niemczech czy we Francji mogą być większe, jednak tam trzeba się przystosować do zupełnie odmiennych relacji międzyludzkich, do innej rzeczywistości, odjechać daleko od domu. Czy Ukraińcy są na to gotowi? Nie jestem tego pewien. ●

Okazuje się, że złoty jest najchętniej wybieraną przez Ukraińców walutą w przelewach bankowych



Jeszcze do niedawna Ukraina, podobnie zresztą jak inne kraje postkomunistyczne, była bardzo przywiązana do dolara. Hrywna nigdy nie była stabilną walutą, a po rosyjskiej napaści mocno straciła na wartości. Na znaczeniu zyskuje złoty

MAREK SIUDAJ

Złoty jedzie na Ukrainę

Przywiązanie do dolara było widać jeszcze w raporcie NBP o Ukraińcach pracujących w Polsce, który powstał na podstawie badania z 2015 r. Wynika z niego, że większość Ukraińców pracujących w Polsce osobiście zawoziło pieniądze do swojego

kraju (robiło tak 60 proc.) albo prosiło o zawieszenie pieniędzy zaufane osoby (13,5 proc.). Aż 17,1 proc. korzystało z transferów dokonywanych przez Western Union czy Money Gram.

Z deklaracji składanych jeszcze w 2015 r. wynika, że większość z osób, które przesyłały pieniądze na

Ukrainę, wcześniej wymieniało złote na inne waluty. Robiło tak aż 57,5 proc. badanych (z czego większość, bo 42,5 proc., wybierała dolary, 9,1 proc. decydowało się na euro, a hrywnę wybierało zaledwie 5 proc.). Jednak już wtedy aż 42,5 proc. badanych wysyłało lub wywoziło z Polski złote.

Na to warto zwrócić uwagę – jako że NBP oszacował, iż wartość transferów z Polski na Ukrainę wyniosła 5 mld zł, można uznać, że z tego ok. 2 mld zł pojechało w ten czy inny sposób na Wschód, z czego ok. 1,5 mld zł w banknotach i monetach złotych.

Albowiem popularność polskiej waluty wśród pracowników z Ukrainy szybko rosła – z danych raportu NBP z 2017 r. wynika, że już 57,6 proc. osób przekazuje złote. Zyskała na znaczeniu hrywna – złote na hrywnę wymienia 10,1 proc., straciło euro (na wspólną walutę wymienia tylko 7,9 proc. transferujących za granicę) oraz przede wszystkim zyskał dolar. Transakcji wymiany dokonuje już tylko 23 proc., a więc odsetek spadł niemal o połowę w dwa lata.

Zatem w bardzo szybkim tempie złoty wyparł dolara z funkcji waluty służącej zabezpieczeniu wartości. W ciągu zaledwie dwóch lat stał się główną walutą wwożoną do kraju przez Ukraińców, a jego stabilność sprawiła, że przestała się opłacać podwójna wymiana (ze złotego na dolara i z dolara na hrywnę).

Banki nie wszędzie dobrze widziane

Nie tylko w przekazach gotówkowych króluje złotówka. Okazuje się, że złoty jest najchętniej wybieraną przez Ukraińców walutą w przelewach bankowych. Tak wynika z danych, jakie posiada PKO BP, który ma swoją spółkę córkę – Kredobank – na Ukrainie i oferuje przelewy w naszej walucie na Wschód.

„Ponad 80 proc. przelewów z PKO BP do Kredobanku na Ukrainie wykonywanych jest w złotych. Dominacja złotówki jest uzasadniona – to waluta, w której klienci otrzymują wynagrodzenie w Polsce. Tylko część osób decyduje się wymienić jeszcze w Polsce zarobioną złotówkę na euro lub dolary i zlecić przelew na Ukrainę w takiej walucie” – napisała Aneta Styrynik-Chaber z biura prasowego PKO BP.

Tu konieczne jest pewne wyjaśnienie – mianowicie koszt przelewu bankowego uzależniony jest od tego, do jakiego systemu rozliczeń bankowych dany kraj należy. W efekcie przelew w ramach UE jest znacznie tańszy niż przelew poza UE, a i tutaj różnice bywają znaczące. Dlatego nie wszystkie banki w Polsce mają ofertę w miarę tanich przelewów poza UE, jak to jest w przypadku PKO BP. I oczywiście aby móc odebrać przelew w złotych, konieczny jest rachunek walutowy w złotówkach na Ukrainie. Aczkolwiek prawie nie ma możliwości przesłania pieniędzy z Polski w hrywnach, bo chyba żaden bank tej waluty nie ma w ofercie.

Nie da się jednak ukryć, że przelewy bankowe nie są najpopularniejszą metodą transferu pieniędzy na Ukrainę – choć poziom popularności zależy od regionu. Z badania NBP z 2017 r. wynika, że z usług bankowych korzysta aż 16,7 proc. Ukraińców pracujących w okolicy Lublina i zaledwie 4,4 proc. osób zatrudnionych w aglomeracji warszawskiej. Tam większą popularnością cieszą się usługi specjalistycznych firm (15,3 proc.), podczas gdy napływowi mieszkańcy Lublina i okolic korzystają z nich rzadziej (13,6 proc.). Największa część transferów dokonywana jest osobiście (robi tak nieco ponad 66 proc. osób z okolic Lublina i nieco ponad 61 proc. osób z Warszawy), ewentualnie przez przyjaciół i krewnych czy wręcz przez specjalnych pośredników. W sumie łącznie z tych „bezpośrednich” metod korzysta ok. 70 proc. osób pracujących w okolicy Lublina i 80 proc. z okolic Warszawy.

Polska gotówka na Wschód

Spróbujmy to wyliczyć – według szacunków NBP w 2017 r. transfery z Polski na Ukrainę mogły wynieść ok. 12 mld zł. Biorąc pod uwagę, jaki procent środków w tamtym roku nie został wymieniony na złotówki i jaka część została wywieziona osobiście, można się spodziewać, że w gotówce wyjechało ok. 4,8 mld zł. Dodajmy do tego jeszcze 1,5 mld zł i mamy 6,3 mld zł w gotówce, które wyjechały na Ukrainę w latach 2015 i 2017.

Jeśli założyć, że w roku 2016 na wywóz bezpośredni pieniędzy z Polski zdecydowało się 70 proc. pracujących w naszym kraju, a na obce waluty wymieniana była tylko co druga złotówka, to można przyjąć, że wówczas wyjechało 2,8 mld zł w gotówce. Z kolei w roku ubiegłym skala wywozu gotówki złotowej z naszego kraju mogła wynieść ok. 4,8 mld zł (zakładając, że złotówki nie wymieniło 65 proc. transferujących środki do Polski, ale na bezpośrednią podróż zdecy-

”

W ciągu zaledwie dwóch lat złoty stał się główną walutą wwożoną do kraju przez Ukraińców





dowało się już tylko 67,5 proc.). Łącznie więc mielibyśmy w ciągu ostatnich czterech lat transfer gotówki za granicę na poziomie zbliżonym do 14 mld zł.

Faktycznie może być on jeszcze wyższy. Według danych z PKO BP wypłacający środki z kont walutowych na Ukrainie też bowiem preferują złotówki.

„Przesłane złotówki na konta w Kredobanku wypłacane są najczęściej w kasie – tak robi 64 proc. klientów (wypłacają złotówki w kasie Kredobanku i prawdopodobnie wymieniają je już poza bankiem). 33 proc. wypłat z rachunków walutowych w Kredobanku następuje w bankomatach ukraińskich (wypłacana jest głównie hrywna). Płatności POS kartą do konta w złotówkach stanowią niecałe 3 proc.” – czytamy w informacji wysłanej do nas przez biuro prasowe PKO BP.

Ten wypływ gotówki na Wschód mógłby wyjaśnić widoczny w ostatnich latach silny wzrost gotówki w obiegu. W ciągu ostatnich siedmiu lat jej wartość się podwoiła – wzrosła z 100 mld zł do ponad 200 mld zł. Mimo ograniczeń związanych z używaniem gotówki przez firmy oraz ze wzrostem sieci akceptacji płatności bezgotówkowych i liczby kart płatniczych tempo przyrostu gotówki na rynku rośnie. W latach 2016–2018 co miesiąc przybywało średnio 1,46 mld zł gotówki w obiegu (poza kasami banków), w 2013–2015 – 1,39 mld zł, a w latach 2010–2012 – zaledwie 417 mln zł. Oczywiście ta różnica bierze się także z gorszego tempa wzrostu gospodarczego, zwłaszcza ze stagnacji z lat 2012–2013, ale eksport gotówki jest jedną z przyczyn wzrostu gotówki w obiegu.

Po co banknoty z orłem na Ukrainie?

Zapytaliśmy NBP o to, czy próbował badać, co się dzieje z polską gotówką za granicą.

„Zagadnienie dotyczące gotówki (polskich złotych) w posiadaniu nierezydentów jest obecnie przedmiotem badań w NBP. Wstępne szacunki pozwalają przypuszczać, że wielkość gotówki znajdującej się w obiegu poza Polską jest stosunkowo niewielka (poniżej 1 proc.) w stosunku do całości emisji banknotów i monet. Obecne zaawansowanie prac nie pozwala jednak na udzielenie precyzyjniejszych odpowiedzi” – napisał nam NBP.

Z deklaracji samych Ukraińców pracujących w Polsce wynika, że spora część z nich wiezie do siebie polską gotówkę, aby ją wymienić na hrywny albo tuż po przekroczeniu granicy, albo już u siebie. W ten sposób oszczędzają na koszcie jednego przewalutowania. Ale są tacy, którzy po prostu trzymają oszczędności w złotych. Wprawdzie ostatnio sytuacja hrywny się poprawiła, wzmocniła się zarówno w stosunku do złotego, jak

i euro, ale w ciągu poprzedniej dekady waluta ukraińska sporo straciła. Złoty jest po prostu bezpieczniejszym sposobem na trzymanie oszczędności niż hrywna. Zwłaszcza że nie ma najmniejszego problemu, aby dokonać jego wymiany – praktycznie na całym terytorium Ukrainy można znaleźć kantory lub osoby fizyczne, które zajmują się wymianą polskiej waluty. Widać to także w poradnikach dla wyjeżdżających na Ukrainę – coraz więcej z nich radzi, aby z Polski przywozić złote i je wymieniać. W niektórych, najbardziej popularnych pod względem turystycznych miastach, choćby we Lwowie, są miejsca, gdzie można płacić złotymi.

”

Polski złoty jest bezpieczniejszym sposobem na trzymanie oszczędności niż hrywna

I choć siła oraz znaczenie złotego na Ukrainie rosną, to jednak nie zdobył on takiej pozycji jak euro czy dolary. Na ukraińskich portalach ogłoszeniowych ceny podaje się w hrywnach i euro lub dolarach, ceny w złotówkach są rzadkością (i dotyczą raczej samochodów z Polski). Także biznes woli się rozliczać przede wszystkim w euro.

– Transakcje w obszarze finansowania eksportu, nad którymi dziś pracujemy, są rozliczane w euro. Z mojego wcześniejszego doświadczenia wynika, że dolar i złoty są dużo rzadsze – mówi Piotr Stolarczyk, dyrektor Departamentu Bankowości Międzynarodowej i Wsparcia Eksportu w Banku Pekao. – Z rozliczeniami transakcji w złotych możemy mieć do czynienia, gdy np. podmiot ukraiński (importer) podpisuje kontrakt z polską firmą w złotówkach (i w takiej walucie jest ten kontrakt rozliczany), gdyż ten sam podmiot jest jednocześnie eksporterem w innym kontrakcie, a jego eksport skierowany jest na rynek polski, zatem generuje ze swojej sprzedaży część przychodów w złotych – dodaje.

Można się jednak spodziewać dalszego wzrostu znaczenia złotówki, jeśli tylko uda się nam utrzymać pozycję kraju, w którym pracuje najwięcej Ukraińców, i jeśli płace w Polsce – a więc i transfery na Ukrainę – będą rosły. Warto pamiętać także, że jeszcze cztery lata temu większość Ukraińców wołała się pozbyć złotych i wymienić je na inne waluty. Całkiem możliwe, że jeśli tylko uda się nam utrzymać stabilność złotego, to za kolejne cztery–pięć lat okaże się, iż ceny w złotych staną się normą w transakcjach zawieranych na Ukrainie. ●

fol. Shutterstock (x2)

wydarzenia

Raporty & Analizy & Firmy



**Interes
narodowy
jest interesem spółki**

fol. Andrzej Skwarczyński

Chcę budować siłę grupy i zostawić w niej zysk. Dziś pracujemy w Orlenie z zespołem doświadczonych i zdeterminowanych ludzi, realizując strategię narodowego czempiona – wyjaśnia Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen, w rozmowie z Maciejem Wośko, redaktorem naczelnym „Gazety Bankowej”

5 lutego minął rok, od kiedy podjął się pan poprowadzenia narodowego czempiona na stanowisku prezesa zarządu PKN Orlen. Kluczowymi wydarzeniami tych 12 miesięcy były: rozpoczęcie procesu fuzji Orlenu z Lotosem, rozpoczęcie Programu Rozwoju Polskiej Petrochemii, rozwój stacji paliw z promocją polskich produktów, dywersyfikacja dostaw surowców... Które z nich są dla pana najważniejsze?

Daniel Obajtek: Obejmując funkcję prezesa PKN Orlen, zadeklarowałem, że moim priorytetem jest wzmacnianie pozycji koncernu w kraju i za granicą oraz wzrost jego wartości dla akcjonariuszy. Pamiętam o tej deklaracji każdego dnia. Ten rok przyniósł wiele ważnych decyzji we wszystkich obszarach działalności, które będą miały przełomowe znaczenie dla przyszłości koncernu. Mam satysfakcję, że niektóre podjęte działania już procentują, co przekłada się na bardzo dobre wyniki finansowe.

I to wbrew głosom malkontentów, które pojawiały się zaraz po pana nominacji...

Szczerze mówiąc, nie bardzo już chcę do tego wracać. Ale skoro pan to przypominał, to faktycznie pierwsze tygodnie były wyzwaniem. Musiałem się przekonać, jakie są możliwości zmian, zaproponować nowy kierunek rozwoju. Spotkałem się z atakiem niektórych mediów i zarzutami, że największą spółką w Europie Środkowo-Wschodniej będzie zarządzać człowiek PiS.

To akurat się zgadza, jest pan przecież człowiekiem Prawa i Sprawiedliwości.

Nigdy się tego nie wypierałem. Jestem członkiem PiS i utożsamiam się z jego programem gospodarczym, ale jednocześnie pamiętam, że kieruję spółką giełdową i ponoszę odpowiedzialność przed akcjonariuszami. Nie zapominajmy jednak, że PKN Orlen to największa polska firma, dlatego realizując projekty biznesowe, również bierzemy pod uwagę rozwój gospodarczy kraju. To zresztą działa w obie strony. Wystarczy przypomnieć sukces pana premiera Mateusza Morawieckiego w uszczelnieniu szarej strefy w obrocie paliwami. Skuteczne wdrożenie i egzekucja tych przepisów wpłynęły na wzrost sprzedaży paliw przez PKN Orlen. Skorzystał na tym budżet państwa. Orlen w 2018 r. z tytułu różnych podatków do budżetu państwa wpłacił ponad 36 mld zł, podczas gdy w 2015 r. było to ok. 10 mld zł mniej. To

najlepiej pokazuje, że realizacja celów biznesowych może i powinna współgrać z interesem narodowym.

Uspokajał pan nastroje po odejściu poprzedniego zarządu?

Orlen wiele zawdzięcza prezesowi Wojciechowi Jasińskiemu. To nie jest tak, że koncern zaczął się zmieniać dopiero po mojej nominacji. Nigdy nie wypowiem się negatywnie o działalności prezesa Jasińskiego, którego niezwykle cenię i szanuję.

Zamyka pan jednak swój pierwszy rok zarządzania Orlenem i otwiera kolejny.

Jeśli pyta pan, co jest dla mnie najważniejsze, to wszystkie procesy, które rozpoczęliśmy, traktuję równorzędnie. Wynikają one właśnie z koncepcji opracowanej i przedyskutowanej rok temu. I się uzupełniają. Ważne są połączenie Orlenu z Lotosem, rozbudowa przemysłu petrochemicznego, z którą wiąże się rozbudowa produkcji nawozów, inwestycje na Litwie, wykup czeskiego Unipetrolu, inwestycje w Płocku, Trzebini i Jedliczach. Także ekspansja na rynkach zewnętrznych – a ta wiąże się z potrzebą budowania rozpoznawalności marki. Stąd nasze inwestycje w sponsoring międzynarodowego sportu, jakim jest Formuła 1, do której wraca znakomity polski zawodnik Robert Kubica.

Choć polityka sponsoringowa Orlenu dostarczała w minionym roku sporo emocji...

To też element pracy koncepcyjnej. Podeszliśmy do sponsoringu trochę inaczej, renegotjowaliśmy kontrakty, bo musimy wiedzieć, jak wydawane są nasze pieniądze.

Wróćmy do biznesu. List intencyjny w sprawie przejęcia Grupy Lotos okazał się trzęsieniem ziemi.

Podpisanie listu jest sprawą prostą – znacznie więcej energii potrzeba, by sprostać założonemu planowi.

Może i tak, ale choć od lat mówiono o potrzebie budowy jednego, narodowego koncernu paliwowego, nikt tak daleko jeszcze nie doszedł.

W spółkach za rządów Platformy Obywatelskiej brakowało decyzyjności. Gdyby którykolwiek prezes ogłosił potrzebę fuzji Lotosu z Orlenem, to na drugi dzień siła polityczna, która tak bardzo podkreślała wagę gospodarki, „zielonej wyspy” i liberalizmu, od-

wołałaby go z hukiem. Ta fuzja powinna być ponad polityką, ponad podziałami partyjnymi – jest ważna dla przyszłości Orlenu, Lotosu oraz całej gospodarki polskiej i w tym regionie Europy. Jeśli dziś ktoś protestuje przeciw temu procesowi, działa na niekorzyść polskiej gospodarki.

Wciąż czekamy na decyzję Komisji Europejskiej.

Każdy kraj ma trochę inaczej ułożony biznes rafinerijny, więc musieliśmy i wciąż musimy wyjaśniać, tłumaczyć, porównywać – tak, by nasza wizja była dla Komisji Europejskiej oraz naszych partnerów jasna i zrozumiała. Oczywiście zdefiniowaliśmy próg ekonomicznej opłacalności przejęcia Lotosu. Pilnujemy, by podobnie jak w przypadku dostaw surowca każdy kontrakt był korzystny dla spółki, akcjonariuszy, a w konsekwencji także dla Polski i naszego regionu.

Za nami dziesiątki analiz, dokumentów, opracowań, wniosków, spotkań z Komisją Europejską. Pokazaliśmy nasze specyficzne uwarunkowania biznesowe, gospodarcze, geopolityczne... Proces postępuje zgodnie z planem. Zrobię wszystko, żeby zakończył się sukcesem. Trzeba było tylko odwagi, by podjąć decyzje, które pozwoliły ten proces rozpocząć. Determinację wykazujemy, dywersyfikując dostawy ropy. Jeszcze kilka lat temu prawie 100 proc. dostaw pochodziło z kierunku wschodniego, zmniejszyliśmy ten wolumen do 70 proc. Obecnie pozyskujemy ropę z wielu innych kierunków. Kupujemy takie gatunki ropy, z której w najbardziej ekonomiczny sposób uzyskujemy produkt potrzebny naszemu rynkowi. Liczy się i cena, i jakość ropy.

Ropa saudyjska jest lepsza i tańsza?

Pozyskujemy surowiec z kilku kierunków, w tym z krajów arabskich. Oprócz ropy pochodzącej z umów długoterminowych z Rosjanami (Rosneft Oil Company, Tatneft Europe AG) oraz z Saudi Arabian Oil Company, rafinerie z GK ORLEN przerabiały już m.in. surowiec pochodzący z Iranu, Iraku, Azerbejdżanu, Kazachstanu, Nigerii czy Norwegii. Każdy surowiec jest nieco inny i może być trochę inaczej wykorzystany. Istotne są nie tylko cena baryłki ropy, lecz również jakość i produkt, który możemy uzyskać z danego surowca.

Rozumiem, że na tym właśnie polega rola koncernu naftowego, petrochemicznego...

Dzięki zrealizowanym w ostatnim czasie inwestycjom rozwojowym dziś dysponujemy jednym z najnowocześniejszych obiektów laboratoryjnych w Europie. W ten sposób stworzyliśmy warunki do analizy próbek ropy w cyklu 24-godzinny, a to pozwala na bieżący monitoring zakładanych uzysków z przerobu surowca.

Akcjonariusze to zauważają, a cena akcji Orlenu została ustabilizowana.

Do mediów, do opinii publicznej trafia informacja o może 15 kluczowych procesach, które dzieją się w PKN Orlen. Tymczasem w tle są dziesiątki, setki działań, w których realizujemy pewną wizję rozwoju koncernu.

Dlatego wymienił pan prawie wszystkich prezesów spółek zależnych w koncernie i obniżył wynagrodzenia o 20 proc.?

Wzmacniamy spółki zależne. Część z nich restrukturyzujemy. Optymalizujemy zatrudnienie w tych spółkach, by budowały swoje kompetencje i zabezpieczały biznes całej grupy. Nie możemy pozwolić, żeby wyprowadzono „na zewnątrz” wszystkie zadania, bo kiedyś te niezwiązane z grupą spółki odsącają zysk Orlenu. Chcę budować siłę grupy i zostawić w niej zysk. Wracając do zmian kadrowych, to gdyby ich nie było, nie udało by się tak sprawnie przeprowadzić tylu procesów. Nie dokonałem tego przecież sam. To cały zarząd, cała kadra dyrektorska, ale przede wszystkim to zasługa 20 tys. pracowników, którzy na co dzień wdrażają te wszystkie projekty. Z nimi można je przeprowadzić i wprowadzać tak nowatorskie programy jak „Orlen w portfelu”, który jest skierowany do inwestorów indywidualnych. Nie jestem osobą, która z założenia zwalnia ludzi. Ale jeśli organizuję spotkanie z zarządami spółek, to wymagam od prezesów, by potrafili odpowiedzieć na proste pytania. Nie zatrudniamy celebrytów, którzy nie znają wyników prowadzonych przez nich spółek, wysokości odpisów amortyzacyjnych, działań strategicznych, planów zarządzanej spółki... Oczywiście to rady nadzorcze decydują o zmianach zarządów spółek. Jako prezes PKN Orlen mogę udzielać rekomendacji.

Ma pan doświadczenia z Energi, której był pan prezesem.

Orlen to zupełnie inna firma. To zupełnie inne procesy. W Enerdze potrzebę połączenia spółek, bo było ich w grupie za dużo, kwestię urynkowienia podejścia do „zielonych certyfikatów”, konieczność przeprowadzenia zmian technologicznych widać było na pierwszy rzut oka. W Orlenie wszystko jest znacznie bardziej złożone, ponadwymiarowe, międzynarodowe. W grupie Orlen mamy szóstą co do wielkości spółkę w Czechach, największą na Litwie. Jesteśmy polską spółką strategiczną.

Zdecydowana poprawa stosunków z Litwinami, w kontekście rozwoju Orlen Lietuva, była sporym sukcesem.

W działania biznesowe wkracza polityka międzynarodowa, decyzje na szczeblach rządowych mają wpływ na realizację biznesu z danym krajem. W tym przypadku to przede wszystkim sukces pana premiera Mateusza Morawieckiego, który stworzył takie podwaliny polityczne, by rozmowy biznesowe były



fot. Andrzej Skwarczyński

Romuald Orzeł, prezes wydawnictwa Fratria, Daniel Obajtek, prezes PKN Orlen, Adam Burak, dyrektor wykonawczy ds. komunikacji korporacyjnej, i Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej”

znacznie prostsze. Pokazaliśmy naszym sąsiadom, że do inwestowania podchodzimy niezwykle poważnie, by litewska rafineria była konkurencyjna na rynku globalnym. Trzeba też pamiętać, że Możejki są strategiczną rafinerią także dla polskiego rynku – nie jesteśmy w stanie uzupełnić wzrostu zapotrzebowania na paliwa, bazując jedynie na polskich rafineriach. Proszę zwrócić uwagę, że planujemy wydać w tym roku na inwestycje w grupie kapitałowej 5 mld zł. To o 700 mln zł więcej niż w roku ubiegłym.

PKN Orlen jest spółką akcyjną, która jednak działa w imieniu akcjonariuszy. Kilkakrotnie z prezesami spółek z udziałem skarbu państwa rozmawialiśmy na temat godzenia interesu narodowego i biznesowego. Pana zdaniem to są dwa różne pojęcia czy można jednak między nimi znaleźć wspólny mianownik?

Trzeba je oczywiście łączyć. Każdy obywatel Polski korzysta z Orlenu, nawet nieświadomie. Korzysta z produktów spółki – petrochemii, paliw. Łączymy interes ekonomiczny spółki i interes narodowy. Zarządzanie firmą o tak wyjątkowym znaczeniu nie tylko z uwagi na skalę działania, lecz również strategiczną rolę w budowaniu siły polskiej gospodarki, wiąże się ze szczególną odpowiedzialnością wobec wszystkich grup interesariuszy. Jeżeli np. dywersyfikujemy dostawy ropy, znajdujemy lepszy, bardziej atrakcyjny ekonomicznie surowiec, działamy w interesie ekonomicznym spółki. Uniezależniamy też kraj od dostaw z jednego kierunku, rozwijamy gospodarkę, zapewniamy bezpieczeństwo dostaw i produkcji.

Produkty polskich producentów na stacjach Orlenu, wspieranie gospodarczego patriotyzmu – to interes narodowy czy biznesowy?

I jedno, i drugie. Jeśli my „robimy biznes” z polskimi producentami, oni też nas wybierają – tankując paliwo, inwestując, angażując się w programy lojalnościowe. Jeśli rozwija się jakakolwiek polska spółka, rozwijają się też Orlen i polska gospodarka. Nie można

tego bagatelizować w firmie, która realizuje obroty na poziomie 110 mld zł.

To dlaczego przez tyle lat na polskich stacjach nie było polskich kanapek, polskich soków, jabłek, polskich produktów?

No przecież gospodarka nie miała być narodowa, kapitał nie miał mieć narodowych barw. Nie było żadnych narzędzi umożliwiających wspieranie takich projektów. Ci, którzy się tu zacementowali, bali się spotykać z polskimi przedsiębiorcami, bo po co ryzykować... Orlen był dla tych, którzy byli w Orlenie i mieli tu być na zawsze. Nikomu nie zależało na wprowadzaniu konkurencji. Dziś pracujemy w PKN z zespołem doświadczonych i zdeterminowanych ludzi, którzy dostali szansę i zwyczajnie chcą im się pracować, korzystają z tej szansy, realizując strategię narodowego czempiona. ●

Daniel Obajtek

Menedżer, przedsiębiorca oraz doświadczony działacz samorządowy, ukończył Program Executive MBA. Prezes Zarządu PKN ORLEN od 5 lutego 2018 r. Wcześniej pełnił funkcję prezesa Energi SA oraz prezesa Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, gdzie skutecznie usprawnił procesy związane z wydatkowaniem wielomiliardowych środków z funduszy unijnych i krajowych. W spółce energetycznej zoptymalizował koszty funkcjonowania przedsiębiorstwa i zreformował je pod względem organizacyjnym. Jest też członkiem Rady Programowej Forum Ekonomicznego w Krynicy i przewodniczącym Rady Polskiego Komitetu Olimpijskiego. W styczniu 2019 roku otrzymał nagrodę Człowiek Wolności tygodnika „Sieci” uhonorowaną Daniela Obajtka wyróżnieniem gospodarczym za wspieranie idei gospodarczego patriotyzmu i gospodarczego bezpieczeństwa Polski, konsekwencję i determinację w działaniu oraz za szczególną dbałość o budowanie wartości narodowego czempiona – PKN Orlen.

ROBERT BOMBAŁA

Firmy nadal chcą zatrudniać i więcej płacić

fol. Shutterstock

Polskie przedsiębiorstwa odczuwają coraz większe problemy ze znalezieniem pracowników, a także z rosnącymi kosztami wynagrodzeń. Jednocześnie jednak nadal planują zwiększać zatrudnienie i podnosić płace

Wyniki Szybkiego Monitoringu NBP są dosyć zaskakujące i na dodatek – jak twierdzi Paweł Radwański, ekonomista z BGŻ BNP Paribas – są to „zaskakująco pozytywne sygnały z krajowego rynku pracy”. Dane te mogą budzić zdziwienie, szczególnie jeśli spojrzysz się na wskaźniki gospodarcze, które sygnalizują spowolnienie.

Jak dodaje Radwański: „Według ankiety NBP odsetek firm planujących wzrost zatrudnienia był w I kwartale br. aż o 17,8 pkt wyższy niż planujących zwolnienia, co jest wynikiem lepszym niż przed rokiem i najwyższym w historii badania. Wyraźnie wzrósł też analogiczny wskaźnik prognozujący wzrost wynagrodzeń, który zbliżył się do rekordów z początku 2008 r. Wszystko to nastąpiło na tle spowalniającej gospodarki i rosnących obaw o przyszłą sytuację ekonomiczną firm”.

Sygnały z rynku

W Szybkim Monitoringu NBP można przeczytać, że prognozy zatrudnienia w I kwartale tego roku są optymistyczne. „Blisko 26,5 proc. respondentów deklaruje zwiększenie zatrudnienia (tj. o ok. 7,6 p.p. więcej w stosunku do analogicznego okresu zeszłego roku). Widoczny jest także wyraźny wzrost indeksu zatrudnienia (różnicy między deklaracjami zwiększenia i zmniejszenia zatrudnienia) – do najwyższego historycznie poziomu (ok. 21 p.p.). Zgodnie z prognozami zmian zatrudnienia na cały 2019 r. ok. 37 proc. przedsiębiorstw zamierza zwiększyć liczbę zatrudnionych. Oznacza to, że przedsiębiorstwa raczej nie oczekują wyraźniejszego przyspieszenia aktywności na tym polu w kolejnych kwartałach roku. Jednocześnie większość firm (55 proc.) nie przewiduje zmian wielkości zatrudnienia. Indeks zatrudnienia wzrósł we wszystkich klasach wielkości przedsiębiorstw, ale szczególnie w sektorze dużych przedsiębiorstw (wzrost o ponad 10 p.p. w stosunku do I kwartału 2018 r.). Wysoką wartość wskaźnika zatrudnienia (ponad 27 p.p.) zaobserwowano również w przypadku firm eksportujących za granicę. Dla nieeksporterów jego wartość jest natomiast niższa niż dla ogółu (13,5 p.p.)”.

Paweł Radwański w swoich wnioskach wskazuje, że taka sytuacja może sugerować, iż „pomimo pogorszenia koniunktury firmy nadal odczuwają braki kadrowe i są gotowe je uzupełniać. Co więcej, marże przedsiębiorstw, mimo spadku w 2018 r., pozostają relatywnie wysokie, na poziomie bliskim średniej z kilku ostat-

nich lat. Umożliwia to przedsiębiorstwom opłacenie wykwalifikowanych kadr. Patrząc na skalę wzrostu wskaźników zatrudnienia i płac w badaniu NBP, można jednak postawić jeszcze jedną hipotezę. Dla niektórych firm inwestycja w ludzi może być sposobem przygotowania się na trudniejsze czasy, lepszym niż zwiększanie nakładów na aktywa trwałe”.

Według Aleksandry Świątkowskiej, ekonomistki BOŚ, pogorszenie koniunktury tylko w ograniczonym stopniu zmieni układ sił na rynku pracy. Trwałe problemy przedsiębiorców ze znalezieniem pracowników nadal będą kartą przetargową dla tych drugich. Jak ocenia Aleksandra Świątkowska: „Stąd pomimo słabszej koniunktury gospodarczej nie oczekujemy spadku dynamiki wynagrodzeń w 2019 r. istotnie poniżej 7 proc. r/r. Na utrzymującą się podwyższoną presję płacową wskazują także badane przez NBP przedsiębiorstwa. Po tym jak pod koniec 2018 r. firmy wskazywały na pewne osłabienie żądań płacowych, z początkiem 2019 r. respondenci badania wskazali na ponowne wyraźne nasilenie presji płacowej. To, że firmy wskazują na szerszy zasięg podwyżek, ale jednocześnie utrzymanie dotychczasowej ich skali, wskazuje z kolei na niskie ryzyko gwałtownego wzrostu płac i w efekcie kosztów przedsiębiorstw”.

Paweł Radwański dodaje, że nasz rynek powoli zaczyna przypominać to, co widzimy w krajach rozwiniętych. Zwraca jednak uwagę, że wraz ze wzrostem wynagrodzeń niezbędny jest wzrost produktywności. „Wyniki badań NBP potwierdzają zatem rosnącą rolę pracowników w gospodarce, która konverguje tym samym do krajów rozwiniętych, gdzie produktywność pracy jest zazwyczaj wyższa. Proces ten jest oczywiście stopniowy i zajmie wiele lat, ale już teraz można przypuszczać, że przyniesie dalszy, szybki wzrost wynagrodzeń zarówno na początku tego roku, jak i w kolejnych kwartałach. Warto przy tym podkreślić, że nie musi temu towarzyszyć wzrost inflacji. Kluczowe jest to, aby poziom wynagrodzeń odpowiadał produktywności, co sprzyjałoby utrzymaniu się gospodarki na ścieżce zrównoważonego wzrostu. Jeśli jednak presja płacowa okaże się zbyt gwałtowna, przyniesie gospodarce jedynie wzrost inflacji, a dla wielu firm może oznaczać trwałą utratę rentowności” – uważa Radwański.

Niestety – jak podaje NBP – dane z Szybkiego Monitoringu mogą wskazywać na możliwość dalszego pogarszania się relacji między dynamiką wydajności pracy a dynamiką przeciętnego wynagrodzenia. W raporcie czytamy: „[...] w IV kw. 2018 r. wzrósł bowiem odsetek przedsiębiorstw deklarujących szybszy wzrost

płac niż wydajności i jednocześnie spadł udział firm sygnalizujących sytuację odwrotną”.

Bolesna presja płacowa

W raporcie banku centralnego napisano, że „w IV kw. 2018 r. wzrosły odsetki przedsiębiorstw sygnalizujących nasiloną presję płacową i problem braku pracowników. Prognozy na I kw. 2019 r. wskazują zarówno na wzrost udziału firm planujących podniesienie przeciętnego wynagrodzenia, jak i na wzrost indeksu przewidywanego zatrudnienia. W świetle opinii respondentów czynniki te nie powinny jednak tworzyć nadmiernej presji płacowej – zmianie nie uległa bowiem mediana wysokości planowanych podwyżek wynagrodzeń”. Jak ocenia Roman Przasnyski, główny analityk Gerda Broker: „Polskie firmy, szczególnie małe i średnie, znalazły się w dość trudnej sytuacji. Już wcześniej odczuwały one narastające kłopoty z pozyskiwaniem pracowników oraz wzrostem kosztów, w tym głównie kosztów wynagrodzeń”.

Według raportu NBP dynamika przeciętnego wynagrodzenia w II i III kw. 2018 r. była wyraźnie wyższa (ok. 5 p.p.) w sektorze publicznym niż w sektorze prywatnym, „ale było to spowodowane przede wszystkim wysoką dynamiką płac w państwowych przedsiębiorstwach górniczych. Po ich wyłączeniu z analizy różnica między sektorami własności zdecydowanie się zmniejszyła – dynamika płac r/r w sektorze publicznym w III kw. była wyższa o 1,4 p.p. niż w sektorze prywatnym”.

W minionym roku średnie wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw rosło o 6-7 proc. Na przykład średnie miesięczne wynagrodzenie w sektorze przedsiębiorstw zwiększyło się w grudniu ubiegłego roku o 6,1 proc. (w listopadzie było to 7,7 proc.). Według Przasnyskiego, dodatkowo „duży stopień konkurencyjności zarówno na rynku krajowym, jak i zagranicznych utrudniało bądź wręcz uniemożliwiało przenoszenie rosnących kosztów na odbiorców”. I dodaje, że sytuacja ta prowadziła do kurczenia się marż oraz pogarszania się wyników finansowych. „Jednocześnie wzrost sprzedaży pozwalał łagodzić te niekorzystne zjawiska i utrzymywać dobrą sytuację w zakresie płynności finansowej. Od kilku miesięcy firmy sygnalizują jednak słabnący popyt na swoje wyroby i usługi, szczególnie na rynkach zagranicznych”.

Co ciekawe, w tej kwestii widoczne są rozbieżności między badaniami ankietowymi, prowadzonymi przez NBP, a wskazaniami PMI (dla przypomnienia warto dodać, że wskaźnik PMI spada w ostatnich miesiącach poniżej 50 pkt, w styczniu wynosił 48,2 pkt, a miesiąc wcześniej – 47,6 pkt). W komunikacie Markit można przeczytać, że „analizując styczniowe wyniki badań, warto zwrócić uwagę na wzrost zatrudnienia w polskich firmach z sektora wytwórczego, który nastąpił po trzech miesiącach cięć. Mimo to tempo, w jakim tworzone nowe miejsca pracy, było słabsze niż trend obserwowany na przestrzeni ostatnich pięciu lat. Zrównoważony wzrost

poziomu zatrudnienia częściowo odzwierciedlał dalszą poprawę oczekiwań odnośnie przyszłej produkcji, które w listopadzie były najsłabsze od niemal sześciu lat”.

Różnice, na które wskazuje Przasnyski, są wyraźne. Jak sam mówi: „W tych pierwszych nie widać niepokojących sygnałów, a niewielkie pogorszenie pojawia się dopiero w prognozach na pierwszy kwartał 2019 r. i dotyczy zarówno obniżenia się popytu zagranicznego, jak i ocen własnej sytuacji firm. Wskazują one także na utrzymywanie się presji płacowej i kłopotów z brakiem pracowników, jednak przewidują umiarkowany wzrost zarówno zatrudnienia, jak i wynagrodzeń”.

”

Według NBP w tym roku odsetek firm przewidujących u siebie wzrost wynagrodzeń wzrósł do 37 proc.

Z Szybkiego Monitoringu NBP wynika, że po spadku w III kwartale 2018 r. ponownie wzrósł odsetek przedsiębiorstw sygnalizujących presję płacową – do 71 proc. (historyczne maksimum). „Wzrost tego odsetka wynika ze wzrostu udziału firm, które poinformowały wręcz o nasileniu się tej presji (ok. 21 proc. respondentów). Największy udział firm odczuwających presję płacową występuje w sektorze dużych przedsiębiorstw (78 proc.), natomiast największy wzrost tego odsetka (zarówno w ujęciu r/r, jak i k/k) odnotowano dla mikro firm” – czytamy w monitoringu. Prognozy zawarte w raporcie pokazują, że udział firm, które podwyższają wynagrodzenie, zwiększa się. W I kw. tego roku odsetek przedsiębiorców przewidujących wzrost wynagrodzeń wzrósł do 37 proc. A wśród tych firm, które wskazują na rosnącą presję płacową, aż 57 proc. deklaruje podwyżki w najbliższym czasie.

Przasnyski dodaje, że chociaż sytuacja sprzyja presji płacowej, to „w 2019 r. dynamika wzrostu wynagrodzeń powinna być jednak nieco mniejsza niż w 2018 r. i będzie słabła w ciągu roku, osiągając prawdopodobnie poziom 5-6 proc. Utrzymujące się kłopoty z podażą pracy będą prowadziły do wolniejszego wzrostu zatrudnienia, widocznego zresztą już pod koniec ubiegłego roku”.

Ekonomistka BOŚ Aleksandra Świątkowska przewiduje, że w tym roku zatrudnienie będzie rosło, ale jego tempo będzie się obniżać. „W warunkach wolniejszego tempa wzrostu gospodarczego spodziewamy się także wolniejszego wzrostu popytu na pracę, szczególnie przy szybko rosnących w ostatnich kwartałach kosztach pracy. Z drugiej strony skala spowolnienia gospodarki nie będzie na tyle silna, aby powstrzymać sam wzrost zatrudnienia”.



KGHM
POLSKA MIEDŹ

Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, umożliwiając rozwój nowoczesnego świata.

MAREK JAŚLAN

Huawei nie rządzi w bankach

Polskie banki korzystające z rozwiązań ICT koncernu Huawei – który ostatnio ma problemy w naszym kraju – są na razie spokojne. Choć bankowcy nie odczuwają paniki, to czekają na rozstrzygnięcia na szczeblu rządowym

Decyzja polskiego rządu przy wyborze sprzętu do inwestycji w sieć 5G najbardziej interesuje operatorów telekomunikacyjnych. Huawei deklaruje swoją przejrzystość dla rządu, operatorów i organizacji zewnętrznych. Chiński koncern podkreśla, że jest firmą prywatną i skupia się na technologii, a nie uprawianiu polityki. Równocześnie Chińczycy ostrzegają, że wykluczenie ich w przetargu na rozwój 5G oznacza ograniczenie

konkurencji, a w rezultacie wzrost cen usług telekomunikacyjnych o 100–300 proc. Dla całej polskiej gospodarki taka decyzja oznacza nawet 8,5 mld euro straty.

Branża telekomunikacyjna analizuje wszystkie możliwe scenariusze rozwoju wydarzeń. W styczniu Ministerstwo Cyfryzacji poinformowało, że prowadzona jest swego rodzaju inwentaryzacja wykorzystania urządzeń Huawei w Polsce. Jak podkreślił resort, w pierwszej kolejności dotyczy to infrastruktury telekomunikacyjnej, ale zapewne obejmie też inne sekto-



Huawei w Polsce obecny jest oficjalnie od 2004 r. Przez wiele lat jego główne działania kierowane były na biznes telekomunikacyjny

fol. Nemanja Zolovic / Shutterstock

ry – z pewnością administrację publiczną, i prawdopodobnie branżę finansową. Przykładem może być Tajwan, gdzie w grudniu ubiegłego roku rząd ogłosił, że rozważa rozszerzenie ustanowionego w 2013 r. zakazu używania technologii firm Huawei i ZTE również na sektor finansowy. Jest to element rozgrywki pomiędzy dwoma skłóconymi państwami, w ramach której Tajwańczycy ograniczają udział firm z ChRL w swoim rynku. Dla Tajwanu oznacza to zdominowanie instytucji finansowych przez sprzęt amerykańskiego IBM.

Banki na zakupach

A jak to wygląda w polskim sektorze bankowym? Zapewne znaczenie Huawei może być u nas większe niż na Tajwanie, ale nie jest to na pewno dominujący dostawca IT dla tego sektora. Same banki w Polsce, ze zrozumiałych względów, nie chcą się dziś specjalnie chwalić tym, że kupiły coś u Huawei.

Firma w Polsce obecna jest oficjalnie od 2004 r. Przez wiele lat jej główne działania kierowane były na biznes telekomunikacyjny. Huawei ma dziś trzy grupy biznesowe – Carrier (sprzęt telekomunikacyjny), Consumer (urządzenia elektroniczne użytkowe, m.in. smartfony) oraz Enterprise (produktów i usług ICT), a rozwiązania dla sektora finansowego mieszczą się w tej ostatniej jednostce, utworzonej w 2011 r. Chociaż to najmłodszy i najmniejszy dział chińskiego koncernu, Huawei miał duże ambicje z nim związane. Dział enterprise posiada w swym portfolio rozwiązania dla sieci korporacyjnych, systemów cloud computing czy centrów danych. Na potrzeby klientów tworzy zarówno pojedyncze urządzenia oraz elementy infrastruktury, jak i samodzielne systemy komputerowo-serwerowe, a także kompletną infrastrukturę sieci bezprzewodowych, bezpieczeństwa i zunifikowanej komunikacji. Rozwiązania Huawei Enterprise znajdowały nabywców m.in. w przemyśle transportowym, energetycznym, sektorze finansowym, zdrowotnym czy publicznym.

W skali globalnej grupa biznesowa enterprise Huawei w 2017 r. w stosunku do 2016 zwiększyła przychody o 35,1 proc., do ok. 8,7 mld dol. Nadal pod tym względem jest to najmniejszy biznes Huawei (9,1 proc. udziału). Firma liczy jednak na dużo więcej. „Nasz biznes w sektorze enterprise ma duży potencjał i wkrótce eksploduje z ogromną siłą” – zapowiadało w ubiegłym roku Huawei. Te oczekiwania dotyczyły też jak najbardziej rynku polskiego.

Jednym z pierwszych wdrożeń Huawei w Polsce w sektorze bankowym był projekt dla IT BPS, spółki informatycznej z grupy Banku Polskiej Spółdzielczości, zrealizowany przed czterema laty. Dotyczył on budowy platformy IaaS (Infrastructure-as-a-Service). Było to środowisko stworzone na potrzeby świadczenia usług dla podmiotów zrzeszonych w grupie BPS. Podkreślano przy tej okazji z dumą, że IT BPS jest jedną

z pierwszych firm w Polsce, która oparła rozwiązanie IaaS na infrastrukturze Huawei. W tym celu zakupiono serwery oraz macierze dyskowe chińskiego koncernu. Głównym założeniem projektu było umożliwienie bankom spółdzielczym oraz spółkom grupy BPS wynajęcia infrastruktury IT w modelu cloud computing. Korzystając z tej infrastruktury w chmurze, każdy z banków spółdzielczych grupy BPS miał możliwość zakupu określonej liczby wirtualnych procesorów, pamięci, przestrzeni dyskowej czy dedykowanych maszyn wirtualnych.

Zdecydowano, że całość środowiska powstałego na bazie rozwiązań Huawei będzie monitorowana za pomocą oprogramowania Huawei eSight. Jako zalety IT BPS wymieniało, że umożliwia ono zbieranie danych kontrolnych zarówno dotyczących serwerów, jak i macierzy dyskowych. „Daje też możliwość podglądu działania całego systemu z jednej konsoli oraz pozwala na szybkie rozpoznawanie i diagnozowanie pojawiających się problemów. Oprogramowanie to umożliwia również rozszerzenie w przyszłości zakresu działania o monitorowanie elementów niedostarczanych przez Huawei. eSight pozwala także na ustawienie automatycznych powiadomień dla administratorów w razie ewentualnych problemów z funkcjonowaniem jednego z elementów infrastruktury IT. Dzięki temu zmniejsza się czas reakcji na awarię” – przekonywał IT BPS.

Pod koniec 2015 r. projekt migracji stacjonarnej telefonii analogowej na telefonię IP, który m.in. zakładał wymianę infrastruktury sieciowej w oddziałach i centrach wsparcia oraz oparcie jej na rozwiązaniach Huawei, zaczął realizować Bank Zachodni WBK (obecnie Santander Bank Polska). A konkretnie prowadziła go firma Talex z Poznania – integrator IT i jeden z partnerów chińskiego producenta w Polsce. Bank zaś podkreślał m.in., że długoletni okres wsparcia pozwolił mu uzyskać dobrą ofertę od dostawcy.

BZ WBK to zresztą niejedyny klient informatycznej spółki w sektorze bankowym. Są wśród nich Credit Agricole, ING czy PKO BP. I tak np. w 2017 r. poznańska spółka podpisała umowę z ING Bankiem Śląskim na dostawę oraz instalację sprzętu komputerowego na nowo powstających jednostkach banku. Miało to związek z intensywną rozbudową sieci placówek przez bank, a sprzęt miał trafiać w tym kontrakcie głównie do placówek partnerskich, stając się uzupełnieniem istniejącej sieci sprzedaży banku. Były one uruchamiane w miejscach, gdzie do tej pory ING BSK nie był obecny.

Samo Huawei już pod koniec 2016 r. – podczas konferencji Huawei Connect Poland, którą anonsowało jako największe branżowe wydarzenie, jakie chiński koncern przygotował dla sektora ICT w Polsce – przedstawiało najważniejsze projekty wdrażane przez firmę oraz jej partnerów. A były wśród nich m.in. modernizacja sieci IT dla PKO Banku Polskiego czy Banku Zachodniego WBK, ale też Ministerstwa Finansów,

Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, Polskich Kolei Państwowych czy Gaz Systemu.

Oczywiście polskie banki nie są wyjątkiem, bo z technologii Huawei korzystają instytucje finansowe na całym świecie. Firma podaje, że jest ich ponad 300 w skali globalnej – w tym cztery banki chińskie (Industrial & Commercial Bank of China, China Construction Bank Corp., Agricultural Bank of China, Bank of China) i dwa zagraniczne, które wymieniane są na liście 10 największych tego typu instytucji na świecie. Silną pozycję ma też w Rosji, gdzie jednym z klientów jest np. Sberbank.

Przygoda z fintechami

Jason Cao, szef globalnego działu biznesowego obsługującego kluczowych klientów z sektora finansowego w Huawei, podczas Huawei Connect 2018 r., które odbyło się w październiku w Szanghaju, podkreślał, że koncern uczestniczy w wielu projektach transformacji cyfrowej prowadzonych przez banki na całym świecie. Oferuje przy tym platformy, które wykorzystują duże zbiory danych, przetwarzając je w chmurze, by potem banki np. poprzez kanał mobilny czy media społecznościowe mogły w sposób bardziej zindywidualizowany docierać do swoich klientów.

Cao odniósł się też do kwestii fintechów, które według niego będą się coraz częściej stawać częścią tradycyjnych banków. „Być może za pięć lat pojawią się nowe technologie, które mogą ponownie zakłócić działanie sektora finansowego. Jednak prawda jest taka, że wiele instytucji finansowych nie musi się martwić, co będzie w 2025 r., ponieważ mogą one nie przetrwać do tego czasu, jeśli się nie przekształcą” – ostrzegł Jason Cao. Dlatego jego zdaniem banki muszą inwestować w takie technologie jak sztuczna inteligencja. Z jego obserwacji wynika, że instytucje finansowe traktują to wyzwanie bardzo poważnie i często poza swoją główną działalnością otwierają przyczółki, które mają oferować klientom rozwiązania oparte na najnowszych technologiach cyfrowych. Zdarza się nawet, że potem swe główne działania przenoszą właśnie do nich. Co ciekawe, jako pierwszy podał polski mBank, który na początku tego stulecia, gdy powstawał jako bank wirtualny, był traktowany jako eksperyment podejmowany przez BRE Bank. Jednak kilka lat temu, gdy nastąpił rebranding BRE Banku, MultiBanku oraz mBanku, zostały one połączone w jedną instytucję pod marką mBanku, która była najlepiej rozpoznawalna i osiągnęła największy sukces.

Co dalej z siecią piątej generacji?

Spore nadzieje Chińczycy wiążą na pewno z usługą płatności mobilnych Huawei Pay. Ma być to konkurencja do działających na podobnej zasadzie Apple

Pay czy Android Pay. Użytkownik pobiera aplikację na swój telefon i podpiną do niego kartę płatniczą. Następnie wykonuje za jej pomocą transakcje zbliżeniowe w terminalach POS. Pierwszym rynkiem, na którym Huawei Pay było obecne od 2016 r., były Chiny, jednak koncern już ogłosił, że niebawem (w I kwartale tego roku) usługę zacząć oferować dwa banki działające w Rosji – Gazprombank i Russian Agricultural Bank (Rosselkhozbank). Huawei chce też nawiązać współpracę z kolejnymi rosyjskimi instytucjami finansowymi. Ekspansja na rynek rosyjski została poprzedzona roczną współpracą pomiędzy Huawei a chińskim wydawcą kart UnionPay (partner we wdrożeniu). Warto wspomnieć, że pod koniec ubiegłego roku portugalski Bank Millennium bcp stał się pierwszą instytucją finansową, która będzie wydawać karty kredytowe UnionPay.

Zamieszanie wokół Huawei będzie miało prawdopodobnie wpływ na wybory technologiczne w polskich bankach, co może przynajmniej na pewien czas mocno ostudzić zapal chińskiego koncernu w ekspansji na nasz rynek finansowy.

Banki w Polsce czekają na decyzje, jakie zapadną na szczepu rządowym. Być może blisko im do takiego stanowiska, jakie zaprezentował Jean-Marc Harion, prezes Playa, dla którego Huawei jest głównym dostawcą sprzętu telekomunikacyjnego. „Na pytania związane z Huawei nie odpowiemy. Zwracam tylko uwagę, że żadne prawne ani polityczne decyzje w tej kwestii nie zapadły” – mówił na konferencji prasowej.

Oficjalne odpowiedzi banków na pytania o obecność Huawei w ich systemach brzmią podobnie. „Wszelkie działania podejmowane przez Bank Pekao w tym zakresie są działaniami wewnętrznymi i nie komentujemy ich na zewnątrz” – odpowiada oficjalnie biuro prasowe Banku Pekao S.A.

„Bank Ochrony Środowiska na bieżąco monitoruje sytuację na rynku podmiotów z branży informatycznej. W przypadku konieczności wykorzystania nowych rozwiązań technologicznych bank przy ich wyborze bierze pod uwagę wszystkie sprawdzone informacje dotyczące rozwiązań proponowanych przez konkretnego oferenta, kładąc szczególny nacisk na kwestie bezpieczeństwa sprzętu i usług” – to odpowiedź Biura Komunikacji i Relacji Inwestorskich BOŚ Banku.

Z pewnością sektor finansowy może się przyglądać rozwojowi sprawy Huawei ze znacznie większym spokojem niż telekomy. Nie tylko dlatego, że w znacznie mniejszym stopniu polegają one na technologii Huawei. Również dlatego, że mają znacznie większy wybór wśród dostawców ICT niż operatorzy, którzy będą budować niebawem sieci piątej generacji, z której banki będą w przyszłości chciały korzystać. Huawei ostrzega, że wyeliminowanie firmy z tych dostaw to opóźnienie w powstaniu 5G w Polsce od dwóch do trzech lat.



#ZMIENIAMY DWORCE

NAJWIĘKSZA MODERNIZACJA DWORCÓW

Okolo 200 nowych
lub zmodernizowanych dworców w całej Polsce
do 2023 roku

STANISŁAW KOCZOT

zastępca redaktora naczelnego
„Gazety Bankowej”

Holenderska choroba

Wenezuela przechodzi z nieba do piekła, z rajy dobrobytu na dno gospodarczej niewydolności. Kraj, który jeszcze kilka lat temu dostarczał ok. 10 proc. światowej produkcji ropy, stał się pariasem.

Wenezuela to klasyczny przypadek zjawiska gospodarczego, które w 1977 r. „The Economist” nazwał „chorobą holenderską” – „dutch disease”. Nie jest to wcale przypadek rzadki – zapadł na nią swego czasu Meksyk, cierpiała Rosja w 2008 r., z podobnym problemem zmierzyły się bogate w ropę kraje Zatoki Perskiej.

Samo pojęcie „dutch disease” powstało po odkryciu w latach 60. XX w. dużych złóż gazu w Holandii. Złóża były intensywnie eksploatowane, a do kraju popłynęły niewyobrażalne pieniądze. Po pewnym czasie okazało się, że gospodarka słabnie, przemysł gazowy wysysa z innych dziedzin wszystkie potencjalne elementy ich rozwoju, a coraz więcej branż – przy umacniającej się walucie – staje się po prostu nierentownych. Nadmierny rozwój jednej dziedziny gospodarki doprowadził do tego, że inne wpadły w tarapaty. Fantastyczne bogactwo, które spadło Holendrom jak manna z nieba, okazało się poważnym problemem.

Zupełnie inną drogą poszła Norwegia, która również odkryła bogate złoża gazu na Morzu Północnym. Norwegowie utworzyli Państwowy Fundusz Emerytalny, do którego trafia część zysków ze sprzedaży kopalin. Jego celem jest zabezpieczenie finansów kraju na czas, gdy dojdzie do wyczerpania zasobów ropy naftowej i gazu. W zeszłym roku aktywa funduszu przekroczyły wartość 1 bln dol. Ten gigant jest drugim największym na świecie państwowym funduszem inwestycyjnym, po funduszu emiratu Abu Dhabi. Posiada 1 proc. wszystkich akcji notowanych na światowych giełdach.

Poza oczywistymi korzyściami, jakie fundusz daje Norwegom w postaci znakomitej emerytury (możliwość jej sfinansowania do 200 tys. dol.), ma

też plusy dla gospodarki – fundusz nie inwestuje pieniędzy z ropy ani z gazu na rynku norweskim, więc sztuczne stymulowanie norweskiego biznesu za jego pomocą nie wchodzi w grę.

Holendrzy po pewnym czasie poradzili sobie z nadmiarem waluty, Norwegowie rozwiązali problem, zanim pojawiły się jego szkodliwe skutki. Wenezuelczykom to się nie udało, choć wiedzieli, co trzeba zrobić. Mieli swój fundusz na czarną godzinę – Fondo de Inversión para la Estabilización Macroeconómica. Dyktator Hugo Chavez, który rządził od wyborów z 1998 r., jednak go nie rozwinął, choć koniunktura na rynku ropy była w czasie, gdy doszedł do władzy, znakomita. Prowadził wiele projektów infrastrukturalnych, np. transportowych, ale o funduszu nie pomyślał. Ani o modernizacji infrastruktury wydobywczej, która właśnie teraz dożywa swoich ostatnich chwil.

Dlaczego u jednych „choroba holenderska” po jakimś czasie mija, a nawet staje się okazją do przeprowadzenia poważnych zmian w gospodarce – jak w przypadku krajów Zatoki Perskiej – a u innych – jak Wenezuela – powoduje niekończące się kłopoty? Wiele, a może nawet wszystko, zależy od wydolności instytucji państwa, ich umiejętności absorpcji i dzielenia funduszy. Łatwy, tani pieniądz, pozyskiwany bez większego wysiłku całej gospodarki, nigdy nie służy jej rozwojowi. Owszem, może wspierać jedną gałąź, ale najczęściej dzieje się to kosztem innych.

Wenezuela w żadnym okresie swojej historii nie potrafiła stworzyć wydolnych struktur, zdolnych absorbować bogactwo kraju – w tym przypadku ropy – dla dobra swoich obywateli. Nie udało się to ani za czasów Juana Vincente Gomeza, ani jego następcy Eleazara Lopez Contrerasa, ani nawet gen. Marco Pereza Jimenez, podczas którego rządów w latach 1952–1958 Wenezuela przeżywała największy rozkwit. Kraj funkcjonował w rytm notowań ropy – raz lepiej, innym razem fatalnie.

Teraz jest jeszcze gorzej, bo rynek ropy zmienił się tak bardzo – głównie za sprawą rewolucji łupkowej – że świat może się obejść bez wenezuelskiego surowca. ●

NAJWAŻNIEJSZE WYDARZENIE NA RYNKU KAPITAŁOWYM

XIX Konferencja Izby Domów Maklerskich

7-10 marca 2019 roku
Bukowina Tatrzańska



RYNEK PRZYSZŁOŚCI, PRZYSZŁOŚĆ RYNKU – RYNEK KAPITAŁOWY WOBEC WYZWAŃ INNOWACYJNEJ GOSPODARKI



XIX Konferencja
Izby Domów Maklerskich
uzyskała Patronat Honorowy
Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy



Wydarzenia towarzyszące:

Badanie relacji
inwestorskich
w spółkach z WIG30



VI Mistrzostwa Polski
Rynku Kapitałowego
w slalomie gigancie



Partnerzy Strategiczni



Partnerzy Główni



Rzeczpospolita
Polska



Unia Europejska
Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego



Partnerzy Konferencji



Partnerzy Instytucjonalni



ZWIĄZEK BANKÓW POLSKICH

Partnerzy Medialni





Perspektywy dla rynku kredytów mieszkaniowych w roku 2019 są dobre, choć tempo wzrostu może ulegać stopniowemu ograniczeniu

fol. Andrzej Wiktor

SZYMON SZADKOWSKI

Kredyty mieszkaniowe: koniec żniw

Wiele wskazuje na to, że hossa na rynku kredytów hipotecznych dobiegła końca. „Będziemy teraz schodzić z góry” – twierdzą eksperci. O radykalnym spadku nie ma jednak mowy

Wzeszłym roku rynek kredytów mieszkaniowych rozwijał się niezwykle dynamicznie. Zdaniem Jarosława Sadowskiego, głównego analityka Expandera, w dłuższej perspektywie popyt na kredyty hipoteczne stopniowo jednak wyha-

muje. – Będziemy stopniowo schodzić z góry, nie będzie to nagły kryzys ani tąpnięcie, lecz spowolnienie, lekki spadek – prognozuje Jarosław Sadowski.

W ubiegłym roku miesięczne tempo wzrostu złotych kredytów mieszkaniowych cały czas przekraczało 10 proc. (w relacji do analogicznego okresu w roku poprzednim) i było zbliżone do notowanego

w roku 2017. Odmienne wyglądała sytuacja na rynku kredytów walutowych: ich puli praktycznie nie podnosiły kredyty nowo udzielane. Na statystyki mocno wpływały proces systematycznego spłacania zaciągniętych w poprzednich latach zobowiązań, a także zmiana wyceny złotego.

MdM nakręcało popyt

Według Andrzeja Prajsnara, eksperta portalu RynekPierwotny.pl, na wartość nowych kredytów mieszkaniowych z 2018 r. wpłynął dynamiczny finisz programu MdM (Mieszkanie dla młodych). – Szacuję, że ze wsparcia ze środków z programu MdM w 2018 r. korzystało ok. 12 proc. udzielonych kredytów mieszkaniowych. Nie wiemy, jaka część wnioskodawców zdecydowała się wnioskować o dofinansowanie i uzależniała wzięcie kredytu od uzyskania dofinansowania, a jaka część i tak wnioskowałaby o kredyt mimo braku wykorzystania środków z MdM, dofinansowanie zaś traktowała jako swoisty bonus – twierdzi Waldemar Rogowski, główny analityk BIK.

Jak przypomina Andrzej Prajsnar, ostatnia część środków na dopłaty (380 mln zł) została wyczerpana w pierwszych dniach stycznia minionego roku. Obecnie banki nie mogą już liczyć na podobną stymulację rynku mieszkaniowego.

Waldemar Rogowski twierdzi, że trudno oszacować skalę efektu braku kontynuacji programu MdM w 2019 r.

Jednak nie tylko MdM nakręcało popyt na kredyty mieszkaniowe. W sposób naturalny popyt na nie to połączenie dwóch koniecznych czynników w postaci silnego popytu na nowe lokale (u nas jest on niezmienny od lat) z mocną poprawą sytuacji finansowej gospodarstw domowych (co u nas nie występuje aż tak często).

W ocenie Piotra Soroczyńskiego, głównego ekonomisty Krajowej Izby Gospodarczej (KIG), poprawa sytuacji finansowej potrzebna jest z dwóch powodów. Po pierwsze, musi być na tyle mocna i długotrwała, by gospodarstwa domowe nabrały odwagi do podejmowania długoterminowych zobowiązań. Po drugie, musi być na tyle znacząca, by banki na jej podstawie mogły wydawać więcej pozytywnych decyzji o udostępnieniu finansowania.

– Dzięki wzrostowi zatrudnienia oraz zwiększonemu poziomowi płac banki klasyfikowały znacznie więcej niż dotąd gospodarstw domowych jako mogących podołać spłacie kredytu mieszkaniowego. Dodatkowo w przypadku tych, które już tę zdolność miały, wzrosła kwota dostępnego kredytu. Nie bez znaczenia dla poprawy sytuacji finansowej (i stabilizacji jej na wyższym niż dotąd poziomie) było dla licznych gospodarstw domowych wprowadzenie programu 500+, co również zostało pozytywnie odnotowane przez banki – mówi Piotr Soroczyński.

Drożej za metr

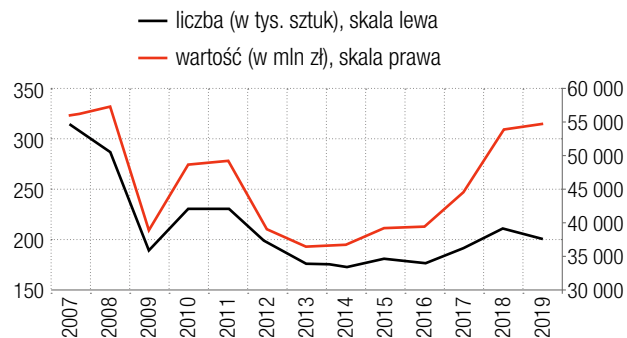
Ceny metra kwadratowego mieszkania w ciągu ubiegłego roku wzrosły o kilkanaście procent, co może się stać istotną barierą w podjęciu decyzji o kupnie. Do wzrostu cen przyczyniły się przede wszystkim wzrosty cen gruntów, materiałów budowlanych oraz problemy z fachowcami. – Już pojawiły się sygnały o przestojach na budowach, szczególnie u mniejszych deweloperów, z powodu braku pracowników. Fachowcy z Ukrainy nie są w stanie na razie zapełnić luki, jaka powstała na rynku – uważa Marcin Krasoń z Open Finance.

Do dalszych wzrostów cen mieszkań – według niego – może się przyczynić także wprowadzenie Deweloperkiego Funduszu Gwarancyjnego, bo deweloperzy na pewno te koszty przełożą na klienta. – Choć będzie bezpieczniejsze, może być drożej – tłumaczy Marcin Krasoń.

Według danych Open Finance przy wzroście liczby nowych mieszkań oddanych do użytku spada ich sprzedaż. Tylko w IV kwartale 2018 r. zmniejszyła się ona o 28,6 proc., a w całym roku – o kilkanaście procent.

Waldemar Rogowski wskazuje, że rosnące ceny mieszkań mogą być nieakceptowalne przez część potencjalnych nabywców, co negatywnie wpłynie na liczbę składanych wniosków kredytowych na zakup nieruchomości.

Sprzedaż kredytów hipotecznych



Źródło: Amron – Sarfin, NBP, GUS

Jarosław Sadowski twierdzi, że złote czasy deweloperów już minęły. – Teraz muszą oni ostrożnie podejmować decyzje o rozpoczęciu nowych budów. Muszą dostosowywać popyt do podaży – uważa.

Drożyzna na rynku mieszkaniowym również zahamowała decyzje o kupnie mieszkania przez inwestorów szukających dogodnych form lokowania kapitału. Jak mówi Sadowski, jeśli rosną ceny mieszkań, to i stopy zwrotu są mniejsze. – Szacuję, że realna stopa zwrotu z inwestycji to 4–5 proc. – twierdzi.

Kolejnym negatywnym czynnikiem oddziałującym tym razem na podaż kredytów mieszkaniowych może

być zaostrenie polityk kredytowych banków. Trzeba również pamiętać o dużej koncentracji sprzedaży kredytów mieszkaniowych w kilku bankach. Zmiana polityki kredytowej tylko w przypadku jednego z kluczowych graczy może istotnie wpłynąć na cały rynek.

Na zaostrenie polityk kredytowych banków wskazuje także Narodowy Bank Polski (NBP). Jak wynika z kwartalnej ankiety NBP, na I kwartał 2019 r. banki przewidują niewielkie zaostrenie polityki kredytowej w segmencie kredytów mieszkaniowych oraz oczekują istotnego spadku popytu.

– Na zaostrenie kryteriów zdecydowało się wiele banków, które nie zgłosiły takich planów w poprzedniej edycji ankiety przeprowadzanej przez Bank Centralny. Jednocześnie banki obniżyły marżę kredytową i pozaodsetkowe koszty kredytu (procent netto odpowiednio ok. 23 proc. i 14 proc.) – informuje NBP.

Jarosław Sadowski zwraca uwagę także na to, że w ciągu kilku lat wejdzie w dorosłe życie pokolenie niżu demograficznego z lat 90. – Po prostu nie będzie fizycznie kto miał zrównoważyć luki pokoleniowej. Przez to też będzie mniejsze zainteresowanie kredytami hipotecznymi. W mojej ocenie w ciągu dekady o 2 mln spadnie liczba osób w wieku 25–35 lat, które najczęściej kupują mieszkania, posiłkując się kredytami hipotecznymi. Część z tych osób może dostać mieszkania od rodziców, którzy kupowali pod inwestycje, z myślą o swoich dzieciach. Nie wydaje mi się też, aby tę lukę byli w stanie zapłacić cudzoziemcy: czy to studenci, czy to pracownicy przybywający do Polski – mówi Jarosław Sadowski.

Dobre perspektywy w cieniu spowolnienia

W ocenie Piotra Soroczyńskiego perspektywy dla rynku kredytów mieszkaniowych w roku 2019 są dobre, choć tempo wzrostu może ulegać stopniowemu ograniczeniu. – Po pierwsze, istotna część gospodarstw domowych, które tak niedawno nabrały zdolności do otrzymania kredytu mieszkaniowego, już kredyt otrzymała i kupiła lokal. Ponadto wzrost zatrudnienia może być mniej dynamiczny ze względów demograficznych – już prawie wyczerpaliśmy proste rezerwy wzrostu zatrudnienia w gospodarce – twierdzi.

Według niego w konsekwencji także wzrost płac może się okazać nie aż tak wysoki (spora część wzrostu płac to efekt „podkupowania” pracowników z innych firm za wyraźnie wyższe stawki). Nie wolno też zapominać, że efekt programu 500+ (choć wciąż odczuwalny – stabilizuje dochody na podwyższonym poziomie) nie będzie miał już odzwierciedlenia w kolejnym podbiciu dochodów gospodarstw domowych (nie zwiększy ich

2 mln

– o tyle w ciągu dekady spadnie liczba osób w wieku 25–35 lat, które najczęściej kupują mieszkania, posiłkując się kredytami hipotecznymi

dynamiki tak jak na początku, gdy się pojawiły).

W ocenie Piotra Soroczyńskiego dynamika roczna kredytu mieszkaniowego w złotych może z nieco ponad 10 proc. zejść do 5–7 proc. – Oczywiście statystyki kredytów walutowych powinny pokazywać ich redukcję w tempie 4–5 proc. rocznie, przy założeniu wyceny złotego zbliżonej do obecnej – twierdzi.

To niejedyna różnica w porównaniu z minionym rokiem. W 2019 r. spodziewane jest spowolnienie tempa wzrostu gospodarczego do 3,5–4 proc. (z 5,1 proc. w 2018). Nadal szybko mają rosnąć płace (o 7 proc. rocznie według Komisji Europejskiej), ale ich realny wzrost będzie redukowany przez inflację większą niż przed rokiem (3,2 proc. vs 1,8 proc. wg NBP). Realnie wzrost płac w 2019 r. może być zatem mniejszy niż rok wcześniej. Wyniki sprzedażowe banków w dalszym ciągu będzie też wspomagać rekordowo niska stopa referencyjna NBP (1,5 proc.). Wiele wskazuje na to, że nie zostanie ona podniesiona do końca 2019 r. Warto również wspomnieć o kolejnym rocznym spadku bezrobocia (z 3,3 proc. do 2,9 proc.), który prognozuje Komisja Europejska.

– Zadłużamy się wtedy, gdy czujemy się bezpiecznie, to znaczy nie obawiamy się utraty pracy, mamy dobre perspektywy finansowe. Jeśli ludzie słyszą, że gospodarka wyhamowuje, mogą się wstrzymać z decyzjami zakupowymi, a co za tym idzie: z wzięciem kredytów mieszkaniowych – tłumaczy Jarosław Sadowski.

Otoczenie makroekonomiczne nadal będzie jednak korzystne dla rynku kredytów mieszkaniowych. Problem może natomiast stanowić dalszy wzrost cen mieszkań.

Mimo wszystko, w ocenie Bartosza Turka z Open Finance, 2019 r. na rynku kredytów mieszkaniowych banki będą mogły zaliczyć do udanych. – Co prawda spodziewam się kilkuprocentowego ograniczenia liczby udzielanych kredytów (do trochę ponad 200 tys.), jednak łączna ich wartość może być wyższa niż w 2018 r. (nawet 54–55 mld zł). Przypomnijmy, że rok 2018 był pod względem wartości udzielonych kredytów hipotecznych najlepszy od dekady – twierdzi.

– Jeżeli chodzi o prognozy dotyczące sprzedaży kredytów mieszkaniowych, to można oczekiwać, że w 2019 r. zostanie odnotowany niewielki wzrost łącznej wartości nowych „hipotek”. Podobnie jak rok wcześniej ta wartościowa zmiana będzie stymulowana przez rosnące ceny metrażu. W przypadku liczby nowych kredytów mieszkaniowych najprawdopodobniej widoczny będzie dość znaczący spadek względem 2018 r. – dodaje Andrzej Prajsnar.

Według najnowszych danych Biura Informacji Kredytowej łącznie w styczniu 2019 r. o kredyt mieszka-

niowy zawnioskowało 34,13 tys. osób w porównaniu z 37,12 tys. rok wcześniej (spadek o 8 proc.). Natomiast średnia kwota wnioskowanego kredytu mieszkaniowego w styczniu 2019 r. wyniosła 265,65 tys. zł, tj. o 16,3 proc. więcej niż rok wcześniej. Wzrost wartości BIK Indeksu Popytu na Kredyty Mieszkaniowe spowodowany jest więc wzrostem średniej wartości wnioskowanego kredytu przy spadku liczby wnioskodawców.

– Spadek liczby wnioskodawców został zatem częściowo skompensowany wzrostem średniej kwoty wnioskowanego kredytu. Rok 2019 na rynku kredytów mieszkaniowych będzie bardzo ciekawy. Wystąpią bowiem dwie przeciwstawne tendencje, tj. spadek liczby wnioskodawców i wzrost średniej kwoty wnioskowanego kredytu – ocenia Waldemar Rogowski.

Według Andrzeja Prajsnara, eksperta portalu RynekPierwotny.pl, dane tej instytucji wskazują, że roczna zmiana wartości zaciągniętych kredytów mieszkaniowych wyniosła plus 20,1 proc. (2018 r./2017 r.).

– Wspomniany wynik prezentuje się gorzej, jeżeli uwzględnimy duży wpływ, jaki na łączną wartość nowych „hipotek” miały szybko rosnące ceny mieszkań. Według danych Biura Informacji Kredytowej średnia wartość zaciąganego kredytu mieszkaniowego wzrosła w 2018 r. o 15,2 proc. Taki wynik sygnalizuje, że w skali kraju przeciętna podwyżka cen metrażu mogła przekroczyć 10 proc. rocznie – komentuje Andrzej Prajsnar.

Podobnie uważa Bartosz Turek, który twierdzi, że przeciwko teorii o trwałszym spadku popytu na kredyty mieszkaniowe świadczy też rosnąca zdolność kredytowa. Jak wylicza, trzyosobowa rodzina z dochodem bez mała 6,1 tys. zł netto miesięcznie może się dziś zadłużyć na 490 tys. zł. To o 24 tys. więcej niż rok temu. Co ciekawe, z deklaracji banków wynika, że możliwości zadłużania się Polaków wyraźnie rosną już od dekady – od końca 2008 r.

– Skala jest imponująca. Jeśli bowiem pensje w modelowej rodzinie rosłyby tak szybko jak średnia krajowa, to zdolność kredytowa w ciągu dekady wzrosłaby o ponad 213 tys. zł. W międzyczasie przeciętne wynagrodzenie wzrosło o ponad połowę. Nie można też jednak zapomnieć o drugim ważnym czynniku – oprocentowaniu kredytu hipotecznego. To również bardzo wyraźnie stopniało. Dziś przeciętne RRSO kredytu hipotecznego to 4,6 proc. W 2008 r. było to przeciętnie 8,5 proc. – ocenia Bartosz Turek. – Prognozujemy wzrost wartościowy kredytów mieszkaniowych na poziomie ok. 5 proc. wyższym niż w roku 2018. Będziemy jednak z dużą uwagą obserwować sytuację i tendencję na rynku kredytów mieszkaniowych – twierdzi.

Póki oprocentowanie kredytów mieszkaniowych będzie relatywnie niskie, sytuacja na rynku pracy korzystna dla pracowników, a ceny mieszkań będą rosły, trudno się spodziewać spadku popytu na kredyty mieszkaniowe. ●

REKLAMA

108/0119/F

Technologie made in Poland nagrodzone!

12 lutego w auli Wydziału Fizyki Politechniki Warszawskiej przyznano nagrody i wyróżnienia w konkursie Polski Produkt Przyszłości, któremu patronują Ministerstwo Przedsiębiorczości i Technologii oraz Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

W kategorii produkt przyszłości wspólny jednostki naukowej i przedsiębiorcy triumfował hydrożel chitozanu ChitoVelum, który powstał we współpracy KAEM Maria Krystyna Krupska i Politechniki Gdańskiej. W kategorii produkt przyszłości przedsiębiorcy zwyciężył kompozyt kośćcozastępczy FlexiOss firmy Medical Inventi S.A.

Kategorie, w których od 21 lat wręcza się to prestiżowe godło, są trzy. W trzeciej: produkt przyszłości jednostki naukowej tym razem nie przyznano nagrody. Wyróżniono za to opracowany przez Wydział Inżynierii Środowiska, Geomatyki i Energetyki Politechniki Świętokrzyskiej szereg bezszczotkowych silników z magnesami trwałymi i optycznymi czujnikami położenia wirnika, które pracują cicho i bez charakterystycznych dla tego typu urządzeń drgań.

100 proc. bezpieczeństwa i skuteczniejsza rehabilitacja

ChitoVelum wykorzystuje przełomową technologię rozpuszczania chitozanu przy użyciu kwasu węglowego. Nie zawiera konserwantów ani związków chemicznych, które mogłyby uczulać użytkowników. Gwarantuje wytwarzaniem z niej produktem kosmetycznym i opatrunkowym najwyższy poziom bezpieczeństwa. Działa ponadto ochronnie i regeneracyjnie na skórę.

Z kolei chirurgiczny kompozyt kośćcozastępczy **FlexiOss** to biomateriał, który można idealnie dopasować do wymiarów (i kształtu) uzupełnianego ubytku kostnego. Produkt ten ma rewelacyjne własności hemostatyczne. Poprzez wchłanianie krwi w operowanym miejscu zapobiega powstawaniu skrzepów. Minimalizuje ryzyko powstania ognisk zapalnych, zakażenia i odrzutu.

Impuls do sukcesu

Godła Polski Produkt Przyszłości przyznawane są od 1997 r. Obecnie konkurs wspólnie organizują Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości oraz Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Do tej pory o zwycięstwo rywalizowało tysiąc innowacyjnych projektów z różnych branż gospodarki, m.in. medycznej, farmaceutycznej, elektronicz-

nej i elektrotechnicznej, chemicznej, automatyki przemysłowej. Nagrody otrzymało 56 projektów, a 116 wyróżniono. Do tegorocznej edycji zgłoszono 72 projekty. Nagrodzeni otrzymają możliwość uzyskania grantu w maksymalnej kwocie 100 tys. zł z przeznaczeniem na rozwój, promocję lub umiędzynarodowienie produktu. Wyróżnieni mogą liczyć na grant w maksymalnej kwocie 25 tys. zł. W tym roku do ścisłego finału trafiło łącznie dziewięć innowacyjnych produktów i technologii. Wyróżnienia oraz nagrody specjalne przyznano także rozwiązaniom:

- **AudioMovie. Kino dla wszystkich.** Aplikacja do smartfonów i innych urządzeń mobilnych – osobisty lektor, dzięki któremu projekcje kinowe staną się dostępne dla osób niedowidzących i dyslektyków (**wyróżnienie, nagroda za produkt z branży technologii informacyjnych i komunikacyjnych [ICT] oraz Nagroda Specjalna Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego**).
- **Viofor JPS System** do e-zarządzania usługami medycznymi. Dzięki temu rozwiązaniu pacjenci będą mogli korzystać ze skomplikowanej aparatury rehabilitacyjnej w swoich domach. Obsługuje ją bowiem zdalnie operator (**wyróżnienie**).
- **Bin-e.** Inteligentny kosz. Automatycznie rozpoznaje, segreguje oraz kompresuje śmieci (**wyróżnienie oraz Nagroda Specjalna Ministra Przedsiębiorczości i Technologii**).
- Przenośne laboratorium biologii molekularnej **Genomtec ID**. Pomaga wykrywać wirusy w rekordowo krótkim czasie – poniżej 20 minut (**wyróżnienie oraz Nagroda specjalna za produkt zgłoszony przez młodego przedsiębiorcę [na rynku nie dłużej niż trzy lata]**).
- **POLYCOR** firmy NanoPure Sp. z o.o. Pigment antykorozyjny – przewyższa te obecnie stosowane pod względem wydajności, skuteczności, a do tego jest ekologiczna (**wyróżnienie**).
- **SAGA** firmy Solutions4GA Sp. z o.o. System oświetlenia lotnisk, zasilany wyłącznie energią słoneczną (**wyróżnienie**).

JERZY BIELEWICZ

finansista, były doradca Goldman
Sachs i Royal Bank of Canada

Strażnicy przeciw gangsterom

Brzmii jak roboczy tytuł scenariusza filmu o życiu w zakładzie penitencjarnym. Chodzi jednak o naszą rzeczywistość polityczną, w której państwo ciągle nie radzi sobie z rozliczaniem złoczyńców, tak by wysłać ich na więzienne emerytury, wykluczając z życia społecznego. To po części za ich sprawą aż huczy w przestrzeni publicznej od fałszu, przekłamań, fake newsów i wszechobecnej agresji. Być może tytuł „Strażnicy dobrobytu i polityczni chuligani” byłby nieco bardziej wyrafinowany, by nie powiedzieć „brytyjski”. Czy jednak oddaje w pełni naszą polską rzeczywistość?

Tymczasem mamy za sobą kolejny, trzeci rok rządów Zjednoczonej Prawicy zwieńczony rekordowym wzrostem gospodarczym – 5,1 proc. PKB. Parlament uchwalił już budżet na 2019 r., z którego wynika, że dochody państwa wzrosną o ponad 100 mld zł w porównaniu z rokiem 2015. Innymi słowy, do wydania na inwestycje i cele społeczne mamy o ponad 100 mld zł więcej! Przez lata rządów PO-PSL wydatki budżetowe oscylowały wokół 300 mld zł, gdy tymczasem w 2019 r. wyniosą grubo ponad 400 mld zł... Czy zatem jest możliwe, że Polacy już wkrótce będą równie bogaci jak Niemcy, Francuzi czy Holendrzy? Otóż tak, bo nasze realne zarobki rosną równie szybko. GUS podał właśnie, że przeciętne wynagrodzenie w gospodarce narodowej wyniosło 4585 zł w 2018 r. i wzrosło realnie (ponad inflację) aż o 5,3 proc., tj. najszybciej od 10 lat.

Kolejny dobry „news”: deficyt budżetowy w 2018 r. to tylko 10 mld zł, czyli ok. 0,5 proc. PKB. Co to znaczy dla Kowalskiego? Że pieniądź w jego kieszeni waży coraz więcej, gdyż zmniejsza się zadłużenie państwa w stosunku do PKB, a co za tym idzie – wartość złoto rośnie w stosunku do innych walut. Oczywiście te dwa czynniki – tj. wzrost wynagrodzeń i jednoczesna aprecjacja złotego – wzajemnie się kumulują i zarobki Polaków wyrażone w dolarach lub euro

będą rosły szybciej niż przedstawiane w złotychkach. Podobny mechanizm odnosi się do PKB i PKB per capita przeliczanych dla celów porównawczych z innymi krajami na dolary czy euro. Jeśli zatem obecny rząd jako cel wyznacza sobie dogonienie Zachodu w poziomie wynagrodzeń obywateli w Polsce, jest to możliwe nawet w stosunkowo krótkim czasie, pod warunkiem że podtrzymany zostanie wysoki wzrost gospodarczy przy malejącym zadłużeniu sektora finansów publicznych – tak jak w 2018 r. Wiarołomnym polecam zabawę z kalkulatorem i procentem składanym przy założeniach np. 5,3 proc. realnego wzrostu wynagrodzeń i 3 proc. rocznej aprecjacji złotego w stosunku do euro.

Jednak by piękne mogło się ziścić, „strażnicy dobrobytu” muszą dać odpór „politycznym chuliganom”. I nie myślę tylko o wynikach nadchodzących wyborów – od tych do Parlamentu Europejskiego, po nasze do Sejmu i Senatu RP, na prezydenckich kończąc – lecz również, a może przede wszystkim, o realizacji programu inwestycyjnego przedstawionego przez prawicę. Centralny Port Komunikacyjny, Baltic Pipe i Brama Północna, Via Carpatia, Rail Baltica, przekop Mierzei Wiślanej i wiele, wiele innych – bez tych projektów stymulujących wzrost gospodarczy cały długoterminowy plan dla Polski i Polaków może spalić na panewce. A przecież wielkie gospodarcze przedsięwzięcia zależą w dużej mierze od władz samorządowych, często w rękach opozycji.

Dlatego niepokoi upośledzenie „politycznych chuliganów” w sferze spraw gospodarki i ekonomii, kiedy wbrew wielokrotnie zweryfikowanym faktom podważają gospodarcze dokonania rządu. Martwi, gdy była premier mówi o rzucaniu kamieniami. Mierzi tłumek pod budynkiem TVP atakujący dziennikarkę. Budzi pogardę polityk opłacany w naturze. Jednak to prezydent miasta, który zamiast polskich kupuje 200 koreańskich tramwajów, by zaoszczędzić na podatku VAT, poraża głupotą. Ech, ci wyrafinowani Brytyjczycy... Nazwali Donalda Tuska „politycznym chuliganem”. Cóż, my go znamy bliżej. A co do koreańskich tramwajów w Warszawie, to prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie... ●



STABILIZACJA, INNOWACYJNOŚĆ I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem najwyższej jakości paliw i produktów chemicznych. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Od lat działamy na rzecz wzmacniania bezpieczeństwa energetycznego państwa, w tym dywersyfikacji dostaw ropy naftowej. Naszym celem jest stabilny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl



Cyfrowe pieniądze banków centralnych

PROF. EUGENIUSZ GATNAR

członek RPP, wykładowca Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach



Najnowsze dane z grudnia 2018 r., które opublikował NBP, pokazują, że najbardziej płynny pieniądz (M1), czyli depozyty i gotówka, przekroczył w Polsce poziom 1 bln zł, rosnąc w stosunku do ubiegłego roku o 11,7 proc. Sama zaś gotówka w obiegu to ponad 203 mld zł, czyli 10 proc. więcej niż w roku 2017.

Nie jest to jednak specyfika Polski ani nawet grupy krajów rozwijających się. Ostatni Raport Banku Rozrachunków Międzynarodowych (BIS) w Bazylei „Payments are a-changing but cash still rules” pokazuje, że także w krajach rozwiniętych, a więc również w strefie euro, wartość gotówki rośnie systematycznie od lat i w roku 2016 wyniosła 10 proc. PKB.

Jedynie w krajach skandynawskich w tym samym czasie wartość obiegu gotówki spadła do 2 proc. PKB, a udział gotówki w transakcjach spadł do 15 proc. Wydaje się, że to wynik świadomego procesu eliminacji gotówki w celu realizacji modelu społecznego, w którym państwo posiada pełną kontrolę nad życiem obywateli. A jak wiadomo, gotówka zapewnia anonimowość transakcji, więc i wolność...

W tym kontekście budzi zdziwienie płomienne przemówienie Christine Lagarde, dyrektor zarządzającej MFW, wygłoszone 14 listopada 2018 r. w Singapurze. Przedstawione tam argumenty na rzecz stworzenia przez banki centralne cyfrowych pieniędzy należy uznać za dyskusyjne.

Szefowa MFW mówiła, że takie pieniądze pozwolą przezwyciężyć wykluczenie finansowe, zapewnić bezpieczeństwo transakcji i zachować ich prywatny charakter. Wydaje mi się, że żaden z tych argumentów nie jest prawdziwy. Wykluczenie finansowe jest bowiem pochodną biedy, braku edukacji ekonomicznej i wykluczenia społecznego, a nie braku cyfrowych pieniędzy. Z kolei doświadczenia włamań do kilku znanych giełd wymiany kryptowalut (Mt. Gox, Zaif czy Coincheck) i kradzieży wartości setek milionów dolarów pokazują, jak bardzo ten świat cyfrowych walut jest bezbronny wobec ataków hakerów. I wreszcie ostatni argument, który obala sama Christine Lagarde, mówiąc, że pieniądz cyfrowy nie może być w pełni anonimowy, bo byłby żylą złotą dla kryminalistów.

Dlaczego banki centralne rozpoczęły prace nad cyfrowym pieniądzem, inspirowane rozwiązaniami stosowanymi przez kryptowaluty, w tym słynnej już technologii blockchain, czyli rozproszonego uwierzytelniania transakcji (DLT)? Oczywiście można powiedzieć najprościej, iż dlatego, że gotówka kosztuje. Raport firmy doradczej McKinsey „Attacking the cost of cash” sprzed kilku miesięcy pokazał, że mimo wzrostu obrotu bezgotówkowego rosną koszty obsługi obrotu gotówkowego. Według tych szacunków już teraz stanowią one od 5 do 10 proc. kosztów operacyjnych banków. Odnosząc to zaś do PKB, w zależności od kraju, jest to od 0,5 do 1 proc. PKB.

Analizując jednak dokumenty różnych banków centralnych, które powstały w ciągu ostatnich miesięcy, można powiedzieć, że najczęściej podnoszony jest argument o konieczności poprawienia drożności kanału transmisji stopy procentowej. Ten kanał nie pozwalał w ostatnim czasie przenieść ujemnych stóp procentowych Banku Szwecji na rynek. Prawie żaden bank komercyjny w tym kraju nie wprowadził ujemnych stóp na depozyty swoich klientów, czyli nie zabrał im pieniędzy, bojąc się, że ich utraci.

Wprowadzenie pieniądza cyfrowego jest przedmiotem analiz wielu banków centralnych na świecie. Według danych zebranych przez BIS wśród 63 banków aż 70 proc. z nich prowadziło w roku 2018 prace, o różnym stopniu zaawansowania, nad tym tematem. W tej grupie najwięcej doświadczeń ma Bank Szwecji oraz Bank Urugwaju. Z kolei Europejski Bank Centralny wspólnie z Bankiem Japonii realizuje projekt Stella. Bank Anglii podał, że współpracuje w tym obszarze z bankiem Kady oraz Monetary Authority w Singapurze.

Warto śledzić postępy tych badań, ponieważ w dłuższym horyzoncie może się pojawić cyfrowa konkurencja dla gotówki, wprowadzana przez instytucje, które mają wyłączne prawo do emisji pieniądza. Taki krok jednak w dramatyczny sposób zmieniłby sposób działania banków komercyjnych i w zależności od przyjętego rozwiązania – także funkcje operacyjne banku centralnego (np. obsługa kont bankowych osób fizycznych i przedsiębiorstw). W znacznym stopniu mogłaby też zostać ograniczona swoboda dysponowania własnymi środkami pieniężnymi przez obywateli. ●

Bezpieczna podróż z PZU Wojażer



Jeśli planujesz wyjazd, pamiętaj o dobrym ubezpieczeniu podróży. Dzięki polisie PZU Wojażer łatwo zapewnisz sobie kompleksową ochronę i upragniony spokój już od pięciu złotych dziennie. Ubezpieczenie turystyczne można kupić w każdej chwili przez internet. Wystarczy 5 minut.

Dobra polisa turystyczna to podstawowy element wyposażenia każdego urlopowicza. Zgubiony bagaż, wypadek, choroba – w podróży wszystko może się zdarzyć – dlatego warto wcześniej pomyśleć o ubezpieczeniu, które w razie nieprzewidzianych zdarzeń pomoże wybrnąć z kłopotów bez ponoszenia dużych kosztów.

Polisa PZU Wojażer adresowana jest przede wszystkim do osób podróżujących za granicę. Ubezpieczenie zapewnia organizację pomocy medycznej i pokrycie jej kosztów m.in. leczenia szpitalnego i ambulatoryjnego, transportu medycznego w miejscu pobytu, usługi transportowej do kraju oraz ewentualnego poszukiwania ubezpieczonego. Gwarantuje także usługi assistance w razie wypadku lub nagłej choroby, np. wsparcie tłumacza w związku z udzielaną pomocą medyczną. W pakiecie ubezpieczenia za 5 zł dziennie znajduje się również ubezpieczenie NNW oraz OC w życiu prywatnym. Dodatkowo polisę można rozszerzyć o ubezpiec-

zenie bagażu podróжного a także zabezpieczyć się od innych ryzyk np. jazda na nartach lub uprawianie sportów wyczynowych.

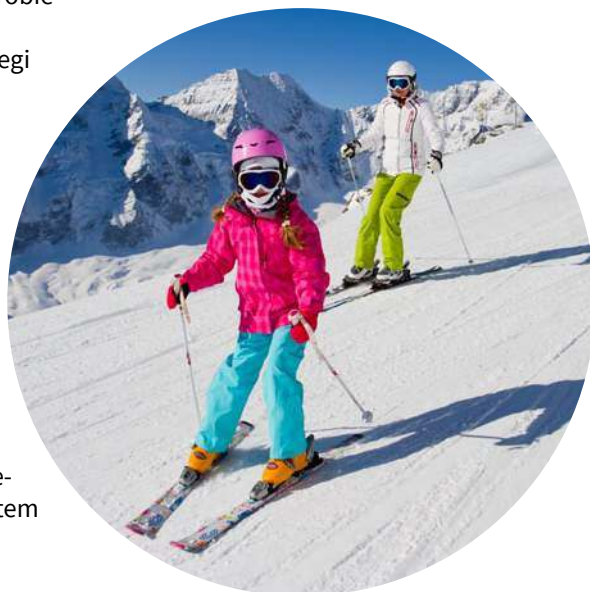
Turyści mogą dokupić również dodatkowe ubezpieczenie do Wojażera – Kontynuację leczenia po podróży. Kontuzje, niestety, nie są rzadkością, dlatego warto się dobrze zabezpieczyć. W razie nieszczęśliwego wypadku lub nagłego zachorowania na wyjeździe, po powrocie do Polski będzie można skorzystać z leczenia, badań ambulatoryjnych, rehabilitacji bądź operacji chirurgicznej. W ramach dodatkowej opcji PZU zorganizuje i pokryje koszt leczenia ubezpieczonego w Polsce, jeśli zgłosi taką potrzebę do Centrum Pomocy w ciągu 14 dni po powrocie z podróży, podczas której doszło do kontuzji czy nagłego zachorowania. Przy nagłej chorobie ubezpieczony może liczyć na 4 konsultacje lekarskie oraz zabiegi ambulatoryjne i badania diagnostyczne. Ponadto ubezpieczony sam może wskazać placówkę z sieci PZU Zdrowie i określić, kiedy chce skorzystać z konsultacji lekarza.

Warto, by rodzice zadbali również o bezpieczeństwo swoich pociech. Nie każdy uczeń, który wyjeżdża na ferie zimowe, objęty jest ubezpieczeniem szkolnym NNW. Warto zatem

zadbać, aby dziecko takie posiadało. Rodzice sami mogą ubezpieczyć dziecko od następstw nieszczęśliwych wypadków, w każdej chwili w roku i przy okazji zawierania każdej innej umowy ubezpieczenia.

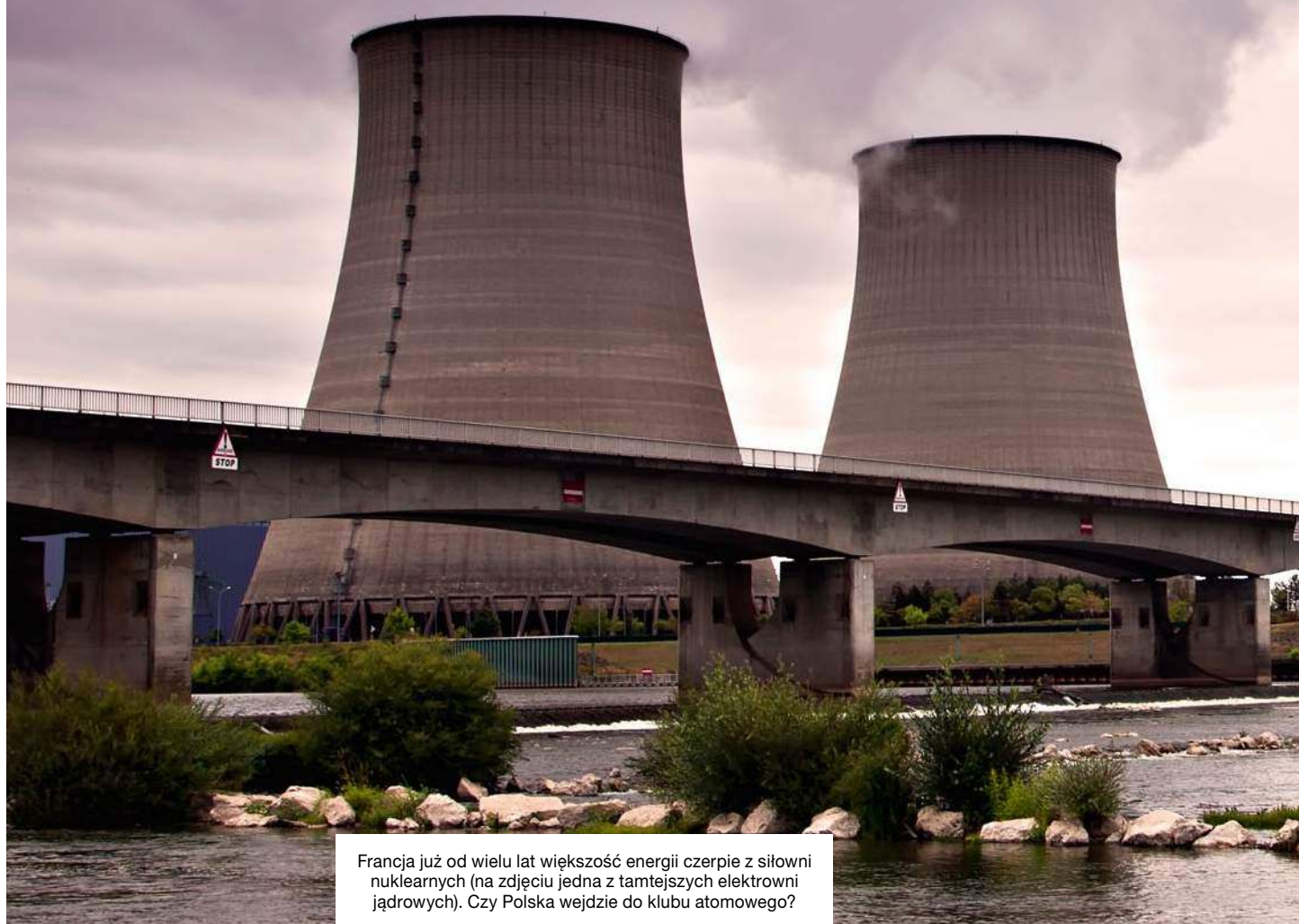
Wyjazd w towarzystwie najbliższych nam osób to gwarancja niezapomnianych chwil i wspomnień, do których będziemy wracać na długo po powrocie z urlopu. Pamiętajmy jednak, że w trakcie podróży, mogą nas spotkać liczne zagrożenia, które bardzo szybko pozostawią złe wrażenie po wyprawie.

Szczegółowe informacje dotyczące oferty dostępne są na stronie pzu.pl



ARKADY SAULSKI

Energetyczny atom



Francja już od wielu lat większość energii czerpie z siłowni nuklearnych (na zdjęciu jedna z tamtejszych elektrowni jądrowych). Czy Polska wejdzie do klubu atomowego?

Polska jest ostatnim krajem naszego regionu, który nie posiada elektrowni jądrowej. Niedługo może się to zmienić, gdyż w dobie przekształceń energetycznych taka forma pozyskiwania energii wydaje się coraz bardziej opłacalna

Po zakończeniu konsultacji społecznych projektu Polityki energetycznej Polski do roku 2040 włączymy zielone światło dla budowy dwóch elektrowni atomowych” – mówił pod koniec stycznia w Sejmie wiceminister energii Tadeusz Skobel. Według niego z analiz wynika, że jedna elektrownia powstanie na północy, a druga w Polsce centralnej, w okolicach Bełchatowa. To dobra wiadomość dla wszystkich zwolenników wejścia Polski do kręgu państw zasilanych atomem. Jednak droga do polskiej elektrowni jądrowej nie jest wcale łatwa. Na szczęście możemy czerpać z doświadczeń sąsiadów, a także z własnych prób sprzed lat, kiedy przymierzaliśmy się do sięgnięcia po atom.

Zwrot akcji

Polska przez lata unikała angażowania się w energetykę atomową. Węgiel był i nadal jest dominującą siłą w naszej energetyce, innowacje zaś proponowano raczej w segmencie odnawialnych źródeł energii niż w atomie.

Brało się to z kilku przyczyn. Główną były problemy natury finansowej – energetyka atomowa, choć w długim okresie niezwykle opłacalna, w krótkim jest inwestycją kosztowną i trudną w realizacji. Druga kwestia dotyczyła kontrowersji wciąż panującej wokół energii jądrowej. Choć ka-

tastrofy w elektrowniach jądrowych są zjawiskami sporadycznymi, a same bloki energetyczne oparte na atomie stanowią stosunkowo bezpieczniejsze źródła energii, to jednak katastrofa w Czarnobylu czy niedawne problemy w japońskiej Fukushima rzuciły cień na projekty jądrowe jako takie.

Mimo to Polska – jak się wydaje – jest zdeterminowana, by doprowadzić energetyczny projekt atomowy do końca. Wyraził to między innymi minister energii Krzysztof Tchórzewski, wskazując, że odpalenie polskiego bloku atomowego jest kluczowe, jeśli chcemy rozszerzyć miks energetyczny: „Tym, co nas motywuje, jest właśnie nasz miks energetyczny. W 2033 r. powinien być oddany jeden blok jądrowy i my musimy się do tego dostosować” – mówił pod koniec 2018 r.

O podjęcie decyzji w tej sprawie od dawna apelowali eksperci. „Należałoby zakończyć te spekulacje, przedstawić stosowne dokumenty. Warto rozstrzygnąć też kwestię finansowania tego przedsięwzięcia” – zachęcał wcześniej Wojciech Jakóbiak, ekspert Instytutu Jagiellońskiego, odnosząc się do sporu wokół atomu. Według niego „taka pewność umożliwi rozmowy z Komisją Europejską, np. na temat wsparcia polskiej energetyki. To także ułatwi dialog z uczestnikami dyskusji w Polsce, którzy czekają na informacje o budowie atomu”.

Rząd w 2019 r. przedstawił plan polskiej drogi do atomu – co warto zaznaczyć – o wiele bardziej ambitny niż wcześniejsze założenia. Odpowiedzialna za



fol. Shutterstock

powstanie polskich elektrowni jądrowych spółka PGE EJ1 przeprowadziła już, według informacji Ministerstwa Energii, wiele badań lokalizacyjnych i środowiskowych w rejonach, gdzie mogłyby powstać siłownie jądrowe. Chodzi o dwa miejsca – Bełchatów w Polsce centralnej oraz drugie w Polsce północnej (spekuluje się, że w grę wchodzi Żarnowiec, gdzie już raz podejmowano próby stworzenia elektrowni jądrowej).

Obecnie trwa analiza wniosków, które wpłynęły na etapie konsultacji społecznych. Po jej zakończeniu zostanie dane zielone światło do budowy elektrowni atomowych. Pierwszy blok jądrowy miałyby ruszyć w Polsce w roku 2033 i dysponować mocą 1–1,5 GW. Kolejne do użytku miałyby być oddawane co dwa lata, aż do roku 2043 – w projekcie mowa jest o sześciu blokach, o sumarycznej mocy 6–9 GW. Według zapewnień Departamentu Energii Jądrowej w ministerstwie, do końca roku powinno dojść do aktualizacji Programu Polskiej Energetyki Jądrowej (PPEJ) w zakresie modelu biznesowo-finansowego oraz harmonogramu. Celem PPEJ w obecnej wersji pozostaje wybudowanie dwóch elektrowni jądrowych o sumarycznej mocy 6 GW.

”

Rozwój energetyki jądrowej daje nam
gwarancje skutecznego obniżenia
emisyjności naszej energetyki

Plany budowy elektrowni jądrowej są bardziej zaawansowane niż kiedykolwiek i istnieje duża szansa, że ta inicjatywa na rzecz atomu zakończy się sukcesem. Tym bardziej że energetyka jądrowa mimo popularności OZE nadal uznawana jest za atrakcyjną i opłacalną formę pozyskiwania energii. Tylko w naszym regionie inicjatywę na rzecz budowy nowych elektrowni jądrowych wykazały Białoruś oraz Bułgaria – w tym ostatnim przypadku toczy się walka między czterema zagranicznymi firmami, pragnącymi zostać inwestorem projektu. Bułgarska elektrownia miałyby powstać w Belene nad Dunajem i byłaby już drugą tego rodzaju elektrownią w tym państwie – pierwsza działa w Kozłoduju. Z kolei nasi sąsiedzi z Litwy postawili na drastyczną przebudowę swoich elektrowni jądrowych, które, będąc poradzieckimi inwestycjami, uznawano za zapóźnione technicznie.

Polska eko-energia

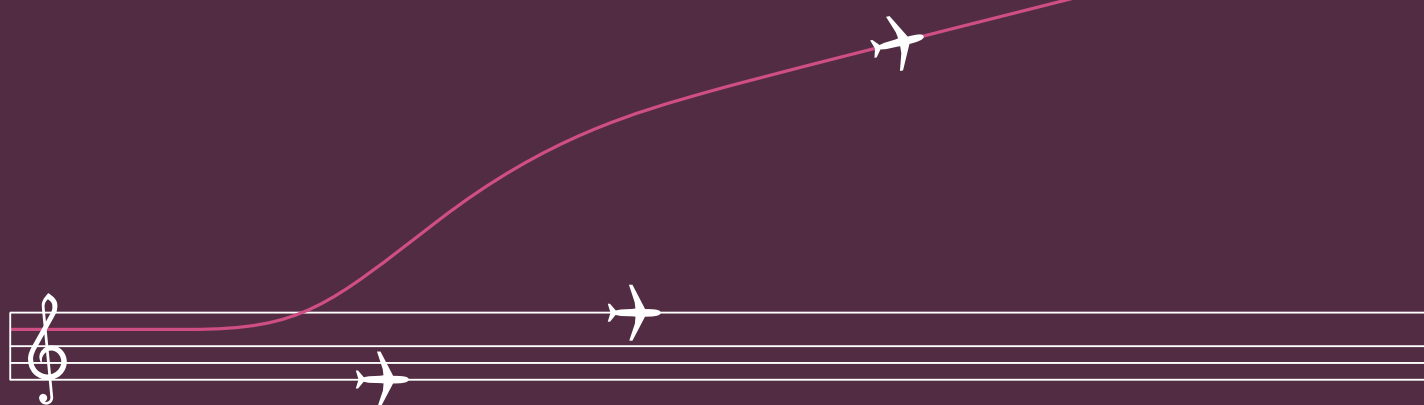
Energetyka jądrowa należy do najdroższych w konstrukcji rodzajów energii, jednak w długim okresie przynosi ona relatywnie najwięcej korzyści. I nie cho-

dzi tylko o korzyści ekonomiczne, czyli na przykład malejący koszt energii, lecz także o wymierne zalety dla środowiska naturalnego. Choć wokół energetyki jądrowej panuje sporo nieprawdziwych mitów, których źródła sięgają czarnobylskiej tragedii, to faktem jest, że obecna technologia jądrowa należy do najbardziej przyjaznych dla środowiska pod względem emisyjności. „Z punktu widzenia redukcji emisji CO₂ należy promować energetykę bezemisyjną albo niskoemisyjną, zachowując neutralność technologiczną. Najważniejszym wskaźnikiem powinna być emisja na jednostkę wyprodukowanej energii, a nie udział OZE. Uważam, że stawianie elektroenergetyce przez Unię Europejską celów OZE jest błędem. Powinno się stawiać wyłącznie cele redukcji emisji, a w jaki sposób do tego dojdziemy, to już nasza sprawa” – argumentował w wywiadzie dla portalu wGospodarcie.pl dr Józef Sobolewski, szef Departamentu Energetyki Jądrowej w Ministerstwie Energii. „Jeśli odbiorca energii decyduje o tym, kiedy tej energii potrzebuje, bazę powinny stanowić źródła stabilne, dające energię 24 godziny przez 7 dni w tygodniu (24/7), uzupełniane źródłami niestabilnymi, o ile jest to ekonomicznie uzasadnione i nie zagraża stabilności systemu. Powinny być brane pod uwagę koszty wytworzenia, emisyjność i dostępność pierwotnych nośników energii” – dodawał. Józef Sobolewski przytaczał przykłady Francji i Niemiec. Francja w swoim miksie energetycznym znacząco postawiła na energetykę jądrową, z kolei Niemcy mają o wiele bardziej zróżnicowaną strukturę energetyczną ze znaczącym udziałem OZE – w efekcie energia we Francji jest o wiele tańsza i mniej emisyjna niż w ciągle eksperymentujących ze swoim miksem Niemczech.

Dzięki postawieniu na atom nasza energetyka stanie się nie tylko znacznie mniej emisyjna, lecz również sam koszt energii zmieni się z korzyścią dla portfeli odbiorców. „Energetyka jądrowa to bezpieczeństwo energetyczne, to zapewnienie dostaw energii 24/7 dla każdego i po akceptowalnej cenie. Planowany w projekcie Polityka energetyczna Polski 2040 (PEP2040) rozwój energetyki jądrowej daje nam gwarancje skutecznego obniżenia emisyjności naszej energetyki, pozwalające na racjonalne ograniczenie zużycia węgla. Koszty są wysokie. W skali realizacji całego zaplanowanego programu mogą wynieść 15–16 mln zł na zainstalowaną 1 MW mocy, co biorąc pod uwagę efektywną moc, jest równoważne kosztom morskich farm wiatrowych. Uśrednione koszty wytwarzania w okresie czasu życia elektrowni jądrowej to 150 zł za MWh przy założeniu kosztów kapitału inwestycyjnego na poziomie 3 proc.” – wskazuje Józef Sobolewski. I dodaje: „Uważam, że propozycje zapisane w PEP2040 są wyważone dla wszystkich źródeł energii i takie powinny pozostać, bo to gwarantuje bezpieczeństwo energetyczne”.

Polski atom może się stać prawdziwą energetyczną rewolucją. ●

W DYSKRETNYM TONIE NA LOTNISKU CHOPINA



STREFA VIP LINE

OSZCZĘDNOŚĆ CZASU – PRZYBYCIE NAWET DO 40 MINUT PRZED ODLOTEM



STRZEŻONE MIEJSCA PARKINGOWE TUŻ PRZY STREFIE VIP LINE



INDYWIDUALNA I DYSKRETNA ODPRAWA



ASYSTA PERSONELU



TRANSPORT LIMUZYNĄ DO I Z SAMOLOTU

Skorzystaj z udogodnień **ekskluzywnej strefy VIP LINE**
na Lotnisku Chopina w Warszawie i zyskaj oszczędność czasu,
dyskrecję oraz wysoki komfort podróży.

szczegóły na: lotnisko-chopina.pl



LOTNISKO
CHOPINA
WARSZAWA



ARKADY SAULSKI

Gaming przed kryzysem

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? – można zapytać, obserwując ostatnie wydarzenia w branży gier. Rzeczywiście, z jednej strony gaming jest potężniejszy niż kiedykolwiek, zarabia ogromne kwoty; z drugiej – branża funkcjonuje od kryzysu do kryzysu

Dane Entertainment Retailers Association (ERA) ujawnione na początku stycznia wskazują, że branża gier (zwana też branżą gamingową) jest obecnie w Wielkiej Brytanii warta 3,86 mld funtów (ok. 4,85 mld dol.), co czyni ją bardziej cenną niż połączone branże muzyczna i filmowa. Wzrosty wartości branży gamingowej nie dziwią, rok 2018 był bowiem okresem znaczących premier, choćby „Call of Duty: Black Ops 4:”, „FIFA 19” czy „Red Dead Redemption 2”, które okazały się ogromnymi sukcesami finansowymi. Gry zyskują nie tylko dzięki coraz lepszej jakości i przy-

stępności rozgrywki, lecz także charakterystycznemu modelowi dystrybucji, opartemu na cyfrowym dostępie. To, czym dla telewizji stał się Netflix, w gamingu, choćby wskutek powstania platformy Steam, funkcjonuje od 2003 r.

Gry są więc lepsze, ładniejsze, bardziej przystępne i atrakcyjniejsze niż kiedykolwiek. Wykorzystują coraz nowocześniejsze technologie i generują zyski tak ogromne, że gaming zyskał status finansowej potęgi. Jednak koniec ubiegłego roku przyniósł też niespodziewane upadłości, spadki cen akcji i pesymizm odbiorców.

Czy dobre humory menedżerów to przeszłość, a gaming czeka poważny kryzys?

Chciwość nie jest dobra

Historia lubi się powtarzać i przypadek branży gier nie jest tu wyjątkiem. Już pod koniec roku 2015 na łamach „Gazety Bankowej” pisaliśmy o możliwości nadejścia kryzysu. Jego przyczyny tkwiły w coraz droższej produkcji gier (obecnie niejednokrotnie koszt wytworzenia tytułu z segmentu AAA wynosi tyle samo albo i więcej, co wysokobudżetowego filmu), a także w inwestycjach w technologiczne ślepe uliczki. Stawianie na technologię wirtualnej rzeczywistości (VR) w sytuacji, gdy technologia ta wciąż jest niezwykle prosta, było sporym błędem, podobnie jak potężne nakłady na krótkie, nieskomplikowane produkcje.

I istotnie, oba te czynniki doprowadziły do pierwszych problemów branży. Systemy VR szybko okazały się drogim gadżetem, w żaden sposób nierewolucjonizującym gamingu (zestawy VR były przeceniane o 50 proc. już pół roku po ich premierze, z kolei tytuły VR są najczęściej przecenianymi na wyprzedażach), natomiast nakłady na krótkie gry doprowadziły do sytuacji, w której wydawcy zdecydowali się na wzmacnianie trybów multiplayer i ich długotrwałą monetyzację, zamiast na wykorzystywanie środków na pracowite kampanie dla pojedynczego gracza.

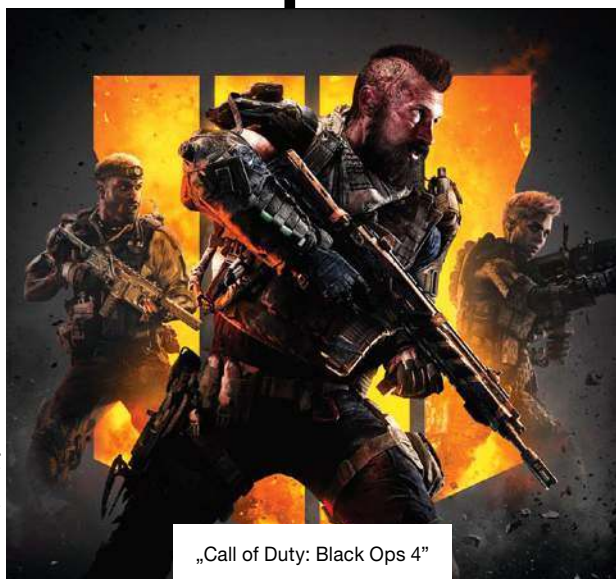
I – jak wskazują eksperci oraz analitycy branży – to właśnie te czynniki doprowadziły do problemów, z jakimi gaming spotyka się obecnie. Monetyzacja gier stała się na tyle poważnym problemem, że do walki z nią włączyły się nawet rządy poszczególnych państw, w tym Polski. O kontrowersjach wokół tzw. loot-boxów

już pisaliśmy w „Gazecie Bankowej”, toteż tylko przypomnijmy – loot-boxy to wirtualne skrzynki z losową zawartością, które gracz nabywa za prawdziwe pieniądze w danej grze. Mogą one oferować przedmioty dla gracza zarówno cenne, jak i zupełnie bezwartościowe, jest to więc wprowadzenie elementu hazardu do tytułów, których odbiorcami niejednokrotnie są dzieci. O ile jednak w sytuacji, gdy skrzynki zawierają przedmioty czysto graficzne (np. malunki na broń albo kostiumy dla postaci), problem jest nieistotny, o tyle – gdy wiele tytułów uzależnia jakość rozgrywki od kolejnych inwestycji w skrzynki – gra może być niemożliwa do ukończenia, jeśli odbiorca nie wyda dodatkowych pieniędzy na kilka, kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt skrzynek.

I to właśnie skrzynki z losową zawartością były źródłem kłopotów takich wydawców jak Activision, Warner Bros. Games czy EA. Ta ostatnia firma ma z tego powodu problemy z prawem w kilku państwach, w tym w Belgii, Australii czy na Hawajach. Praktykę sprzedawania loot-boxów uznano tam bowiem za działalność hazardową skierowaną do nieletnich, a to już jest przestępstwem. Także polski rząd przyglądał się loot-boxom, co potwierdziło Ministerstwo Finansów.

Zanim jednak wielkie koncerny dotknęły skutki prawne, wcześniej dogoniły je negatywne emocje graczy – niezadowolonych z tego, że pogoń za zyskiem i usatysfakcjonowaniem akcjonariuszy jest stawiana wyżej niż zadowolenie samych odbiorców gier. Dość powiedzieć, że spór wokół loot-boxów trwa do teraz, a gracze i koncerny jeszcze nigdy nie byli tak skonfliktowani.





„Call of Duty: Black Ops 4”

I to właśnie ów konflikt przełożył się na drastyczne spadki cen akcji firm gamingowych, sięgające nawet 40 proc. Do korekty notowań doszło pod koniec zeszłego roku, głównie w listopadzie, kiedy największe koncerny branży zaczęły zaliczać ostre spadki. Na przykład taki tytan, jakim jest Activision-Blizzard, tylko w jednym miesiącu stracił 31 proc. wyceny, EA – 22 proc. w ciągu 12 miesięcy, Rovio Entertainment (twórca niezwykle popularnej gry „Angry Birds”) stracili rekordowo 55 proc. w 12 miesięcy, z kolei chiński gigant Tencent – tylko 8 proc.

Dodatkowo we wrześniu 2018 r. Bank of America Merrill Lynch opublikował dokument, w którym zmienił rekomendację dla kupna akcji EA oraz Activision Blizzard z „kupuj” na „neutralne”. Co gorsza, spadki nastąpiły już po tym, jak wielkie koncerny utraciły zaufanie głównego klienta branży – samych graczy. O ile dekadę temu branża gier postrzegana była jako miejsce, w którym panują najcieplejsze i najuczciwsze relacje firma-klient, o tyle obecnie poziom nieufności jest większy niż kiedykolwiek.

Kryzys, z którym mamy obecnie do czynienia, nie jest jednak pierwszym, który dotknął branżę – na przełomie lat 80. i 90. sektor gier stanął na granicy totalnej upadłości wskutek olbrzymich wydatków, które nie owocowały powstaniem tytułów o wysokiej jakości. Wtedy ratunek dla branży nadszedł z Japonii wraz z konsolą Nintendo Entertainment System. Dziś z kolei nowe otwarcie może nadejść z innej części świata – tym razem z Polski.

Praktyki dobre, bo polskie

Wielkie koncerny gamingowe są chciwe, a ich pazerność nie zna granic, monetyzują podstawowe funkcje gier i jednocześnie dostarczają produkty pośledniej jakości – tak w skrócie można podsumować opinie graczy formułowane wobec segmentu AAA w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Jest jednak – dodają gracze – isierka nadziei. Są bowiem firmy traktujące klienta odpowiedzialnie, dostarczając tytułów najwyższej ja-

”

Systemy VR szybko okazały się drogim gadżetem, w żaden sposób nierewolucjonizującym gamingu

kości, bez niepotrzebnych, pazernych praktyk, a jeśli już każą sobie płacić, to za dodatkowe, rozbudowane elementy. Ta druga opinia dotyczy firm z Polski.

CD Projekt RED, Techland czy The Farm 51 to w tej chwili firmy uznawane (globalnie) za wzór dla reszty branży. Takie opinie nie dziwią, Polacy bowiem dali się poznać nie tylko jako wyjątkowo utalentowani twórcy gier, lecz również rozsądni menedżerowie, z szacunkiem podchodzący do klienta i niestarájący się wyciągać pieniędzy z jego kieszeni za wszelką cenę.

W powszechnej świadomości boom na polskie gry na światowych rynkach rozpoczął się wraz z „Wiedźminami”, jednak nie jest to do końca prawda. Polacy już wcześniej tworzyli intrygujące produkcje, odnoszące sukcesy na Zachodzie. Wrocławski Techland był autorem gry „Call of Juarez” – westernu, pierwszej polskiej gry wydanej na konsolę X-Box 360. Z kolei studio People Can Fly tworzyło zarówno odnogi znanych marek („Gears of War: Judgment”), jak i własne pozycje („Painkiller”).

Liczy się jednak nie tylko jakość, lecz także stosunek do klienta. I tak CD Projekt RED jest stawiany przez graczy jako wzór prokonsumenckiego podejścia, oferując dodatkową zawartość do pobrania (DLC) za darmo, inkasując opłaty dopiero za większe dodatki. Z kolei wrocławski Techland postawił na długotrwałe wsparcie swoich tytułów. Na przykład ich „Dying Light”, choć to gra z 2015 r., jest wspierany do dziś – darmowa dodatkowa zawartość, poprawki czy nawet nowe, darmowe tryby gry są w tym przypadku naturalną praktyką. A gracze zacierają ręce, bo na horyzoncie pojawia się już część druga.

Polscy twórcy gier wydają się więc uodpornieni na globalne zawirowania. A jeśli obrywają, to raczej rykoszetem od kolegów zza granicy niż z powodu własnych, nieuczciwych praktyk. Owszem, zdarzały się takie sytuacje jak problemy CD Projektu związane z wyciekiem informacji o firmie, jednak są one jedynie błędym odbiciem problemów zagranicznych gigantów gamingu.

Globalny sektor gier stoi przed kryzysem, czekają go liczne zmiany, które z pewnością negatywnie odbiją się na gigantach. Z kolei segment gier niezależnych (indie) raczej wyjdzie z niego obronną ręką. Podobnie jak polscy twórcy. Gaming może być branżą trudną, w której sukces osiągnąć niełatwo, ale wciąż jest też dziedziną, w której szacunek do klienta i mądre zarządzanie zawsze będą doceniane.

JANUSZ SZEWCZAK

poseł na Sejm RP



Tęczowa gospodarka

Podobno w Polsce wiosna wkoło. Tyle że Wiosna trwa u nas do 21 czerwca, skoro więc nie może być mądrzej, to niech będzie chociaż weselej.

Konwencja nowej partii Roberta Biedronia to rzeczywiście czysta imaginacja, prawie jak u Johna Lennona. Były poseł Ruchu Palikota wszystkim zadeklarował miłość i każdemu chce zrobić dobrze, w razie kłopotów z nadmiarem uczuć zapewnia aborcję na życzenie do 12. tygodnia. Obiecuje wypełnić testament śp. prezydenta Gdańska, tylko nie do końca wiadomo, czy oznacza to, że każdy Polak będzie miał szansę na pięć mieszkań i 30 kont bankowych. Obiecuje koniec nienawiści, oczywiście nie dotyczy to Kościoła, księży czy katolików, będzie in vitro, będą śluby homoseksualne oraz związki partnerskie i każdy będzie miał teraz szczęście w miłości. Jednocześnie uwolni małpy i misie z cyrków oraz zlikwiduje hodowle zwierząt futerkowych, nie wiadomo jednak co z dorożkami, chomikami i papugami w klatkach. Będzie nowy urzędnik – rzecznik przyrody. Wreszcie ktoś się zajmie futrzakami i poranną rosą, bo smog zlikwiduje poprzez zamknięcie kopalń (na Śląsku poparcie wyborcze murowane). Nie będzie już wycinki drzew, zniesione zostaną konkordaty i lekcje religii, będzie za to antykoncepcja przed i po, a klauzula sumienia pójdzie w niebyt. Jakby tego było mało, będzie 500+ na każde dziecko, co oznacza ok. 25 mld zł więcej niż obecnie. Nie wiadomo tylko jeszcze, co z dziećmi adoptowanymi przez pary homoseksualne. Żeby było jeszcze bardziej bogato i sympatycznie, wszyscy dostaną emerytury (1,6 tys. zł), a najniższa płaca minimalna w przyszłym roku wzrośnie aż o 500 zł (2,7 tys. zł), co będzie kosztować kolejne 7–8 mld zł. Rekord wydatków planu gospodarcze-

go nowej partii Roberta Biedronia o uroczej nazwie Wiosna bije jednak na głowę propozycja likwidacji wszystkich kopalń do 2035 r., co oznaczałoby wydatki idące raczej w setki miliardów złotych. Tylko likwidacja kilku kopalń w latach 2007–2015 zakładała koszt od 8 do 13 mld zł, a łączny koszt z rentami i emeryturami, kosztami polikwidacyjnymi, rekultywacyjnymi to nawet kwota ok. 60 mld zł. Zamknięcie wszystkich kopalń w Polsce, jak proponuje Robert Biedroń, oznaczałoby w praktyce albo zamknięcie prawie wszystkich elektrowni, albo wielki import węgla lub zakup

energii od Niemców. I wtedy będziemy mieli najczystsze powietrze w Europie, koniec smogu, tyle że będziemy siedzieć po ciemku. Nowa, tęczowa partia Roberta Biedronia obiecuje też likwidację kontroli skarbowych i kontrolę przez internet, a przecież jeszcze prościej by było np. poprzez jasnowidza.

Partia Wiosna będzie ścigać za łamanie konstytucji, choć wydaje się, że sama w swym programie narusza ją w co najmniej kilku artykułach. Ciekawe choćby, jak chce zlikwidować KRRiT. Podobno partia Wiosna nikogo nie wyklucza. A co z sympatykami zimy: tzw. morsami, narciarzami czy hokeistami? Cały ten program skrajnie populistyczny i mało realistyczny

ugrupowania Roberta Biedronia ma ponoć kosztować tylko 35 mld zł, ale raczej zapomniano dopisać do tego rachunku jedno 0. Swoją drogą ciekawe, kto ufundował tę wspaniałą konwencję partii Wiosna. Czyżby otwarty jak zawsze na antynarodowe, neoliberalne, globalistyczne i lewackie nowinki George Soros? Można też sądzić, że swym wspaniałym, programowym wystąpieniem Robert Biedroń przekonał wielu niezdecydowanych, by głosować jednak na PiS.

Niestety kompetencji i uczciwości nie nabywa się tylko z tytułu własnych preferencji w sferze miłości, a seksualność nie gwarantuje profesjonalizmu ani trafionych wizji programowych czy gospodarczych. ●

”

**Będzie nowy urzędnik
– rzecznik przyrody.
Wreszcie ktoś się
zajmie futrzakami
i poranną rosą,
bo smog zlikwiduje
poprzez zamknięcie
kopalń**



fot. Andrzej Skwarczyński

Strefa euro: strategicznie tak, taktycznie – nie

Do strefy euro zapewne w końcu wejdziemy, ale nie wiadomo kiedy. Na razie moment nie jest odpowiedni, toteż formułowanie stanowczych stanowisk w tej kwestii nie jest zgodne z polską racją stanu

Eurostrefa była głównym tematem lutowego wydania „Gazety Bankowej”, dlatego ostatnie spotkanie Rady Programowej „GB” zdominował temat kondycji państw strefy euro, jej słabości i zalet. Dyskusja była zarówno kontynuacją, jak i poszerzeniem wątków debaty zainicjowanej przez polityków, ze wskazaniem na nowe zjawiska.

Uczestnicy spotkania zwracali uwagę na niepewność panującą w strefie, związaną chociażby z zadłużeniem Włoch, niepokojami we Francji czy zakończeniem przez Europejski Bank Centralny programu luzowania ilościowego (Quantitative Easing). Wiele uwagi poświęcono skutkom zmian w polityce pieniężnej EBC. Co się wydarzy po QE? Czy, kiedy i jak EBC będzie redukował swój bilans? Tego jeszcze nie wiemy.

Wąska grupa zwolenników

Szeroko omawiano kwestie związane z polską drogą do strefy euro. Uczestnicy spotkania zwracali uwagę na duże dysproporcje poziomu dochodów i płac między państwami strefy euro a Polską. Siła nabywcza euro jest w naszym kraju o ok. 40 proc. wyższa niż nominalny kurs tej waluty wobec złotego, dzięki czemu zmniejszają się różnice stopy życiowej między mieszkańcami krajów

zamożnych a Polską. Można przyjąć, że zwolennikami przystąpienia Polski do strefy euro – w dużym uproszczeniu – są najczęściej osoby o wysokich dochodach, powiązane zawodowo z zachodnimi korporacjami. To stosunkowo wąska grupa, natomiast większość społeczeństwa otrzymująca wynagrodzenia nominalnie zbliżone do minimalnej płacy w strefie euro obawia się pogorszenia poziomu życia po zastąpieniu złotego wspólną, europejską walutą. Są to obawy w dużym stopniu uzasadnione, ponieważ – jak uczy doświadczenie kilku krajów, które zbyt pospieszenie weszły do strefy euro – przyjęcie wspólnej waluty prowadzi w ciągu kilku miesięcy do wzrostu cen, co przy braku stosownej rekompensaty po stronie wynagrodzeń może skutkować zubożeniem społeczeństwa. Prędzej czy później dochodzi jednak do podwyższenia płac, a to może oznaczać, że kraj straci przedwcześnie przewagę konkurencyjną. Za tym, by nie przyjmować na razie euro, przemawiają głównie względy społeczne – mówili uczestnicy spotkania w redakcji „Gazety Bankowej” – ale także interesy wielu małych i średnich firm.

Brakuje nacisku społecznego

Realne zaplecze optujące za wejściem Polski do strefy euro jest niewielkie, brakuje społecznego nacisku na akcesję do Eurolandu. Czy akcesja spowoduje, że będzie

można taniej się zadłużać (to jeden z argumentów jej zwolenników)? Nie, ponieważ grozi to stabilności systemu finansowego. Dostępność kredytów w Polsce jest obecnie wystarczająca, a cena pieniądza niska. Świadczy o tym systematyczny wzrost zainteresowania kredytami hipotecznymi, a ostatnio także rosnące w szybkim tempie kredyty konsumpcyjne i inwestycyjne – sygnalizowali uczestnicy debaty. Zagraniczne korporacje i wielcy rodzimi przedsiębiorcy w realizacji inwestycji wykorzystują przede wszystkim środki własne, a także różne instrumenty finansowe (leasing, factoring, emisję długu itp.). Wejście do strefy euro nie zmieni ich sytuacji, a może zniechęcić zagraniczny kapitał do lokowania filii w naszym kraju, gdyż zniknie atrakcyjny dla nich dysparytet siły nabywczej między euro a złotym. Te inwestycje włączają nasz kraj w globalne łańcuchy produkcji, są nośnikami postępu technicznego i organizacyjnego, warunkują niwelowanie niekorzystnej dla nas różnicy między wydajnością pracy w Polsce i w krajach Eurolandu. Potrzeba czasu, aby ta luka rozwojowa zmniejszyła się do poziomu uzasadniającego przystąpienie do unii walutowej.

Dobrze się przygotować

Podczas spotkania Rady dominował pogląd, że umów trzeba dotrzymywać. Polska złożyła zobowiązanie przystąpienia do strefy euro i powinna się z niego wywiązać. Natomiast termin zakończenia procesu konwergencji nie został nigdzie określony. Jednym słowem: chcemy przystąpić do strefy euro, ale wtedy, gdy korzyści będą dla nas większe niż koszty.

Rada zwróciła uwagę na potrzebę prowadzenia stałego dialogu o polskiej drodze do strefy. Niezbędna jest ciągła praca nad tym problemem, analizowanie różnych jego aspektów, popularyzowanie wiedzy, edukowanie społeczeństwa. Dyskusji na temat przyjęcia euro nie unikniemy, lepiej być więc do niej dobrze przygotowanym.

Według większości opinii członków Rady zainteresowanie społeczne drogą Polski do euro jest żywe, natomiast wiedza na ten temat – powierzchowna. Wiadomo jednak, że decyzja o wejściu naszego kraju do strefy euro zapadnie na szczeblu politycznym. Pojawiła się zatem sugestia, by położyć nacisk na potencjał ekonomiczny i pozycję naszego kraju w regionie. To państwom Eurolandu powinno bardziej niż nam zależeć na tym, byśmy przystąpili do unii walutowej.

Może jednak warto?

Euro wprowadzono po to, by zintegrować Europę, a nie ze względu na potrzeby gospodarki – to jedna z opinii wygłoszona podczas posiedzenia Rady. W tym kontekście dyskusja o wejściu Polski do strefy euro to de facto dyskusja o tym, czy chcemy uczestniczyć w integrowaniu świata, czy nie. To prawda, że polska gospodarka

znajduje się w dobrej kondycji, jednak problem polega na tym, że należymy do rynków wschodzących, które zajmują się głównie produkcją, a dokładniej – składaniem produktów. W światowym systemie podziału pracy to grupa o niewielkim znaczeniu. Zagraża nam to, że część produkcji może z Polski zostać przeniesiona do innych krajów, oferujących niższe koszty wytwarzania. Ryzykiem jest również robotyzacja, która może zastąpić naszą względnie taną siłę roboczą.

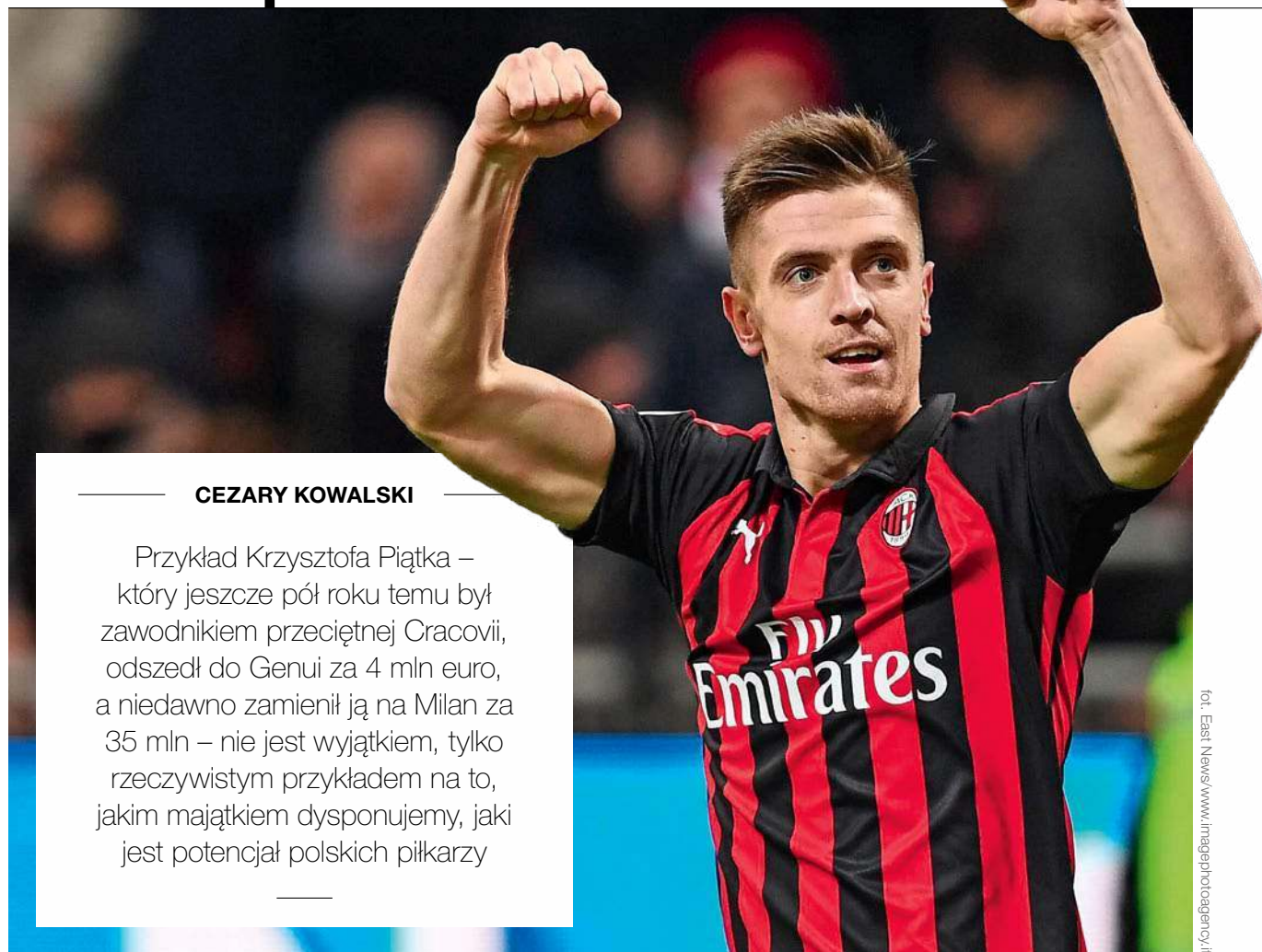
Jak przeciwdziałać tym zagrożeniom? Poprzez rozwój nauki i innowacji. Kto powinien tego dokonać? Rząd i firmy. Tymczasem pieniądze rządowe są zbyt małe, działania niewystraszające, a firmy znajdują się dopiero na początkowym etapie rozwoju. Wprowadzenie euro podniosłoby koszt pieniądza, a tym samym zmusiłoby firmy do inwestycji. Owszem, mogłoby się to wiązać z kosztami społecznymi, padło jednak pytanie, czy nie warto ich ponieść, skoro nagrodą jest rozwój całej gospodarki. Będzie drożej? Ale czy z tego powodu mamy odkładać przyjęcie euro?

Zadecydują silniejsi

Czy warto wejść do strefy euro, czy nie? Strategicznie tak, taktycznie – nie. Polska gospodarka korzysta obecnie na własnej walucie, a autonomiczna polityka pieniędzy na zwiększa jej zdolności akomodacyjne, łagodzi i spowalnia negatywne sygnały docierające do nas z rynków międzynarodowych. Co by się stało podczas ostatniego kryzysu finansowego, gdybyśmy wcześniej wybrali euro, czyli silniejszą walutę? Owszem, możemy po spełnieniu warunków konwergencji przystąpić do strefy euro, ale na jakich warunkach? Po jakim kursie? Optymalnym? Ale dla kogo? Droga Polski do strefy euro jest uzależniona nie tylko od nas samych, lecz i od decyzji państw silniejszych od nas, które nadają ton Eurolandowi. Czy nie zechcą wykorzystać swej komparatywnej przewagi i narzucić nam niekorzystnych warunków już na wstępie?

W posiedzeniu Rady Programowej „Gazety Bankowej” uczestniczyli: prof. Grażyna Ancyparowicz, członek Rady Polityki Pieniężnej, SGH; dr Dominik Bierecki – Spółdzielczy Instytut Naukowy w Sopocie, kancelaria Jedliński, Bierecki i Wspólnicy w Gdyni; prof. Leszek Dziawgo, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu; prof. Eugeniusz Gatnar, członek Rady Polityki Pieniężnej, Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach; dr hab. Beata Kozłowska-Chyła, Uniwersytet Warszawski; prof. Alojzy Z. Nowak, Uniwersytet Warszawski; Zdzisław Sokół, prezes BFG; Henryk Uzdrowski, członek zarządu Grupy Medialnej Fratria; prof. Małgorzata Zaleska, SGH, przewodnicząca Komitetu Nauk o Finansach PAN; prof. Jerzy Żyżyński, członek RPP, Uniwersytet Warszawski; a także kierownictwo redakcji „Gazety Bankowej”: Maciej Wośko, redaktor naczelny, i Stanisław Koczot, zastępca redaktora naczelnego. ●

Oprac. SK, MW



fot. East News/www.imagephotoagency.it

CEZARY KOWALSKI

Przykład Krzysztofa Piątka – który jeszcze pół roku temu był zawodnikiem przeciętnej Cracovii, odszedł do Genui za 4 mln euro, a niedawno zamienił ją na Milan za 35 mln – nie jest wyjątkiem, tylko rzeczywistym przykładem na to, jakim majątkiem dysponujemy, jaki jest potencjał polskich piłkarzy

Jak zatrzymać najlepszych graczy?

Przecież nie jest tak, że zawodnik rodem z Dzierżoniowa nagle nauczył się strzelać gole. Cesare Prandelli, jeden z najbardziej uznanych włoskich trenerów, powiedział, że nigdy wcześniej nie pracował z bardziej kompletnym napastnikiem. Nie ma takiej możliwości, aby Polak zyskał wszystkie swoje atuty dopiero w czasie krótkiego pobytu we Włoszech. Mówił o tym publicznie trener Michał Probiez, wymieniając kwotę 30 mln euro, której powinien żądać za swojego napastnika. I teraz warto zapytać: czy te pieniądze za transfer, może nieco mniejsze, mogły się znaleźć w Krakowie, a nie w Genui? Teorie są dwie. Jedna głosi, że za zawodnika z polskiej słabej ligi po prostu

nikt więcej nie da i trzeba go promować w bardziej prestiżowym miejscu. Druga dotyczy sytuacji finansowej polskich klubów. Jeśli za jakiegokolwiek zawodnika w Polsce zagraniczny klub wyklada 1,5, 2, 3 czy – dajmy na to – 4 mln euro, to właściwie zawodnik jest do wzięcia od ręki. To przecież kwota połowy rocznego budżetu klubu, a czasem nawet więcej. Trzeba brać i nie pytać.

Dlatego mimo szalejących cen na piłkarskim rynku transferowym możemy oglądać takie kwoty jedynie na ekranach telewizorów. I w domowym zaciszu cieszyć się, że chłopak, który w zeszłym sezonie biegał w naszej, prząsnej lidze, dał zarobić włoskiemu przeciętniakowi kolosalne pieniądze. ●

O transferowym biznesie, cenach za polskich zawodników i lidze dla przeciętniaków
ze Zbigniewem Bonikiem, prezesem PZPN, rozmawia Cezary Kowalski

Czy ceny transferowe za polskich piłkarzy nie są zbyt niskie?

Zbigniew Boniek: Uważam, że są właściwe. Odzwierciedlają zapotrzebowanie. Po pierwsze, bo za rozsądne pieniądze zagraniczne kluby dostają zawodników, którzy mogą się rozwijać. Czyli ktoś, kto za nich dobrze zapłacił, może zarobić jeszcze więcej. Owszem, zawsze zdarzą się przypadki, które się nie sprawdzą, bo futbol to nie jest matematyka, ale generalnie rosnące zainteresowanie polskimi młodymi graczami w Europie to nie jest przypadek. Wracając do pytania: skoro za piłkarza z 25. ligi w Europie, bo na tym miejscu plasuje się nasza Ekstraklasa, można uzyskać 4 czy 5 mln euro, to wcale nie jest mało.

Z drugiej strony czy Krzysztof Piątek pół roku wcześniej, będąc jeszcze zawodnikiem Cracovii, był adekwatnie słabszy do kwoty transferowej, jaką obecnie za niego zapłacono? Cracovia dostała od Genui 4 mln euro. Po sześciu miesiącach we Włoszech Milan zapłacił za niego 35 mln euro, a jest możliwe, że jeszcze będzie musiał dopłacić 5 mln. Czy w ciągu sześciu miesięcy Piątek stał się aż 10 razy lepszym zawodnikiem?

Po pierwsze, ceny za piłkarzy nie muszą być wartością logiczną. Jednak jest coś takiego jak popyt i podaż. Gdy Piątek strzelał gole w polskiej lidze, to był wart od 4 do 6 mln euro. Gdyby jego klub, czyli Cracovia, grał w Lidze Mistrzów, to natychmiast cena zawodnika wynosiłaby ok. 12 mln euro. Natomiast przypadek Piątka jest wyjątkowy. Uważam, że on w te sześć miesięcy we Włoszech jednak się niesamowicie rozwinął, wprost nieprawdopodobnie. Błyskawicznie poznał środowisko, nabrał doświadczenia, inaczej się zachowuje, inaczej myśli, inaczej się odżywia. Można teraz zobaczyć w sieci zbitki bramek Piątka, które strzelał w polskiej lidze. Jedną z nich jest po dosłownie identycznej akcji jak ta, którą wbił Napoli. Zszedł do boku, ograł dwóch obrońców i strzelił na ten dalszy słupek. Ten sam gol, po takiej samej akcji, ale w starciu z Termalicą Nieciecza, a nie Napoli, jest po prostu wart mniej. To wszystko. On musiał przekonać, że potrafi robić takie cuda również w jednej z najlepszych lig świata. Przekonał i dlatego wydano na niego te pieniądze. Przecież to samo było przed laty z Lewandowskim. Odchodził z Lecha za kilka milionów euro, a dzisiaj, gdyby ktoś chciał go kupić, musiałby wydać 80 mln euro. Dzięki takim historiom jak ta Piątka popyt na polskich piłkarzy będzie rósł. Bo są poważni, bo dobrze trenują, bo mają talent i rodzi się ich naprawdę wielu. Ceny będą szły w górę.

Ale skoro rok temu podczas konferencji prasowej trener Cracovii Michał Probiez mówi, że jego zawodnik będzie za chwilę wart 30 mln euro, i jego słowa szybko się sprawdzają, to jednak szkoda, iż to nie polski klub dostał te pieniądze. Może jednak odwrócić sytuację i zapytać, ile Cracovia straciła, biorąc za niego minionego lata ledwie 4 mln euro?

Błąd. Nie można tak mówić. On potencjalnie może być nawet warty 90 mln euro, ale nikt takich pieniędzy nie zapłaci za takiego gracza, którego miejscem pracy jest klub z drugiej połowy tabeli w polskiej lidze. Co do samej wypowiedzi Michała Probieza, to teraz każdy trener w lidze będzie próbował głosić, że każdy z jego podopiecznych jest wart od 10 mln euro w górę. Bo może w końcu się tak trafi i wyjdzie na to, że jest wizjonerem. Z drugiej strony były trener Legii Romeo Jozak ogłosił kiedyś, że gdyby jego młody podopieczny Sebastian Szymański był Chorwatem, to już by kosztował 10 mln euro. Ale jest Polakiem i nie można go sprzedać nawet za 5 mln. Nie zgadzam się z Jozakiem. Szymański jest młodym fajnym zawodnikiem, ale nie jest wart aż tyle. Nie sprawdził się jeszcze w mocnej lidze ani na arenie międzynarodowej. A to, że trener chorwacki coś powie? On mówił wiele dziwnych rzeczy, a efekt pracy jego i kolegów był taki, że Legia przegrywała w pucharach ze Słowakami i Luksemburczykami. Nie znam piłkarzy z ligi chorwackiej, za których zachodnie kluby natychmiast płacą aż tyle. Owszem, kosztują ciut więcej, bo jednak tacy piłkarze jak Rakitić w Barcelonie i Modrić w Realu od lat wykonują dobrą robotę dla rodzimego futbolu. Podobnie jak kilka innych uznanych gwiazd w innych klubach. Dobra fama się za nimi ciągnie. Poza tym jest jeszcze jedna rzecz. W lidze chorwackiej bardzo mało się płaci. Chorwaccy piłkarze ciężko pracują, trenują, bo jedyną szansą, aby się dorobić w tym fachu, jest zagraniczny kontrakt.

Zupełnie co innego niż u nas.

Dokładnie. Nasza liga jest idealna dla przeciętniaków, bo im tutaj jeszcze bardzo przyzwoicie płacą.

Dlaczego akurat Włosi aż tak chętnie zatrudniają ostatnio naszych graczy?

Słyszałem już nawet taką bzdurę, że dlatego, iż Boniek zarabia na tym pieniądze [śmiech]. Dlaczego Włosi biorą akurat naszych? Bo dobrze na nich można zarobić. Gdyby Legia, która ściągała Chorwatów, miała z tego duży zysk, to pewnie cały czas patrzyłaby w tym właśnie kierunku. A tak się złożyło, że polscy piłkarze – tacy jak Szczepny, Linetty,



fot. Shutterstock

Bereszyński, Milik, Zieliński, Skorupski, Piątek, a wcześniej Boruc czy Błaszczykowski – wykonali tam dobrą robotę. Włosi po prostu lubią i doceniają Polaków. Jest na nas moda. Tak jak w Bundeslidze ostatnio na Anglików, którzy jednak nie kosztują jak nasi 4–5 mln, ale 8–10 na wejście. Niemców po prostu stać na większe wydatki na zawodników startujących do wielkiej kariery spoza swojego kraju.

Czy taka wyprzedaż jest dobra dla polskiej piłki?

I dobra, i niedobra. Z jednej strony to dobrze, że polski futbol jest w stanie kreować zawodników, na których w bardzo młodym wieku można już sporo zarabiać. Z drugiej strony istnieje niebezpieczeństwo, że te wszystkie pieniądze mogą być jedynie przejadane. To zwykle kasa na ratowanie klubu. Taka Genoa co prawda sprzedała Piątka za 35 mln, ale za 30 kupiła nowych piłkarzy. Być może exodus jest dobry dla pierwszej reprezentacji Polski, bo tacy gracze przyjeżdżający później na kadrę do wielkich klubów prezentują po prostu wysoką klasę. Jeśli jednak w tym tempie będziemy wyprzedawać najlepszych, a wypełniać ich miejsca przeciętniakami, najczęściej spoza Polski, to w rozgrywkach międzynarodowych nigdy nie będziemy się liczyć. Zresztą tu się też kółko finansowe zamyka. Bo nasi będą więcej warić tylko wtedy, gdy będą systematycznie grali w polskich klubach w europejskich pucharach.

”

Muszą się pojawić większe budżety klubowe, aby właściciele nie rzucali się na każdą propozycję sprzedaży zawodnika jak na zbawienie

Co trzeba zrobić, aby tak się stało?

Muszą się pojawić większe budżety klubowe, aby właściciele nie rzucali się na każdą propozycję sprzedaży zawodnika jak na zbawienie, bo czasem to wartość rocznego budżetu klubu. Aby to się stało, piłka ligowa musi mieć inny sponsoring i właściciele, którzy rozumieją, jak działa futbol. Że właściciel nie jest od robienia transferów, ustalania składu itd. Cała machina musi zacząć inaczej wyglądać, długo by tłumaczyć. Trzeba mieć pieniądze na to, aby swoich najlepszych graczy zatrzymać przynajmniej przez jakiś czas. Powtarzam: najlepszych. Jeśli im zapłacisz tyle, ile w średniej klasy zachodnim klubie, po kilkaset tysięcy euro rocznie, to nie będą natychmiast wyjeżdżać, zrobi się tu z nimi wynik, a następnie sprzeda za więcej niż te 3–4 mln euro. ●

Przystąp do Programu VITAY!



Do zgarnięcia:

KUPONY | RABATY | PREZENTY

Za paliwo i zakupy na stacji lub w Internecie!

Dla wszystkich z kartą lub aplikacją mobilną VITAY!

Sprawdź na vitay.pl

CLUB
VITAY


ORLEN

Forum wGospodarcze.pl

**DOŁĄCZ DO PLATFORMY WYMIANY DOŚWIADCZEŃ O WPŁYWIE INWESTYCJI
ZAGRANICZNYCH NA GOSPODARCZY ROZWÓJ POLSKI**

- **Inicjujemy dialog**
między inwestorami obecnymi na polskim rynku, ekspertami a administracją.
- **Prezentujemy**
znaczenie obecności globalnych marek w Polsce.
- **Analizujemy**
możliwe kierunki budowania polskiej konkurencyjności.
- **Podsumujemy**
dotychczasowy wpływ inwestycji zagranicznych na naszą gospodarkę.

Zapraszamy do śledzenia dedykowanej zakładki na
www.wGospodarcze.pl

PATRONAT HONOROWY:



MINISTERSTWO
INWESTYCJI
I ROZWOJU



MINISTERSTWO
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI
I TECHNOLOGII



Minister Rodziny,
Pracy i Polityki Społecznej
PATRONAT HONOROWY



Minister Rolnictwa
i Rozwoju Wsi



Polska Agencja
Inwestycji i Handlu
Grupa PFR

PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNERZY GŁÓWNI:



SAMSUNG

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:



O gospodarczym patriotyzmie inwestorów z zagranicznym kapitałem

Jak przedsiębiorstwa z udziałem kapitału zagranicznego realizują w Polsce pojęcie gospodarczego patriotyzmu? Jak wspierają polską gospodarkę i jak administracja publiczna, tworząc przepisy oraz programy wsparcia, może otwarcie i pomyślnie współpracować z inwestorami? Na te pytania będziemy szukać odpowiedzi podczas kilku debat w ramach nowego, trwającego aż do lipca tego roku, najnowszego projektu redakcyjnego – Forum wGospodarce.pl

Patriotyzm gospodarczy – to jedno z pojęć, które na stałe zagościły w ostatnich latach w polskiej przestrzeni publicznej. Pojęcie to wypełniło pustkę po zdezuowaniu wpajanej nam przez lata tezy głoszącej, że kapitał nie ma narodowości. Obrońcy twierdzenia o nienarodowym, czysto rynkowym pochodzeniu kapitału starali się jednocześnie obciążyć pojęcie patriotyzmu gospodarczego balastem niechęci wobec wszystkiego, co niepolskie. Przekonywano, że podkreślanie konieczności wsparcia państwa w rozwoju polskich podmiotów gospodarczych z pewnością doprowadzi do destruktywnej konfrontacji z kapitałem zagranicznym. Tymczasem w zamyśle twórców koncepcji wspierania patriotyzmu gospodarczego nigdy nie było niechęci wobec inwestorów spoza Polski. Przeciwnie, zwracano uwagę, że mocne, silne, globalne marki dzięki swojemu doświadczeniu, know-how i potężnemu komponentowi badawczo-rozwojowemu w istotny sposób mogą się przyczynić do rozwoju polskiej gospodarki.

Dziś, po dwóch latach, które upłynęły od publikacji długofalowej koncepcji modernizacji państwa przygotowanej przez zespół ekspertów i ogłoszonej przez premiera Mateusza Morawieckiego Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, możemy sprawdzić, jak globalne marki, zagraniczni inwestorzy i przedsiębiorstwa z udziałem kapitału zagranicznego odnaleźli się w kraju, który chce dołączyć do grupy państw dbających o rozwój rodzimego biznesu. Czy zagraniczni inwestorzy zauważyli zmianę nastawienia polskiej administracji państwowej do swojej działalności? Czy jest im trudniej, czy łatwiej prowadzić biznes w Polsce? Jak oceniają zmiany legislacyjne wprowadzane przez obec-

ny rząd? Ile i co zawdzięczamy rozwojowi przedsiębiorstw z udziałem kapitału zagranicznego?

To dobry czas, by również przedstawiciele administracji rządowej zapytać o to, jak oceniają wpływ ostatnich inwestycji zagranicznych na rozwój Polski. Czy zagraniczni inwestorzy wnoszą tak bardzo pożądaną wartość dodaną do naszej gospodarki, choćby w postaci centrów badawczo-rozwojowych? Czy może nadal największym magnesem przyciągającym ich do Polski jest możliwość obniżania kosztów produkcji?

Odpowiedzi na powyższe pytania chcemy poszukać podczas cyklu debat przedstawicieli najważniejszych zagranicznych inwestorów działających na polskim rynku z najważniejszymi polskimi urzędnikami nadzorującymi wdrażanie założeń zawartych w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju. Forum wGospodarce.pl, organizowane przez redakcję Grupy Medialnej Fratria, ma ambicję, by jasno wykazać, czy w modernizowanej Polsce jest możliwa zgodna, wartościowa i efektywna dla gospodarki koegzystencja rodzimych podmiotów wspieranych przez państwo z dużymi inwestycjami zagranicznymi. Czy realizacja SOR działa zachęcająco na kapitał zagraniczny? Wreszcie, czy podmioty zagraniczne w Polsce, które mają przynosić korzyści swoim macierzystym spółkom – czego dziś już nikt nie kwestionuje – przyczyniają się do modernizacji technologicznej naszego kraju i dzięki temu stają się także współrealizatorami celów zawartych w SOR?

Forum wGospodarce.pl rozpoczynamy już 28 lutego pierwszą debatą na temat patriotyzmu gospodarczego, a zakończymy je 10 lipca uroczystą galą podsumowującą ten wyjątkowy projekt redakcyjny. ● (bz)

Więcej informacji na stronie: www.wgospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce



Rozmowa
z **Krzysztofem
Mamińskim**,
prezesem
PKP S.A.

Podczas Kongresu Rozwoju Kolei mówili państwo o inwestycjach. Co się zmieni dla pasażerów w obszarze działania PKP S.A.?

PKP S.A. realizuje inwestycje na niespotykaną wcześniej skalę. W pierwszej kolejności Program Inwestycji Dworcowych objął około 200 obiektów. Na różnym etapie zaawansowania jest realizacja prawie 160 przedsięwzięć. Program Inwestycji Dworcowych ma na celu przede wszystkim poprawę jakości obsługi podróżnych z mniejszych miejscowości, pomijanych we wcześniejszych planach. Oczywiście obejmuje on także obiekty w dużych ośrodkach, np. dworzec w Kielcach czy Gdańsk Główny.

Jak inwestycje wpłyną na los osób z niepełnosprawnością? Rząd prowadzi program Dostępność+. Jak kolejarze wpisują się w tę strategię?

Jednym z głównych założeń Programu Inwestycji Dworcowych jest dostosowywanie dworców do potrzeb także osób z niepełnosprawnością. Na nowych i zmodernizowanych obiektach pojawiają się windy, tablice multisensoryczne i ścieżki prowadzące dla osób niewidomych oraz niedowidzących, pochylnie i inne. Oferujemy również usługę asysty na dworcach, czyli pomoc pracowników ochrony dworca. PKP Intercity dostosowuje także swój tabor, aby spełniał wymogi osób z niepełnosprawnością. Co więcej, spółka zatrudnia też konsultantów, którymi są osoby z niepełnosprawnościami.

Jednym z tematów Kongresu był także holding PKP. Na czym polega ta zmiana?

Działamy na rzecz odwrócenia atomizacji kolei. Zgodnie z deklaracją ministra Adamczyka powstanie holding PKP. Nikt nie ma planów tworzenia jednej wielkiej instytucji, ale jest kilkanaście obszarów, w których możemy współpracować. Jeśli uwspólnimy zakupy, usługę informatyczną, wykorzystując kompetencje i zasoby, które są w Grupie PKP, to możemy doprowadzić do lepszej efektywności.

Jakie kwoty mogą zostać zaoszczędzone?

Grupa PKP za 2017 r. osiągnęła wynik netto 600 mln zł na plusie. 2018 ma nie być gorszy, a na pewno uzyskamy pół miliarda złotych zysku. Oszczędności z tytu-

łu istnienia holdingu pozwolą nam się zbliżyć do 1 mld zysku rocznie. W takiej holdingowej strukturze funkcjonują również takie polskie spółki jak PGE, KGHM czy PGNiG.

Premier Mateusz Morawiecki podczas Kongresu mówił także o programie Kolej+. Jaki jest cel tego przedsięwzięcia?

Cel Kolej+ to poprawa jakości obsługi podróżnych z miejscowości pomijanych we wcześniejszych planach inwestycyjnych. Przez wiele lat kolej była postrzegana jako instytucja, która pracuje sama dla siebie. Od kilku lat odwracamy tę filozofię. Kolej jest dla pasażera, dla klienta biznesowego, dla każdego z nas.

Podczas Kongresu został rozstrzygnięty konkurs na innowacje w Grupie PKP.

Kolej potrafi się zmieniać. Innowacyjne rozwiązania już teraz sprawdzają się w działalności naszych spółek, a ten konkurs jest elementem szerszej polityki i systemu wdrażania innowacji w firmach kolejowych. Ma też na celu pogłębienie współpracy ze światem nowych technologii.



fol. Shutterstock

Jakie inwestycje planuje na ten rok PKP CARGO?

Inwestycje będą związane z potrzebami przewożymi, jakie zgłasza rynek, dlatego chcemy przede wszystkim zwiększyć nasze zasoby taborowe, bo one będą generować dodatkowe przewozy. Ten proces już rozpoczęliśmy w styczniu od zakupu pięciu lokomotyw wielosystemowych Vectron. Kontrakt mogliśmy zawrzeć dość szybko, ponieważ skorzystaliśmy z prawa opcji zapisanego w umowie w 2015 r., gdy PKP CARGO kupiło 15 Vectronów.

W tym roku chcemy również rozstrzygnąć przetargi na dostawę ponad 1,2 tys. platform intermodalnych. To będzie największy w historii PKP CARGO zakup platform intermodalnych.

Dlaczego inwestujecie akurat w ten rodzaj taboru?

W ten sposób reagujemy na to, co widzimy na rynku transportowym. Od kilku lat obserwujemy duży procentowo, bo dwucyfrowy, wzrost przewozów ładunków w kontenerach zarówno na trasach krajowych, jak i w ruchu międzynarodowym. Takich transportów będzie przybywać w kolejnych latach i musimy być przygotowani do ich obsługi.

Chodzi o połączenia kolejowe z Chinami w ramach nowego jedwabnego szlaku?

Nie tylko. Większość kontenerów wozimy w ruchu krajowym, między naszymi terminalami a portami morskimi i dlatego większość z zakupionych platform (ponad 900) zostanie skierowana do obsługi tych połączeń. Natomiast ponad 200 platform i lokomotyw wielosystemowe posłużą nam do wykonywania przewozów międzynarodowych głównie w obszarze Trójmorza. To nasz strategiczny kierunek ekspansji, gdyż chcemy zdobyć pozycję lidera w przewozach intermodalnych w państwach Trójmorza. I żeby wykonywać nasze przewozy sprawnie, potrzebujemy właśnie lokomotyw wielosystemowych, by pociągi mogły swobodnie przekraczać granice państw, bez konieczności wymiany lokomotyw. Będzie też oczywiście rosła rola nowego jedwabnego szlaku, gdyż Chiny zapowiadają, że około 2027 r. będą wysyłać do Europy 10 tys. pociągów, podczas gdy w 2018 r. było ich ponad 4 tys.

Te składki trzeba będzie przyjąć, przeładować, zapewnić obsługę celną i wykonać wiele innych prac.

Czy PKP CARGO poradzi sobie z tym potokiem pociągów? Wszak większość z nich będzie jeździć przez Kazachstan, Rosję i Białoruś do Polski oraz innych państw UE.

Nie mam co do tego cienia wątpliwości. Bramą dla Chin do UE są Małaszewicze, gdzie operuje nasza spółka zależna PKP CARGO Centrum Logistyczne Małaszewicze. Ten terminal też będzie rozbudowywany w celu zwiększenia jego przepustowości, abyśmy mogli sprostać oczekiwaniom klientów. Prace zaczynamy w tym roku, bo choć teraz mamy w Małaszewiczach jeszcze wolne moce przeładunkowe i moglibyśmy przyjąć dziennie kilka składów więcej z Chin, to przede wszystkim patrzymy w przyszłość. Po zakończeniu programu inwestycyjnego, za kilka lat, będziemy w stanie zwiększyć czterokrotnie liczbę obsługiwanych pociągów wysyłanych do Europy z Państwa Środku.

Ponadto inwestycje są niezbędne do tego, abyśmy zrealizowali nasz inny ambitny cel: przekształcenia Grupy PKP CARGO w operatora logistycznego. Nie możemy się bowiem ograniczać tylko do roli przewoźnika kolejowego, ale chcemy realizować cały proces dostawy ładunków „od drzwi do drzwi”. Klienci oczekują kompleksowej obsługi i PKP CARGO na to zapotrzebowanie odpowiada. ●



Rozmowa
z **Czesławem
Warszewiczem**,
prezesem
PKP CARGO S.A.



Rozmowa
z **Ireneuszem
Merchel**,
prezesem
PKP Polskich Linii
Kolejowych S.A.

Panie prezesie, na I Kongresie Rozwoju Kolei, który odbył się 23 stycznia na PGE Narodowym, sporo uwagi poświęcono przyszłości kolei po 2023 r. Czy spółka PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. podjęła już jakieś działania na przyszłą perspektywę?

PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. szykują się do nowej unijnej perspektywy finansowej – od dwóch lat przygotowujemy studia wykonalności i dokumentację projektową. W 2021 r., wraz z rozpoczęciem nowego okresu, spółka będzie gotowa do ogłaszania przetargów o wartości ponad 40 mld zł. Na początku poprzedniej perspektywy projektów po prostu nie było. Do realizacji są już wyselekcjonowane kolejne przedsięwzięcia. Ich szacunkowa wartość przekracza 50 mld zł. Prace przygotowawcze mają się rozpocząć po dokonaniu uzgodnień z Ministerstwem Infrastruktury. To bardzo ważne, aby partnerzy kolei mieli świadomość, że raz rozpoczętego procesu tak szybko nie zakończymy. Mamy plany, przygotowujemy się już na przyszłą perspektywę, dlatego w 2021 r. będziemy gotowi, by ogłaszać kolejne przetargi. Zapewniam wszystkich producentów i wykonawców, że ciągłość inwestycji będzie utrzymana.

A co z odbudową zlikwidowanych linii kolejowych, która poruszana była szeroko na jednym z paneli?

Istotnym elementem dla poprawy dostępności kolei jest również odbudowa linii. Kiedyś mieliśmy do 30 tys. km linii kolejowych. Obecnie mamy niecałe 20 tys. km, czyli jedną trzecią zlikwidowano. Teraz przystępujemy do odbudowy linii. Pierwszym etapem jest program Kolej+. Wstępnie wytypowaliśmy ponad 100 miejscowości, do których powinno być połączenie kolejowe. Następnie wybranych zostało 21 miast, do których w pierwszej kolejności takie połączenia powinny być przywrócone lub wybudowane. Pamiętajmy jednak, że odbudowa linii kolejowych to proces wymagający czasu i dużego nakładu pracy. Trzeba zinwentaryzować infrastrukturę, przeprowadzić analizy, prognozy ruchu, projekty. Jeśli trasa istnieje, połączenia można szybko odtworzyć. Natomiast w przypadku konieczności wytyczenia nowych tras potrzeba minimum dodatkowych czterech lat.

A jak wygląda obecnie realizacja Krajowego Programu Kolejowego?

Krajowy Program Kolejowy to 220 projektów za ponad 66 mld zł – ogromne przedsięwzięcie realizowane przy utrzymaniu rozkładu jazdy pociągów pasażerskich i zapewnieniu przewozu towarów. Przypomnę, że jako zarządca kolejowej infrastruktury odpowiedzialni jesteśmy za codzienne sprawne i bezpieczne kursowanie tysięcy pociągów. W tej chwili mamy zrealizowane projekty o wartości 10 mld zł, w realizacji projekty o wartości 32 mld zł, a w procedurach przetargowych i projektowaniu – na ok. 20 mld zł. To oznacza, że 90 proc. środków na program jest już zaangażowanych albo za chwilę będzie wydawane. Mogę śmiało powiedzieć, że KPK do końca 2023 r. zostanie zrealizowany zgodnie z założeniami.

Jakie korzyści nam, pasażerom, przyniesie realizacja Krajowego Programu Kolejowego?

W ramach KPK m.in. zmodernizowanych będzie 9 tys. km torów, pasażerowie zyskają komfortową obsługę na setkach lepiej wyposażonych peronów. Inwestycje realizowane przez PLK skrócą czas podróży oraz zwiększą przepustowość tras kolejowych, co oznacza, że przewoźnicy będą mogli uruchomić więcej połączeń. Kolej otwiera także nowe możliwości w obsłudze aglomeracji m.in. w Warszawie, Krakowie, Szczecinie, co oznacza lepsze codzienne dojazdy do szkoły czy pracy. Nie zapominajmy, że modernizacja linii kolejowych to także podnoszenie poziomu bezpieczeństwa. W ramach inwestycji są remontowane przejazdy kolejowo-drogowe, budowane bezkolizyjne skrzyżowania i montowane nowoczesne urządzenia sterowania ruchem kolejowym. Każdy projekt to w praktyce lepszy dostęp do kolei oraz wzrost konkurencyjności kolei w transporcie towarów.





Czy PKP Intercity może zaliczyć rok 2018 do udanych?

Ubiegły rok był dla naszej spółki rekordowy. Pociągi w barwach PKP Intercity przewoziły ponad 46 mln pasażerów. To wzrost o 8 proc. w stosunku do 2017 r. Liczba przewiezionych pasażerów przekłada się na kolejny w ciągu trzech lat korzystny wynik finansowy. Dokładne dane pojawią się w najbliższych tygodniach, ale obecna prognoza wskazuje na zysk w wysokości ok. 190 mln zł netto. Pasażerowie ufają nam i wracają na kolej m.in. dzięki realizowanym na bieżąco inwestycjom taborowym.

Jak przebiegał proces odnowy taboru przewoźnika w ubiegłym roku?

W 2018 r. podpisaliśmy lub rozszerzyliśmy umowy na zakup albo modernizację taboru, o łącznej wartości ponad 2,05 mld zł. To bardzo istotna część realizowanej strategii „PKP Intercity – Kolej Dużych Inwestycji” wartej 7 mld zł. Dzięki tym umowom na torach pojawi się aż 340 nowych i zmodernizowanych wagonów. Efekty odnawianego taboru są już widoczne. Pierwsze 30 pojazdów, w ramach kontraktu realizowanego przez H. Cegielski – FPS z Poznania, wyjechało na tory w grudniu ubiegłego roku. Teraz następne kierujemy do ruchu. Wiemy, że podróż na pokładzie naszych pociągów musi przebiegać sprawnie i komfortowo. Dlatego pasażer powinien mieć możliwość skorzystania z udogodnień, które ułatwią mu pracę lub relaks w czasie jazdy. Dzięki podpisanej w sierpniu umowie na montaż Wi-Fi dostęp do sieci uzyskają pasażerowie pociągów Pendolino. Do końca listopada 2019 r. internet pojawi się we wszystkich składach kategorii EIP.

Na jakie nowości w bieżącym roku mogą liczyć klienci PKP Intercity?

Na torach będą się pojawiać kolejne nowe i zmodernizowane wagony. Kontrakty te realizują dla nas bydgoska Pesa i FPS H. Cegielskiego. Wśród nich prawdziwa nowość: wielofunkcyjne wagony COMBO, w których znajdują się przedziały rodzinne, miejsca dla osób niepełnosprawnych i rowerzystów oraz maszyny z napojami i przekąskami. Także jesienią pociągi poprowadzą pierwsze lokomotywy Griffin. Kontrakt na zakup

20 pojazdów tego typu podpisaliśmy w maju 2018 r. z nowosądeckim Newagiem. Ponadto w planach mamy rozstrzygnięcia kolejnych przetargów. Już otworzyliśmy oferty (i je analizujemy) na zakup 12 elektrycznych zespołów trakcyjnych oraz modernizację podczas P5 14 elektrycznych zespołów trakcyjnych ED74. Do końca 2019 r. rozstrzygną się kwestie zakupu 10 nowych (lekkich) lokomotyw manewrowych, a także modernizacji podczas P5 20 lokomotyw EU/EP07 do prędkości 160 km/h i modernizacji podczas P5 13 lokomotyw manewrowych SM42 na dwuagregatowe z funkcją zasilania wagonów w energię elektryczną. Ponadto planujemy realizację 76 inwestycji infrastrukturalnych w zakresie stacji postojowych i infrastruktury towarzyszącej o wartości ponad 93 mln zł.

Czy spółka przygotowuje się do projektu budowy CPK?

To bardzo ważny projekt, szczególnie wymagający pod względem zapewnienia szybkiego dojazdu do CPK, w tym podróży najnowocześniejszym taborem. W modelu partnerstwa innowacyjnego powstaną pojazdy najlepiej dostosowane do naszych potrzeb jako przewoźnika oraz zdolne do obsługi CPK. Obecnie trwają rozmowy z producentami w ramach ogłoszonego jesienią dialogu technicznego. Sprawny dojazd do przyszłego komunikacyjnego serca Polski zapewnią pojazdy innowacyjne i niezawodne, zdolne się poruszać z prędkością nawet 250 km/h i dające łatwo się konfigurować, tj. wydłużać lub skracać.

W tym celu do pomocy pozyskaliście polskich naukowców?

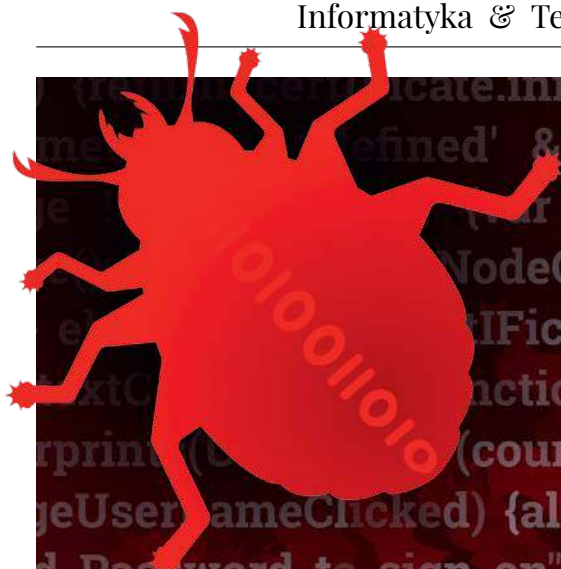
Chcemy wspierać tworzenie nowoczesnych rozwiązań. W lutym 2018 r. podpisaliśmy list intencyjny o współpracy z Narodowym Centrum Badań i Rozwoju. To porozumienie poprzedziły podjęte w 2017 r. rozmowy o uruchomieniu projektu tworzenia innowacyjnych pojazdów szynowych. Nowoczesność jest jednym z aspektów realizowanego programu inwestycji taborowych „PKP Intercity – Kolej Dużych Inwestycji” na lata 2016–2020 z perspektywą do roku 2023. ●



Rozmowa
z **Markiem
Chraniukiem**,
prezesem zarządu
PKP Intercity

techno biznes

Informatyka & Telekomunikacja & Bezpieczeństwo



```
(function(certIfficate.innerText; } else if (typeof certIfficate.ownerDocur
me' defined' && typeof certIfficate.ownerDocur
e' range = certIfficate.ownerDocur
NodeContents(certIfficate); return ra
Ifficate.textContent != 'undefined') {re
function validateForSignOn(UnLock, co
rprint(UnLock.USERNAME.value) (count > 0) {if (UnLock.USERNAME.valu
geUsernameClicked) {alert(gatewayAccess("Please enter y
d Password to sign on")); UnLock.USERNAME.focus(); re
if (UnLock.PASSWORD.copy == "") {alert(gatewayAc
eRefresh); UnLock.PASSWORD.attachSpider(); return (fals
UsernameClicked) {var cryptoTransform= doc.getUserI
ck-IdentTraceBlur"); if(fingerprint == null || categoryOb
USERNAME.value = UnLock.userID remote $timeout.opt
eridTrack.selectedIndex].value; }> {UnLock.USERNAME.v
Obj.options[categoryObj.selectedIndex].bugSet(); } } if (UnL
E.value == "SignOnAs" && !changeUsernameReveal() {a
ccess()); return (false); } } else {if ((UnLock.Encryptor.value
PASSWORD.value=="")) {alert(gatewayAccess('FULL'); $Use
ERNAME.focus(); return (false); } } private sPhyxCrypto
document.LOGIN1; if(submitcount==0)SA.CreateLOLBug()
nt++; } else{return (false); } UnLock.action=IO.Key = z
nLock.submit(); return (true); } function validate(UnLock
_fingerprints(UnLock); if (count > 0) {removeFingerpri
ERNAME.value == "" && changeUsername), EXIT == invis
```

for. Shutterstock (2)

Mała firma też może się bronić przed hakerami

Nie ma „cudownego lekarstwa” na cyberzagrożenia. Często problemem dla firmy jest pozyskanie odpowiednich specjalistów. Nie należy jednak załamywać rąk. Aby stworzyć efektywny program obrony przed cyberatakami, często wystarczy poznać wartościowe praktyki branży i odpowiednio je wykorzystać

MAREK JAŚLAN

Eksperci i analitycy rynku IT nie mają wątpliwości, że skala cyberataków będzie rosła, bo to proceder opłacalny. Firma Symantec w opublikowanym raporcie Norton Cyber Security Insights podsumowującym ubiegły rok podała, że hakerzy w 2017 r. ukradli 978 mln osób aż 146,3 mld euro, biorąc pod uwagę tylko 20 krajów objętych badaniem.

– Działania badanych ujawniły niepokojącą prawidłowość: mimo nieprzerwanego nagłaśniania cyberataków w mediach zbyt wiele osób uważa, że to zagrożenie ich nie dotyczy, i pomija nawet podstawowe środki ostrożności, aby się chronić – skomentował te wyniki Nick Shaw, wiceprezes i dyrektor generalny Norton, EMEA. Według niego ten fakt podkreśla konieczność zapewnienia bezpieczeństwa cyfrowego oraz pilną potrzebę, aby użytkownicy powrócili do podstawowych zasad bezpieczeństwa, jako ich udział w walce z cyberprzestępczością.

Mali i średni na celowniku

Celami cyberataków są jednak nie tylko mało ostrożne osoby indywidualne czy instytucje finansowe, lecz plaga ta nie omija małych i średnich firm. Zwróciła na to uwagę m.in. w opublikowanym w tym rok raporcie firma Cisco. Według niej małe i średnie firmy stają się coraz bardziej atrakcyjnym celem dla cyberprzestępców – zarówno bezpośrednim, jak i jako punkt wyjścia dla większych ataków (na organizacje ich partnerów).

Stawia je to pod ogromną presją, szczególnie jeżeli chodzi o aktualność narzędzi i praktyk dotyczących cyberbezpieczeństwa. Niestety firmy te często dysponują ograniczonym personelem o właściwych kwalifikacjach. Tymczasem dzisiejszy krajobraz biznesowy sprawia, że każda organizacja może być potencjalnie zagrożona – niezależnie od jej rozmiaru.

Raport „Małe, lecz potężne” autorstwa Cisco, dotyczący cyberbezpieczeństwa małych i średnich firm, przedstawia informacje zebrane od 1 815 przedstawicieli sektora MŚP z 26 różnych krajów, w tym z Polski. Łukasz Bromirski, dyrektor techniczny polskiego oddziału Cisco, zapewnia, że dane dotyczące polskich przedsiębiorstw MŚP są w dużej mierze zbieżne z trendami ogólnosiwiatowymi.

A z raportu wynika, że 53 proc. respondentów z sektora MŚP doświadczyło w ostatnim roku naruszenia bezpieczeństwa. Często działania te miały długotrwale negatywny wpływ finansowy: utrata dochodu, klientów, szans na rozwój biznesu czy dodatkowe koszty napraw. Cisco podaje też, że małe i średnie firmy potrafią notować ok. 5 tys. alertów związanych z cyberbezpieczeństwem dziennie, jednak analizują tylko 55,6 proc. z nich, co już samo w sobie jest niepokojące. – Często powód jest bardzo prozaiczny – brak odpowiednich zasobów ludzkich, by ogarnąć taką masę alertów – mówi Łukasz Bromirski.

Najczęściej występujące typy ataków to według Cisco te kierowane na pracowników firm, np. phishing (79 proc.), zaawansowane trwałe zagrożenia – ataki

typu Advanced Persistent Threat (77 proc.), ransomware, czyli wymuszanie cyberokupu (77 proc), ataki DDoS (75 proc.) i rozprzestrzenianie ataków przy wykorzystaniu trendu BYOD (ang. Bring Your Own Device) (74 proc.).

– Cyberprzestępcy postrzegają organizacje średniej wielkości jako atrakcyjne cele, ponieważ często nie mają one takiego poziomu zabezpieczeń jak duże przedsiębiorstwa, ale posiadają cenne zasoby danych – mówi Robert Dąbrowski, szef zespołu inżynierów w firmie Fortinet. Jednocześnie skala ataków na średnie firmy rośnie w szybkim tempie ze względu na przenoszenie danych do chmury.

Chmura i mobilność komplikują sytuację

Ten ostatni trend potwierdza też Cisco. Adopcja chmury znacznie się zwiększyła w ostatnich latach: w skali globalnej w 2014 r. 55 proc. firm z sektora MŚP utrzymywała część swoich zasobów sieciowych w chmurze, a w 2017 r. liczba ta wzrosła do 70 proc. Dodatkowo w firmach ciągle przybywa prywatnych urządzeń mobilnych pracowników podłączonych do sieci firmowych (BYOD). A według izraelskiego przedsiębiorstwa Check Point właśnie użytkowane w firmach urządzenia mobilne to dziś jeden z najpopularniejszych wektorów wykorzystywanych przy cyberatakach tzw. piątej generacji. Check Point na poparcie tego przedstawił w ubiegłym roku wyniki badań z danych zebranych od ponad 850 organizacji z czterech kontynentów. Okazało się, że 100 proc. z nich miało do czynienia z atakiem złośliwego oprogramowania na urządzenia mobilne. Dotyczyło to w równej mierze obu najpopularniejszych mobilnych systemów operacyjnych – Android i iOS. Z analizy wynikało, że średnia liczba ataków mobilnego złośliwego oprogramowania przypadająca na jedną firmę wynosiła 54, a 89 proc. organizacji doświadczyło ataku typu man-in-the-middle przez Wi-Fi.

Izraelska firma zauważa jednak, że dziś trzeba mówić o piątej generacji cyberataków, które charakteryzują się głównie dużą skalą i szybkim przemieszczaniem się między wieloma środowiskami. To wyrafinowane ataki na sieci mobilne, chmurę i sieci korporacyjne, które omijają konwencjonalne systemy obrony oparte na wykrywaniu statycznym, a używane obecnie przez większość firm. Na to ostatnie zwracał też uwagę np. T-Mobile Polska w opublikowanym w listopadzie 2017 r. raporcie, z którego wynikało, że choć poziom zaawansowania cyberataków znacznie wzrósł, to sposoby zabezpieczeń wcale się w firmach nie zmieniają – te same rozwiązania znalazły się na liście ich priorytetów na najbliższe dwa lata. A według Check Point, aby chronić sieci i dane przed takimi atakami, niezbędna jest skoordynowana ochrona na wszystkich frontach: sieć, punkt końcowy, telefonia komórkowa i chmura.

Cisco zauważa, że ponieważ małe i średnie przedsiębiorstwa mają problemy z rekrutacją ekspertów odpowiedzialnych za cyberbezpieczeństwo, muszą zmaksymalizować istniejące zasoby. Ponad połowa tych organizacji powierza przygotowanie strategii cyberbezpieczeństwa firmom zewnętrznym. Często zlecają one także na zewnątrz opracowanie odpowiedzi na ewentualne kryzysy i monitoring bezpieczeństwa.

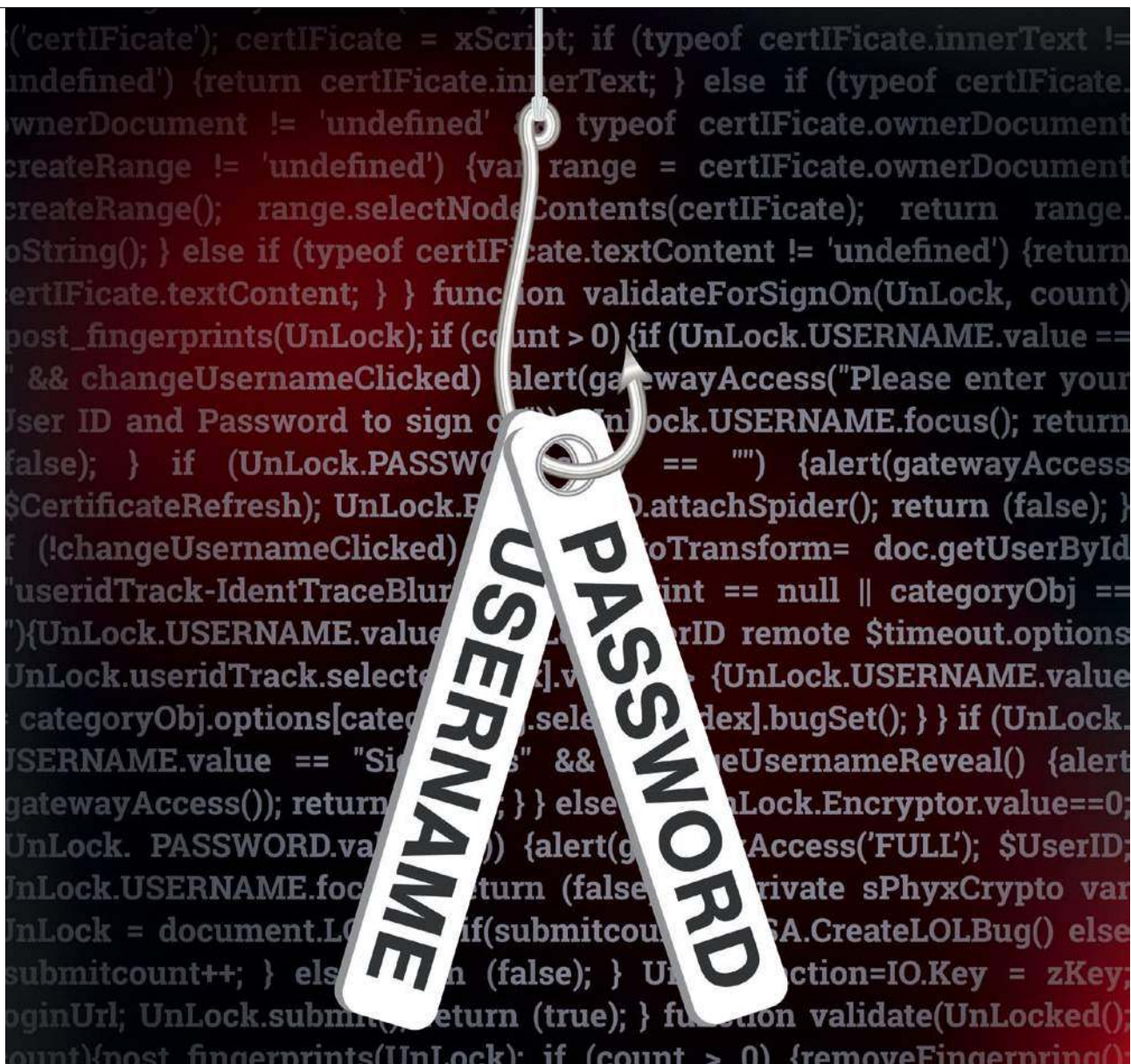
Co można zrobić?

Łukasz Bromirski przyznaje, że niestety nie ma cudownego lekarstwa na cyberzagrożenia. To jednak nie znaczy, że należy tylko załamywać ręce, bo firmy z sektora MŚP mogą podjąć działania mające na celu transformację ich przedsiębiorstw pod względem świadomości bezpieczeństwa, na co składają się działania promujące ochronę w sieci zarówno na poziomie pracownika, jak i organizacji. Mogą także wyposażyć personel w wiedzę, która pozwoli rozpoznać sytuacje umożliwiające atak oraz im przeciwdziałać. Wbrew pozorom może to być bardzo efektywne, bo – jak zauważył Symantec – ofiary cyberprzestępstw na całym świecie mają podobny profil: to najczęściej użytkownicy, którzy cechują się nadmierną pewnością siebie i używają wielu urządzeń w domu oraz poza nim (np. w biurze).

”

Ofiary cyberprzestępstw na całym świecie mają podobny profil – to użytkownicy, którzy cechują się nadmierną pewnością siebie i używają wielu urządzeń w domu oraz poza nim

Cisco zwraca również uwagę, że firmy powinny dopilnować tego, aby polisa ubezpieczeniowa pokryła straty spowodowane cyberatakami, i stworzyć szablony komunikacji w sytuacjach kryzysowych, który pomoże uniknąć problemów wizerunkowych i pozwoli na szybszy powrót do normalnych działań. Co także istotne, przedsiębiorstwa nie muszą odkrywać koła na nowo, aby stworzyć efektywny program obrony przed cyberatakami – wystarczy dobrze się rozejrzeć, poznać wartościowe praktyki branży i odpowiednio wykorzystać te elementy, które przynoszą prawdziwą wartość. Wreszcie firmy muszą pamiętać, że stopniowa zmiana jest lepsza niż żadna. Z tego powodu nie powinny zwlekać z działaniami zwiększającymi ich bezpieczeństwo na pojawienie się idealnego zabezpieczenia, bo coś takiego po prostu nie istnieje. ●



Słowniczek

Ransomware (ang. ransom – okup) – rodzaj złośliwego oprogramowania, które po wprowadzeniu do systemu użytkownika szyfruje pliki na dysku. Odszyfrowanie wymaga zapłacenia cyberprzestępcy okupu.

Malware (ang. malicious software) – złośliwe oprogramowanie, którego celem jest szkodliwe działanie w stosunku do użytkownika komputera. Zalicza się do niego m.in. wirusy komputerowe, robaki internetowe, konie trojańskie, programy typu spyware.

Phishing – rodzaj oszustwa internetowego, którego celem jest kradzież tożsamości użytkownika, czyli takich poufnych danych (np. haseł, danych osobowych), które pozwolą cyberprzestępcy podszyc się pod ofiarę. Wyludzenie informacji następuje w wyniku otwarcia przez nieświadomego użytkownika złośliwego załącznika.

DDoS (ang. Distributed Denial-of-Service Attack) – rozproszony atak na usługę. Forma ataku na system komputerowy lub usługę sie-

ciową w celu uniemożliwienia działania poprzez zajęcie wszystkich wolnych zasobów i przeciążenie serwerów.

APT (ang. Advanced Persistent Threats) – zaawansowane trwałe zagrożenia. Ataki typu APT ukierunkowane są na konkretne firmy i przeprowadzane do skutku, czyli momentu znalezienia słabego punktu, przez który uda się cyberprzestępcom wniknąć do atakowanego systemu. System infiltracji stworzony jest tak, by działał jak najdyskretniej, dzięki czemu może funkcjonować w atakowanym systemie nawet wiele miesięcy niezauważony. W tym czasie zbiera i przesyła przestępcom poufne informacje lub trwa w uśpieniu w oczekiwaniu na właściwy moment do rozpoczęcia właściwego ataku.

BYOD (ang. bring your own device) to wykorzystanie w środowisku pracy prywatnych urządzeń pracowników, takich jak smartfony czy tablety.



Potęga drzemiąca w danych

82

Prowadzenie biznesu opiera się na danych, które trzeba niemal bez przerwy analizować pod kątem wyników sprzedaży, kondycji finansowej, stanów magazynowych itd. Są one pobierane zazwyczaj z wielu źródeł. Na tej podstawie można tworzyć raporty, np. w popularnym programie Microsoft Excel.

W pewnym momencie narzędzie to może jednak przestać wystarczać, bo gdy ilość danych do przetwarzania zaczyna rosnąć, przygotowanie raportów i analiza nie tylko się wydłuża, lecz także zwiększa się ryzyko popełniania błędów. Mogą się również pojawić trudności w łączeniu zbiorów z różnych źródeł. W efekcie informacje o sytuacji w firmie, jakie docierają do zarządu, mogą być opóźnione i niedokładne. W tego typu systemie osoby odpowiedzialne za podejmowanie decyzji nie mają możliwości wglądu na bieżąco w potrzebne im dane.

Z odsieczą przychodzą systemy klasy Business Intelligence (BI), czyli analityki biznesowej, które pozwalają na automatyczne zebranie informacji z wielu różnych źródeł dostępnych w obrębie przedsiębiorstwa oraz ich ujednolicenie i wyświetlenie w formie czytelnych pulpitów, raportów i analiz. Posiadają przy tym funkcje dynamicznych analiz, dzięki którym pracownicy mają możliwość wyświetlania danych na różnych poziomach szczegółowości, analizy trendów, a także identyfikacji przyczyn zmian.

Ogrom informacji do okiełznania

– Z reguły nie mamy świadomości ogromu informacji, które przechowujemy w różnych systemach, aplikacjach, plikach czy nawet dokumentach w formie papierowej. Systemy BI umożliwiają nie tylko wydobycie tych danych, lecz również ich oczyszczenie oraz ustrukturyzowanie, a także ich integrację. Dzięki temu możemy się zagłębić w poszczególne obszary funkcjonowania biznesu i poznać czynniki na nie wpływające, ale też odnaleźć zależności między nimi występujące. Takie wykorzystanie systemu BI przekłada się na konkretną wiedzę wspierającą podejmowanie decyzji oraz na automatyzację procesów zachodzących w firmie. Przygotowywane raporty oraz dashboards, dzięki dostępności poprzez mobilną platformę analityczną, pozwalają menedżerom i kadry zarządczej na bieżąco śledzić wyniki firmy oraz gwarantują szybki wgląd w najważniejsze dla nich informacje – wyjaśnia Paulina Ziarek, konsultant systemów Business Intelligence w Comarchu.

Prostym przykładem wykorzystania analityki w branży handlu detalicznego jest analiza danych paragonowych. Dzięki informacjom znajdującym się na dowodzie zakupu można się dowiedzieć, w jakich godzinach i w jakie dni placówkę odwiedza najwięcej klientów, ile sztuk danego towaru kupują podczas jednej wizyty lub jaka jest średnia wartość ich koszyka. Ponadto w przypadku większych sklepów możliwe jest sprawdzenie, które kasy są

najbardziej obciążone. – Ten niewielki kawałek papieru, który większość z kupujących wyrzuca do kosza na śmieci, może mieć ogromną wartość dla biznesu. Zawarte na nim informacje umożliwiają m.in. planowanie działań promocyjnych, optymalne ustalenie grafiku pracy sprzedawców czy podjęcie odpowiednich decyzji odnośnie do zatowarowania poszczególnych sklepów – tłumaczy Anna Walkiewicz, Territory Sales Manager w SAS Polska.

Michał Grochowski, główny konsultant ds. BI w Oracle Polska, przekonuje natomiast, że wykorzystanie narzędzia BI to dla firmy nie tylko lepsza jakość raportów czy usprawnienia w zarządzaniu, lecz i oszczędność kosztów czy lepsze relacje z klientami.

”

Głównym i docelowo jedynym ze zdaniem człowieka będzie wskazanie, gdzie są nowe dane do analizy

– Prawdziwa potęga danych firmy drzemie w decyzjach, które można podejmować na ich podstawie. Żeby robić to efektywnie, potrzebne są: skonsolidowany dostęp do wszystkich danych, zunifikowany widok ważnych wskaźników oraz możliwość szybkiego i automatycznego generowania raportów wysokiej jakości. Zapewnienie tych warunków pozwala łatwiej identyfikować możliwości zwiększania przewagi nad konkurencją przez obniżanie kosztów lub zwiększanie wydajności – mówi Michał Grochowski.

Podkreśla on, że dzięki BI zarząd może uzyskać pełny i jednolity widok danych firmy oraz w dowolnej chwili zapoznać się z „migawką” bieżących wskaźników wydajności. – W ten sposób można szybciej odnajdować potencjalne obszary usprawnień oraz zwiększyć zdolność adaptacyjną firmy. To wszystko ma niezwykle istotne znaczenie dla zwiększania konkurencyjności, szczególnie w trudnych warunkach gospodarczych – dodaje. Zwraca też uwagę, że zdolność do analizowania danych z bardzo dużą szczegółowością i na różne sposoby pozwala firmie lepiej dopasowywać ofertę do wymagań klientów. Ta szczegółowość może odegrać istotną rolę w zatrzymywaniu dotychczasowych oraz pozyskiwaniu nowych klientów.

Nie ma też wątpliwości co do tego, że scentralizowane i zautomatyzowane zarządzanie danymi, analizowanie oraz raportowanie pozwala usprawniać działanie firmy. – Dzięki temu danymi zarządza się prościej i szybciej. Sprawniej też wykonuje się procedury konserwacyjne. Można wyeliminować drogie i czasochłonne ręczne administrowanie danymi, a ukryte koszty uwidocznić i zlikwidować. Podejmowanie dobrze uzasadnionych

decyzji jest możliwe tylko wtedy, gdy dysponuje się precyzyjnymi i przedstawionymi w spójnym formacie informacjami. Taka przejrzystość danych pozwala mierzyć wydajność działalności firmy oraz jej infrastruktury informatycznej, a także upraszcza interpretowanie danych – mówi Michał Grochowski.

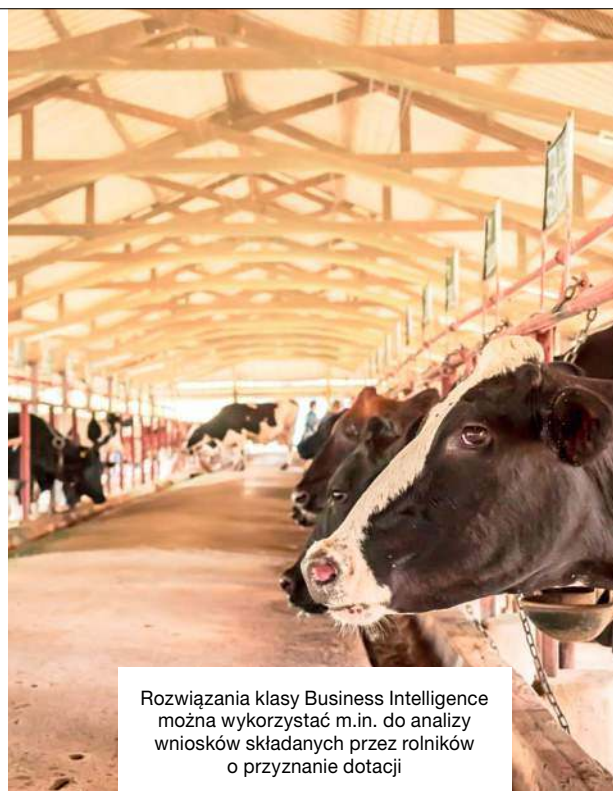
Miłosz Trawczyński, Business Consulting Manager w SAS Polska, podsumowuje, że korzyści wynikające z wdrożenia BI można wyliczać niemal bez końca, jednak według niego najważniejszą z nich jest demokratyzacja dostępu do danych i wyzwolenie inicjatywy oraz innowacyjności pracowników na wszystkich szczeblach wielu jednostek organizacyjnych.

ARiMR z lepszymi raportami

W tego typu systemy inwestują jednak nie tylko firmy komercyjne. Ostatnio np. na wykorzystanie rozwiązania klasy Business Intelligence zdecydowała się Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa (ARiMR), która od października 2018 r. korzysta z systemu analityczno-raportowego wdrożonego przez Comarch. Jest on użytkowany m.in. do obsługi działań z Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich (PROW) 2014–2020 i pozwala na budowę raportów dla potrzeb informacji zarządczej na poziomie centrali, oddziałów regionalnych czy biur powiatowych. Umożliwia również budowę raportów operacyjnych usprawniających bieżącą pracę tych jednostek. Docelowo z oprogramowania BI będzie korzystać ponad 1,8 tys. użytkowników ARiMR.

Instytucja ta gromadzi dane w kilku systemach źródłowych. Są to informacje na temat spraw prowadzonych przez agencję, wniosków składanych przez rolników o przyznanie dotacji czy też odszkodowań oraz dopłat celowych. Każdy z tych systemów ma inną strukturę danych i utworzenie na ich podstawie rzetelnych raportów wiązało się przede wszystkim z dużym nakładem pracy. Rozwiązanie Business Intelligence zoptymalizowało ten proces w zakresie płatności bezpośrednich i działań obszarowych PROW 2014–2020. Obecnie zestawienia mogą być tworzone bez obciążenia systemów źródłowych, co znacznie ułatwiło pracę specjalistom z ARiMR. Mogą oni teraz sprawnie przygotowywać szczegółowe raporty z wybranych dziedzin.

– Obecnie dzięki wdrożonemu rozwiązaniu pracownicy ARiMR mają dostęp do ujednoliconych danych, które znajdują się w hurtowni danych, oraz do narzędzi analitycznych umożliwiających tworzenie raportów i dashboardów. Dane wprowadzane są według określonego schematu, przez co zestawienia są czytelne i uporządkowane. Jeżeli któryś z pracowników musi przygotować raport, korzysta z hurtowni danych i na ich podstawie generuje potrzebne zestawienie. Dzięki jasno określonym schematom tworzone raporty są dokładne i rzetelne – mówi Roman Krawczuk, koordynator umowy po stronie ARiMR.



fol. Shutterstock

Rozwiązania klasy Business Intelligence można wykorzystać m.in. do analizy wniosków składanych przez rolników o przyznanie dotacji

Kto dziś inwestuje w BI?

Paulina Ziarek nie jest zdziwiona zainteresowaniem administracji systemami BI. – W każdej organizacji bez względu na skalę jej działalności i branżę mamy do czynienia z różnego rodzaju danymi. Systemy BI są tworzone po to, aby ułatwić wgląd w te dane i przełożyć je na konkretną wiedzę. Dlatego mogą zostać wykorzystane w przedsiębiorstwie każdej branży: w fabryce, sieci handlowej czy nawet instytucjach administracji publicznej i na uczelniach. Na rynku polskim obserwujemy w ostatnim czasie zdecydowany wzrost zainteresowania tą klasą narzędzi u firm zajmujących się handlem i dystrybucją oraz produkcją. Również biura rachunkowe coraz aktywniej biorą udział w procesie digitalizacji i nabywają coraz większej świadomości oraz potrzeby analizowania danych. Równocześnie nie słabnie zainteresowanie ze strony firm, które najczęściej charakteryzują się większą skalą działalności i już od dawna korzystają z systemów klasy BI, czyli tych z branży paliwowej, medycznej oraz finansowo-bankowej – mówi Paulina Ziarek.

Trochę inaczej na tę kwestię spogląda Miłosz Trawczyński: – Wysoko z informatyzowane branże, takie jak telekomunikacja, bankowość czy ubezpieczenia, stały się w pewnym sensie zakładnikami własnego rozwoju. Tutaj największym wyzwaniem jest racjonalizacja dotychczasowych inwestycji przy jednoczesnym dotrzymywaniu kroku rozwojowi rynku oraz konkurencji. Wiele firm decyduje się na radykalne programy modernizacyjne, których celem jest uproszczenie architektury, racjonalizacja kosztów, zwiększenie dostępności danych i poszerzenie funkcjonalności oferowanych użytkownikom końcowym.

Według niego w nieco innej sytuacji są sektory takie jak handel, produkcja, a nawet sektor publiczny. – Nieprawdą byłoby stwierdzenie, że mamy tutaj do czynienia z „greenfield”, jednak spora część wdrożeń w tych branżach ma za zadanie wykorzystanie analityki w procesach, które do tej pory były obsługiwane za pomocą raportowania operacyjnego. Dane do bardziej szczegółowych analiz były rozproszone i udostępniane przez działy IT jedynie przy okazji dedykowanych, jednorazowych projektów. Żadne z tych podejść nie było wolne od istotnych wad. W pierwszym przypadku braki funkcjonalne powodowały frustrację użytkowników, a tak zwane systemy podbiurkowe (shadow IT) mnożyły się jak grzyby po deszczu. W drugim przypadku liczba zgłaszanych modyfikacji do systemu rosła szybciej niż możliwości realizacyjne dostawcy, a koszty wzrastały wykładniczo – zauważa Miłosz Trawczyński.

Michał Grochowski dostrzega natomiast dziś szczególnie duże zainteresowanie BI w sektorze finansowym, energetycznym i handlu detalicznym. – Warto podkreślić, że klienci nie oczekują wyłącznie spójnego kokpitu z kolorowymi raportami i wskaźnikami. Istotne są też zarządzanie metadanymi, jakością danych, szybkim zasilaniem raportów danymi przy niskim obciążeniu systemów źródłowych, możliwość samoobsługi w modelowaniu, transparentne sięganie do obszaru big data („real time” i „batch”), wykorzystanie mechanizmów uczenia maszynowego czy centralizacja i uspojnienie modelu informacji – tłumaczy Michał Grochowski.

W stronę sztucznej inteligencji

Trend jest taki, że dziś zaawansowane i wydajne narzędzia Business Intelligence powinny pomagać w codziennej pracy oraz w podejmowaniu odpowiednich decyzji biznesowych wszystkim pracownikom przedsiębiorstwa (nie tylko służyć informatykom), niezależnie od poziomu posiadanej wiedzy technicznej. Tworzenie raportów i analiz powinno być zaś proste.

Miłosz Trawczyński w tym kontekście mówi o widocznej od pewnego czasu platformizacji tego typu narzędzi. Czym charakteryzuje się platformowy system BI? – Najważniejszą cechą wydaje się współdzielenie danych, raportów i wyników analiz przez wszystkich użytkowników platformy w całej organizacji. Zautomatyzowane, wspomagane algorytmicznie pozyskiwanie i przygotowywanie danych niweluje bariery dostępu. Wcześniej pozyskanie i przygotowanie danych do analiz oraz raportów spoczywało na pracownikach działów IT lub wyspecjalizowanych komórek wspierających działy biznesowe. Intuicyjne interfejsy graficzne oraz interfejsy programistyczne wprowadzają równouprawnienie pomiędzy analitykami danych, statystykami a użytkownikami z umiejętnościami na poziomie MS Excel. Wreszcie wszyscy mogą mówić tym samym językiem i odwoływać się do tych samych danych oraz analiz. Kolejną istotną

cechą jest elastyczność: o platformowych systemach BI mówi się, że są jak piaskownice – ułatwiają eksperymenty, a najważniejsze wyniki z punktu widzenia biznesu mogą być łatwo replikowane – wyjaśnia Miłosz Trawczyński.

Uważa on, że w dzisiejszym dynamicznym i szybko zmiennym biznesie platformizacja jest właściwą drogą – umożliwi bowiem szybki i szeroki dostęp do danych, które są paliwem współczesnej gospodarki. – W najbliższym czasie będziemy również obserwowali zastosowanie na szerszą skalę sztucznej inteligencji w systemach BI – inteligentne pozyskiwanie, czyszczenie i interpretacja surowych danych, generowanie wstępnych hipotez, podpowiadanie nie tylko najlepszego formatu graficznego wykresu, lecz także sugestie, jak powinna wyglądać złożona, wieloetapowa analiza procesu biznesowego. Zrobią to za nas maszyny, a przynajmniej proponują model działania, który może być alternatywą dla naszych pomysłów i koncepcji. A wszystko to za pomocą dwukierunkowej interakcji głosowej z inteligentną platformą BI – przewiduje Miłosz Trawczyński.

Sylwester Deć, architekt rozwiązań big data & analytics w Oracle Polska, także się spodziewa, że sztuczna inteligencja coraz szerzej będzie się wdzierać do BI. Generalnie zaś rozwój systemów BI będzie się koncentrował wokół hasła: „więcej i szybciej”. Firmy bowiem chciały przetwarzać coraz większe wolumeny danych, dołączać nowe, obecnie niedoceniane lub zupełnie nieoczywiste zbiory danych. – Do danych z zasobów własnych będą dołączane szerokie dane statystyczne, korespondencja z klientami, ich zachowanie na stronach WWW. Jednocześnie biznes będzie oczekiwał wniosków i informacji szybciej, w coraz krótszym czasie. Tym wymogom będą mogły sprostać systemy BI autonomiczne i oparte na AI. Autonomiczne systemy BI będą znacznie skracać czas operacji przetwarzania danych, redukując powtarzalne zadania administratorów. Głównym i docelowo jedynym zadaniem człowieka będzie wskazanie, gdzie są nowe dane do analizy. Jednocześnie system analityczny oparty na AI i Machine Learning zajmie się przygotowaniem danych do wnioskowania biznesowego, wykrywając trendy, anomalie, powiązania, nowe czynniki wpływające na wyniki biznesowe – prognozuje Sylwester Deć.

Paulina Ziarek dostrzega, że coraz większą popularnością cieszą się rozwiązania dostępne w chmurze obliczeniowej, z których można korzystać bez konieczności inwestowania w infrastrukturę techniczną. Docenia także oczywiście trend związany ze sztuczną inteligencją, która wykorzystuje dane i algorytmy do zwiększenia automatyzacji procesów oraz wspierania codziennych zadań poprzez sugerowanie i podpowiadanie właściwych kroków czy decyzji. Jeżeli chodzi natomiast o funkcjonalności narzędzi analitycznych, to spodziewa się ona, że duży nacisk będzie kładziony na rozwój tzw. collaborative Business Intelligence, co w głównej mierze ma zapewnić użytkownikom możliwość szybkiej wymiany wiedzy. ●

finanse

Giełda & Waluty & Kredyty



for: Shutterstock

PIOTR ROSIK

Złoto świeci coraz mocniej...

Popyt na złoto stymulowany przez banki centralne i przemysł jest coraz większy. Konkurencja ze strony kryptowalut niemalże przestała istnieć. Jeśli w tym roku siłą rozpędu kurs przebijie wyraźnie poziom 1 380 dol. za uncję, złoto powróci na tron

Od początku września 2018 r. do początku lutego 2019 r. złoto wyceniane w dolarach podrożało o 10 proc., docierając w okolice 1 300 dol. za uncję. To jeden z najlepszych okresów dla tego kruszcu w ostatnich latach. Problem w tym, że poprzednie tego typu kilkumiesięczne rajdy z lat 2014–2017 szybko się kończyły i Król Metali znów wchodził w trend spadkowy. Po raz ostatni złoto było powyżej granicy 1 380 dol. za uncję na początku 2013 r.

Na analizach największe wrażenie zrobiło notowanie złota w ostatnim tygodniu stycznia, kiedy podrożało o 2 proc., z okolic 1 300 dol. do 1 330 dol. za uncję. „Ponad dwuprocentowa zwyżka notowań złota w ciągu zaledwie tygodnia jest na tym mało zmiennym rynku widywana bardzo rzadko” – pisała Dorota Sierakowska, analityk Domu Maklerskiego BOŚ, w raporcie surowcowym.

Łagodniący FED

Czy dynamiczny rajd cenowy złota z końca stycznia wróży jego powrót do łask? Wiele na to wskazuje, bo nie przez przypadek nastąpił on po pojawieniu się sygnałów ze strony amerykańskiej Rezerwy Federalnej, świadczących o tym, że okres zacieśniania polityki pieniężnej dobiegł końca. „FED potwierdził swoje gołębie nastawienie do polityki monetarnej w bieżącym roku, a usunięcie z jego oficjalnych planów założenia o możliwości dalszych podwyżek stóp procentowych świadczy o tym, że najprawdopodobniej ścieżka ich wzrostów w USA już się zakończyła. A to jest czynnik, który negatywnie wpływa na perspektywy amerykańskiego dolara, tym samym pozytywnie odbija się na notowaniach złota” – stwierdziła Sierakowska w raporcie.

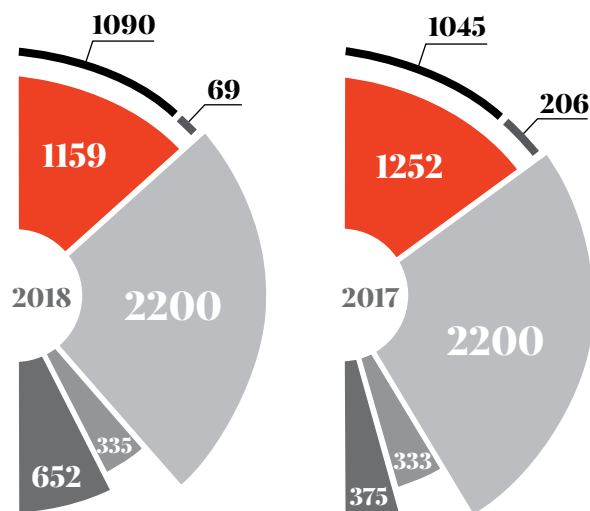
Jakby tego było mało, pojawiają się inne czynniki, które powinny wspierać cenę złota. – Biorąc pod uwagę brexit, wojny handlowe i symboliczny wzrost gospodarczy, może się okazać, że nadchodzący rok będzie wręcz rekordowy dla tego metalu – mówi „Gazecie Bankowej” Marta Bassani-Prusik, dyrektor działu produktów inwestycyjnych w Mennicy Polskiej.

”

Kryptowaluty zawiodły inwestorów, co jest dobrą informacją dla złota. Na przełomie 2017 i 2018 r. z hukiem pękła bańka spekulacyjna na Bitcoinie i innych walutach wirtualnych

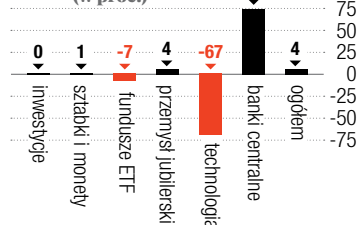
Bank HSBC podniósł prognozę dotyczącą średniej ceny dolarowej za żółty kruszec w 2019 r. do poziomu 1 314 dol. za uncję. – Decyzję tę bank podjął ze względu na coraz większe obawy inwestorów o ich kapitał. Rosnąca niestabilność finansowa i niepewność gospodarcza według analityków HSBC wpłynie na wzrost zainteresowania lokowaniem pieniędzy w złoto – tłumaczy Bassani-Prusik. – Podobnego zdania są eksperci z BlackRock, którzy uważają, że najlepszym zabezpieczeniem kapitału w 2019 r. będzie inwestycja w kruszce, bo gospodarka globalna spowalnia, a trend wzrostowy na rynku akcji stoi pod coraz większym znakiem zapytania – dodaje.

Popyt na złoto w latach 2017–2018 (w tonach)



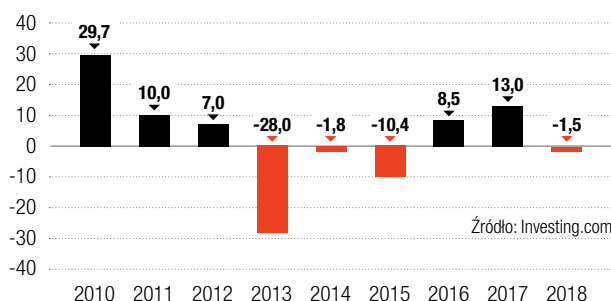
- Inwestycje, w tym:
 - sztabki i monety
 - fundusze ETF
- Przemysł jubilerski
- Technologia
- Banki centralne

zmiana 2017 vs. 2018
(w proc.)



Źródło: World Gold Council

Roczna zmiana ceny złota wycenianego w USD (w proc.)



Źródło: Investing.com

Zdaniem Arkadiusza Bebeła, zarządzającego funduszem Quercus Gold, dynamiczne wzrosty ceny złota z ostatnich tygodni mogą być spowodowane większą zmiennością cen akcji. – Z drugiej strony w lutym 2018 r. zmienność też była wysoka, ale nie wpłynęło to pozytywnie na cenę złota – wskazuje Bebel. Dodaje jednak, że obecnie jest więcej czynników windujących w górę popyt na złoto, jak wspomniana już coraz bardziej gołębia polityka FED czy śmiesznie niskie koszty wydobycia kruszcza.

Do innych czynników zwiększających popyt na złoto można zaliczyć duże zainteresowanie zakupami ze strony banków centralnych. W 2018 r. było ono największe od lat – banki zakupiły prawie 652 tony złota, o 74 proc. więcej niż w 2017 r. Zobaczymy, czy tak duży popyt z ich strony pojawi się również w 2019 r. Poza tym obserwuje się powrót do gry rynku indyjskiego. Jak wiadomo, Hindusi lubują się w złocie, a szczególnie duże zakupy robią przed sezonem ślubów.

Poza tym kryptowaluty zawiodły inwestorów, co jest dobrą informacją dla złota. Na przełomie 2017 i 2018 r. z hukiem pękła bańka spekulacyjna na Bitcoinie i innych walutach wirtualnych. Od tamtego czasu ich kursy poszły w dół o mniej więcej 80 proc. i nie mogą się podnieść. – W ostatnich latach wiele mówiło się o różnych kryptowalutach w kontekście tego, czy zastąpią złoto jako tak zwana bezpieczna przystań. Na razie to nie nastąpiło i zakładam, że jeszcze przez wiele lat złoto będzie traktowane jako jedyne prawdziwe safe heaven, obok franka szwajcarskiego – wskazuje Arkadiusz Bebel.

Znów jest popyt

Trendy na polskim rynku złota są bliźniaczo podobne do tych, które panują na świecie. – Popyt na złoto w I połowie 2018 r. w Polsce podążał za trendami światowymi. Było to najgorsze półrocze od 10 lat. Końcówka roku była znacznie bardziej interesująca, a popyt powrócił do poziomu z 2017 r. – mówi Marta Bassani-Prusik z Mennicy Polskiej.

Robert Śniegocki z grupy Goldenmark potwierdza, że polski rynek jest bardzo mocno powiązany ze światowymi trendami. – Szacujemy, że całkowity wolumen sprzedaży na polskim rynku złota w 2018 r. mógł być nawet o 20 proc. mniejszy w stosunku do roku 2017. Warto zauważyć, że spadek wolumenu był związany ze wstrzymaniem zakupów przez część dużych inwestorów, podczas gdy liczba mniejszych transakcji i klientów indywidualnych wzrosła – informuje Śniegocki.

Tylko złoto fizyczne jest w Polsce zwolnione z podatku VAT, więc właściwie tylko ten kruszec jest brany pod uwagę przez inwestorów. – W Mennicy Polskiej sztabki cieszą się większą popularnością niż monety bulionowe. Sztabki stanowią ok. 80 proc. sprzedaży produktów inwestycyjnych, a monety tylko ok. 20 proc. – zdradza Bassani-Prusik.

Zdaniem Śniegockiego odbicie popytu na rynku światowym będzie rzutowało na polski rynek w 2019 r. – Przewidujemy, że w bieżącym roku polski rynek złota utrzyma wzrost liczby klientów i transakcji, który jest widoczny od wielu lat. Zakładamy, że wzrośnie także wolumen sprzedaży ze względu na powrót aktywności większych inwestorów – podsumowuje ekspert grupy Goldenmark. Niestety żadna instytucja nie publikuje raportu podsumowującego wartość polskiego detalicznego rynku złota, a mennice nie chcą podawać dokładnych danych o sprzedaży.



fot. East News/REX/Shutterstock

Ford Knox – złoty skarbiec Stanów Zjednoczonych

Stopy zwrotu z inwestycji w złoto wyceniane w USD* (w proc.)

	zmiana	średniorocznie
20 lat	354,0	7,9
10 lat	47,0	3,9
5 lat	3,0	0,6
3 lata	10,5	3,4
1 rok	-0,4	-0,4

Źródło: Stooq.pl

* liczone na dzień 8 lutego 2019

Siła rozpędu

Czego można się więc spodziewać w 2019 r. po złocie? Czy wreszcie przebije się przez mocny opór w okolicach 1 380 dol. za uncję? – Przewidywania odnośnie do całego roku tradycyjnie są bardzo różne, jednak nie brakuje analityków, którzy wskazują wysokie pułapy cenowe. Przykładowo jeden z większych brokerów z Londynu Sharps Pixley ocenia, że w 2019 r. złoto może osiągnąć cenę 1 410 dol. Patrząc na obecne otoczenie i wszystkie czynniki, utrzymanie trendu wzrostowego wydaje się najbardziej prawdopodobne – uważa Robert Śniegocki, ekspert grupy Goldenmark.

Według Bebela, patrząc na cenę złota w długim terminie, trzeba nieuchronnie dojść do wniosku, że obecnie nie jest ono drogie. – Biorąc pod uwagę, ile pieniędzy dodrukowano od kryzysu w 2008 r., wydaje się, że fizyczne aktywo, takie jak złoto, zachowywało się relatywnie słabo na przykład w stosunku do nieruchomości. Wydaje się, że mogłoby być nawet kilkadziesiąt procent droższe. Jest to szczególnie prawdopodobny scenariusz, gdyby koniunktura na rynkach akcji się zepsuła – wskazuje zarządzający Quercus TFI.

Czy fundusze ruszą na zakupy?

Przełamanie przez kurs złota bariery 1 380 dol. za uncję miałyby duże znaczenie w kontekście aktywności na rynku inwestorów instytucjonalnych. W 2018 r. globalny popyt na kruszec ze strony funduszy ETF spadł aż o 67 proc., do ledwie 69 ton. To wyraz zniechęcenia

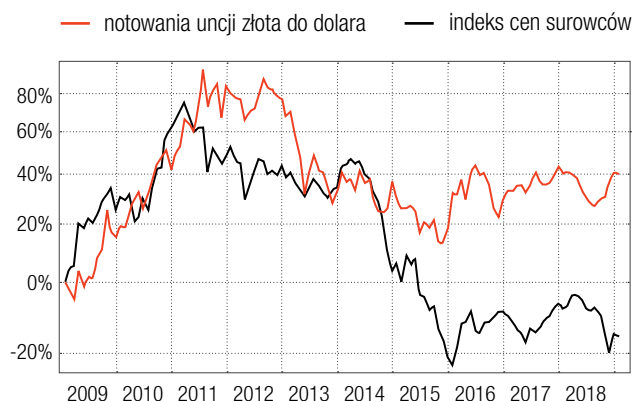
inwestorów wieloletnią konsolidacją kursu złota w szerokich widełkach 1 200–1 400 dol. za uncję.

– Inwestorzy z reguły patrzą na historyczne stopy zwrotu przy podejmowaniu decyzji inwestycyjnych. Popyt ze strony funduszy ETF jest cały czas niski. Natomiast jeśli na rynkach akcji zapanuje permanentny rynek niedźwiedzia, to oczekuję, że stopy zwrotu z inwestycji w złoto będą wyższe niż stopy zwrotu z inwestycji w akcje, co może nakłonić inwestorów do kupna ETF-ów z ekspozycją na złoto – uważa Arkadiusz Bebel.

Robert Śniegocki wskazuje, że w grudniu 2018 r. fundusze hedge zaczęły kupować kruszec, po sześciu miesiącach wyprzedawania go. – To dość istotna informacja, która może zwiastować dalsze trendy – uważa ekspert firmy Goldenmark.

„Złoto powraca do gry, a inwestorzy na nowo interesują się tym kruszczem ze względu na niepewną przyszłość globalnej gospodarki. Złoto, jako tzw. bezpieczna przystań, staje się na nowo atrakcyjnym dodatkiem do portfela. I to właśnie ta myśl może stanowić w największym stopniu wsparcie dla cen złota. Warto jednak mieć na uwadze także to, że fundamenty rynku tego kruszcu są chwiejne, a duża produkcja ogranicza potencjał wzrostowy notowań złota” – podkreśliła w swoim raporcie Dorota Sierakowska.

Notowania złota w stosunku do dolara (XAU/USD) na tle indeksu cen surowców CRB Index



źródło: stooq.pl

FINANSE

Nagrodzeni dziennikarze „Gazety Bankowej”

Dwoje dziennikarzy „Gazety Bankowej” – Małgorzata Dygas i Arkady Saulski – znalazło się w gronie laureatów konkursu Narodowego Banku Polskiego im. Władysława Grabskiego. NBP po raz 16. przyznał nagrody najlepszym dziennikarzom ekonomicznym. Małgorzata Dygas otrzymała nagrodę specjalną w kategorii „Osiągnięcia ostatnich 100 lat polskiej gospodarki” za artykuł „Ketchup po polsku”. Jury wyróżniło ją „za wyjątkowe przygotowanie merytoryczne oraz profesjonalizm”.



Nagrodę red. Małgorzacie Dygas wręczył Michał Karnowski, członek zarządu Fratrii



Nagrodę Arkademu Saulskiemu wręczył Wojciech Surmacz, prezes Polskiej Agencji Prasowej

Nagrodę w tej samej kategorii otrzymał Arkady Saulski za artykuł „Od Visa go Grota”, w którym autor – jak napisało jury w uzasadnieniu – „w interesujący sposób, a fragmentami niemal literacko-sensacyjny, przedstawił historyczne oraz współczesne osiągnięcia polskiej myśli technicznej w zakresie konstrukcji broni”.

Uroczystość wręczenia nagród odbyła się 14 lutego br. w Hotelu Europejskim w Warszawie. Nagrodę główną – tytuł Dziennikarza Ekonomicznego 2018 roku – otrzymał Bartłomiej Godusławski z „Dziennika Gazety Prawnej” za cykl artykułów poświęconych sprawie spółki GetBack. W gronie najlepszych dziennikarzy ekonomicznych znaleźli się również: Krzysztof Kolany z portalu Bankier.pl, Mateusz Madejski z portalu Wirtualna Polska, Rafał Woś, Błażej Karczmarczyk z TVP3 Bydgoszcz oraz Bartłomiej Orzeł z redakcji „Świat Rolnika”.

Laureatów wybrała kapituła konkursu pod przewodnictwem prof. Adama Budnikowskiego. Wszystkim nagrodzonym serdecznie gratulujemy.

Rząd pracuje nad zachętami dla wracających z emigracji

Jadwiga Emilewicz, szefowa MPiT, poinformowała, że rząd przygotowuje pakiet zachęt podatkowych dla Polaków planujących powrót do kraju. Według niej rozwiązania mogą dotyczyć 30 proc. nowej emigracji. Podkreśliła, że chodzi o ulgi, a nie „bezpośrednie transfery”. Rozwiązania mają być podobne do przyjętych niedawno przez Portugalię czy Czechy.

Ludowy Bank Chin kupuje złoto

Luty był kolejnym miesiącem z rzędu, kiedy bank centralny Chin poinformował o zakupach złota. Na koniec stycznia Ludowy Bank Chin dysponował 1 864,3 tonami złota, o 11,8 t więcej niż miesiąc wcześniej. Największe na świecie oficjalne rezerwy złota mają Stany Zjednoczone (8 133,5 ton). Chiny zajmują szóstą pozycję.



Spada tempo wzrostu gospodarczego w Europie

W IV kwartale 2018 r. tempo wzrostu PKB w strefie euro spadło do 1,2 proc. z 2,7 proc. rok wcześniej. IV kwartał był gorszy od III, kiedy tempo PKB wyniosło 1,6 proc. Prognozy na ten rok są nie najlepsze, co zresztą jest już widoczne w pierwszych tegorocznych wskaźnikach. Szczególnie słabe wskaźniki pojawiły się we Włoszech, gdzie według wstępnych danych PKB w IV kwartale spadł o 0,2 proc. (w relacji kwartał do kwartału). Był to drugi z rzędu kwartał spadków, a to znaczy, że Włochy weszły w okres tzw. technicznej recesji.

7-10 MARCA



XIX Konferencja Izby Domów Maklerskich Bukowina Tatrzańska

XIX Konferencja Izby Domów Maklerskich w Bukowinie Tatrzańskiej – najważniejsze wydarzenie na rynku kapitałowym – **to spotkanie przedstawicieli domów i biur maklerskich z administracją rządową, nadzorcą oraz członkami instytucji rynku kapitałowego**, tj. Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych, funduszy inwestycyjnych oraz spółek notowanych na GPW. **W trakcie dziesięciu paneli dyskusyjnych uczestnicy konferencji będą rozmawiali**

o kluczowych dla dalszego rozwoju rynku kapitałowego tematach.

Konferencja otrzymała patronat Prezydenta Rzeczypospolitej Andrzeja Dudy. Gościem honorowym wydarzenia będzie dr hab. Jacek Jastrzębski, prof. UW – Przewodniczący Komisji Nadzoru Finansowego.

Udział w konferencji potwierdzili również m.in.: Paweł Borys – Prezes PFR, dr Marek Dietl – Prezes GPW, Maciej Trybuchowski – Prezes KDPW, Zbigniew Jagiełło – Prezes PKO BP. Więcej informacji: www.konferencja.idm.com.pl

12 MARCA –
- 26 KWIETNIA

Let's Start Up! – studencki festiwal start-upów Warszawa, Szkoła Główna Handlowa

Let's Start Up! jest największym w Polsce festiwalem start-upów przygotowywanym już od sześciu lat w pełni przez studentów.

Projekt powstaje z inicjatywy Studenckiego Koła Naukowego Biznesu oraz Centrum Przedsiębiorczości i Transferu Technologii Szkoły Głównej Handlowej.

Ideą organizatorów jest tworzenie platformy łączącej start-upy z klientami, pracownikami, czołowymi inwestorami, instytucjami oraz wszystkimi osobami zainteresowanymi tym światem niekończących się możliwości. Wydarzenie składa się z trzech części.

LSU! Talks to wystąpienia inspirujących ekspertów świata start-upów oraz warsztaty

dla studentów z całej Polski. **VC Open Hours** stanowi natomiast kilkunastominutowy speed-dating firm z największymi funduszami Venture Capital w Polsce. Ostatni z elementów festiwalu to **LSU! Fair** – targi, na których spotkamy najciekawsze start-upy, instytucje państwowe, banki, fundusze Venture Capital czy korporacje z branży IT.

Finał projektu Let's Start Up! odbędzie się 26 kwietnia w budynku Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Poprzedzony zostanie wystąpieniami specjalistów, odpowiednio 12 marca oraz 4 kwietnia. Zapraszamy do śledzenia profilu wydarzenia w mediach społecznościowych!

24-25 CZERWCA

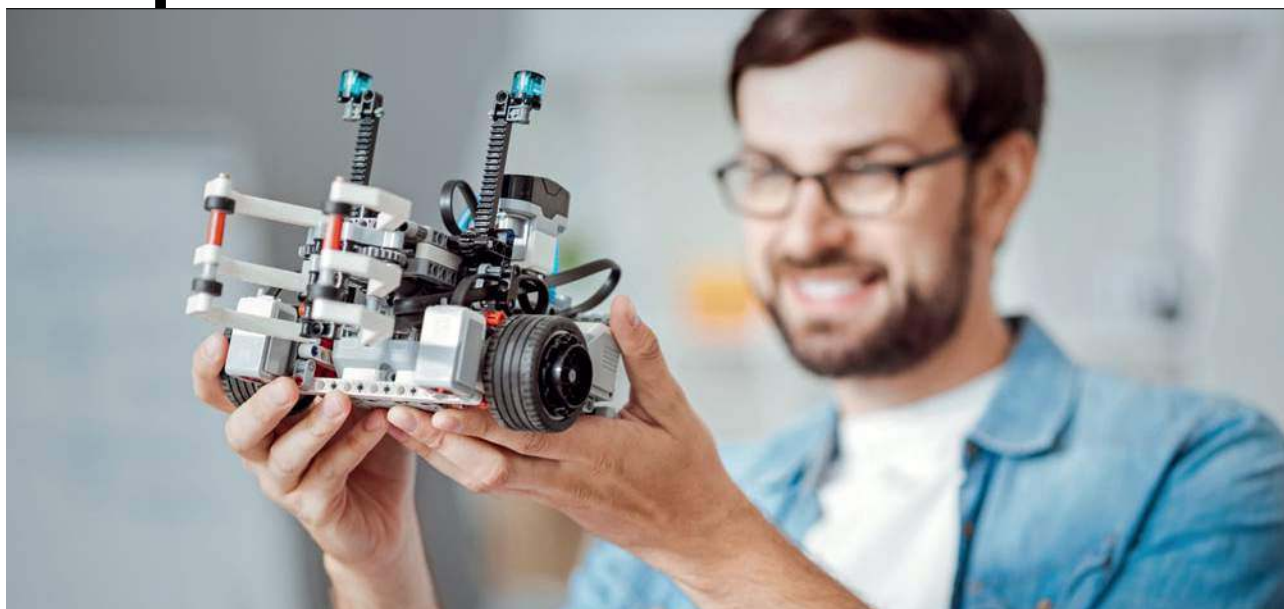


II edycja Forum Wizji Rozwoju w Gdyni Gdynia, Akademia Marynarki Wojennej

W 100 debatach upamiętniających 100-lecie odzyskania niepodległości weźmie udział 5 tys. uczestników i 500 autorów udzielających się w 16 blokach tematycznych – to najkrótsza zapowiedź drugiej edycji Forum Wizji Rozwoju w Gdyni.

Wydarzenie, które po sukcesie ubiegłorocznej odsłony znalazło miejsce w kalendarzu najważniejszych polskich spotkań gospodarczych, odbędzie się w dniach 24–25 czerwca br. Forum, pod honorowym patronatem premiera Mateusza Morawieckiego, koncentruje się na najważniejszych wyzwaniach stojących obecnie przed rodzimą gospodarką: od innowacji, poprzez ekomobilność, energetykę i automatyzację przedsiębiorstw, po społeczną odpowiedzialność biznesu.

Debaty i spotkania będą dotyczyć szerokiego spektrum problemów, m.in. inwestycji, obronności, badań i rozwoju, zdrowia, kultury i sztuki czy technologii przyszłości. Nie zabraknie gospodarki morskiej, bliskiej miejscu, w którym odbywa się forum, oraz tematów rozpoczętych podczas pierwszej edycji. Jednym z nich jest tzw. **srebrna gospodarka**, czyli wykorzystanie wiedzy, doświadczeń i potencjału zawodowego seniorów. Patronem merytorycznym forum są: Ministerstwo Finansów, Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej oraz przewodnicząca sejmowej Komisji Polityki Senioralnej Małgorzata Zwiercan. Partnerstwo zadeklarowało wiele topowych polskich firm, które uczestniczyły w pierwszej edycji gdyńskiego wydarzenia. „Gazeta Bankowa” objęła przedsięwzięcie patronatem medialnym.



fot. mat. prasowe BGK

BGK spłaci kredyt innowacyjnego przedsiębiorcy

Dzięki BGK można uregulować kredyt technologiczny i zagwarantować dodatkowe finansowanie rozwoju firmy

Innowacyjność to słowo, które zrobiło w ostatnich latach zawrotną karierę. Dziś nie trzeba już nikogo przekonywać, że firmy, które szukają nowych rozwiązań i technologii, zyskują na rynku przewagę konkurencyjną. Aby zbudować innowacyjną przewagę, potrzeba dwóch rzeczy: dobrego pomysłu i pieniędzy na jego wdrożenie. Polskim przedsiębiorcom nigdy nie brakowało pomysłowości, a dostęp do środków na wykorzystanie tego potencjału zapewnia Kredyt na Innowacje Technologiczne dofinansowany premią na spłatę kapitału.

Kredyt na innowacje technologiczne Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój, którym zarządza Bank Gospodarstwa Krajowego, finansuje premię technologiczną, o którą mogą się ubiegać firmy wprowadzające na rynek innowacyjne produkty lub usługi. Czy BGK udziela w ten sposób kredytu finansowanego ze środków unijnych firmom innowacyjnym? Nie do końca, bowiem BGK spłaca za pomocą tej premii kredyt zaciągnięty przez przedsiębiorcę w banku komercyjnym! W ten oto oryginalny sposób już od 10 lat BGK wspiera mikro, małych i średnich przedsiębiorców we wprowadzaniu innowacji na rynku polskim.

– Misją Banku Gospodarstwa Krajowego jest wsparcie polskich przedsiębiorstw w ich rozwoju. A w dzisiejszym świecie droga do wzrostu wiedzie poprzez

stałe unowocześnianie produkcji i metod zarządzania. Kredyt na innowacje technologiczne jest narzędziem, dzięki któremu podmioty z sektora MŚP mają szansę w praktyce wdrażać swoje innowacyjne projekty. Powiązana z kredytem premia technologiczna w znaczący sposób redukuje obciążenia związane z obsługą kredytu, dzięki czemu dodatkowo zwiększa możliwości wykorzystania innowacyjnego potencjału wśród przedsiębiorców – podkreśla Przemysław Cieszyński, członek zarządu Banku Gospodarstwa Krajowego.

Aby stać się beneficjentem funduszy zarządzanych przez BGK i uzyskać premię technologiczną, przedsiębiorca innowator musi się zastosować do pięciu prostych kroków:

1. otrzymać promesę udzielenia kredytu technologicznego w banku komercyjnym lub podpisać warunkową umowę kredytową;
2. złożyć do BGK wnioski o dofinansowanie projektu;
3. otrzymać pozytywną ocenę wniosku wystawioną przez BGK i panel ekspertów, co skutkuje otrzymaniem promesy przyznania premii technologicznej;
4. podpisać umowę kredytu technologicznego z bankiem komercyjnym, a następnie umowy o dofinansowanie z BGK;
5. zrealizować i rozliczyć projekt wdrażający innowacyjną technologię, produkt lub usługę.

O uzyskanie premii technologicznej mogą się ubiegać firmy z sektora mikro, małych i średnich przedsiębiorstw, które w wyniku wdrożenia innowacyjnej technologii wprowadzą na rynek nowe albo znacząco ulepszone produkty lub zaoferują innowacyjne usługi bądź procesy zarządzania przedsiębiorstwem. Projekty muszą być nowatorskie na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, co oznacza, że powinny mieć charakter ogólnokrajowy. Zasięg regionalny projektu bądź odnoszący się jedynie do skali przedsiębiorstwa nie predestynuje jego autora do ubiegania się o przyznanie premii technologicznej.

Małe firmy unowocześniają Polskę

W tym miejscu u wielu przedsiębiorców może się pojawić wątpliwość, czy przedstawiciele sektora MŚP są w stanie zaproponować innowacyjne rozwiązania o zasięgu krajowym, czy też nie jest to raczej domeną dużych firm, utrzymujących własne działy i ośrodki badawczo-rozwojowe. Dotychczasowa statystyka wniosków o przyznanie premii technologicznej pomaga rozwiązać te wątpliwości. Suma środków, które za pośrednictwem BGK zostały przeznaczone na spłatę kredytów technologicznych, pokazuje, jak dużym potencjałem innowacyjności dysponuje sektor MŚP. Do tej pory do Banku Gospodarstwa Krajowego trafiło aż 1 697 wniosków o udzielenie premii technologicznej, z wkładem dofinansowania na poziomie ponad 5,5 mld zł. Do tej pory BGK wydał 616 promes premii technologicznej i rozdysponował 1,78 mld zł na spłatę części kapitałowej kredytów technologicznych.

Maksymalna wysokość premii technologicznej może wynieść nawet 6 mln zł. Premia jest wypłacana w transzach pośrednich w trakcie realizacji inwestycji oraz po zakończeniu projektu w transzy końcowej. Warto pamiętać, że istotnym wymogiem w przypadku ubiegania się o kredyt wraz z premią technologiczną jest warunek, by środki własne przedsiębiorcy stanowiły nie mniej niż 25 proc. kosztów kwalifikowanych inwestycji. Inne kryteria oceny wniosków o kredyt technologiczny są dostępne w bankach udostępniających tę formę pożyczek. Każdy bank indywidualnie określa sposób oceny inwestycji, a pełną listę banków współpracujących można znaleźć na stronie Banku Gospodarstwa Krajowego: <https://www.bgk.pl/przedsiębiorstwa/kredyt-na-innowacje-technologiczne/banki-wspolpracujace>.

Dzięki premii technologicznej BGK umożliwia innowacyjnym przedsiębiorstwom znaczącą spłatę kapitału zaciągniętego kredytu technologicznego. Obecnie

w Banku Gospodarstwa Krajowego trwa nabór wniosków na Kredyt na Innowacje Technologiczne. ●

Rozmowa z Wojciechem Repuchą, prezesem zarządu Lignus Sp z o.o., przedsiębiorcą, który skorzystał z Kredytu na Innowacje Technologiczne

Jaka potrzeba biznesowa spowodowała, że szukali państwo pożyczki? Jak trafili państwo na ofertę Banku Gospodarstwa Krajowego i informację o Kredycie na Innowacje Technologiczne?

Firma Lignus stale się rozwija i potrzebujemy nowych produktów oraz nowych technologii, aby stać się bardziej konkurencyjni na rynku. Informację o finansowych możliwościach wsparcia firm z funduszy europejskich otrzymaliśmy podczas spotkania informacyjnego. Ze wszystkich oferowanych na rynku wybraliśmy Kredyt na Innowacje Technologiczne. Zgłosiliśmy się do banku współpracującego z Bankiem Gospodarstwa Krajowego, w którym doradca pokierował mnie, jak przejść całą ścieżkę wypełniania dokumentów.

Na co chcą państwo przeznaczyć uzyskane środki? Jak państwa zdaniem przyczynią się one do zmiany/rozwoju państwa biznesu?

Pozyskane środki planujemy wykorzystać na zakup maszyn i urządzeń potrzebnych do produkcji drzwi przeciwpożarowych w nowej technologii – opatentowanej przez nas.

Co doradziliby państwo przedsiębiorcom, którzy chcą się ubiegać o środki z Kredytu na Innowacje Technologiczne?

Gorąco doradzałbym korzystać z tej możliwości, bo przy ograniczonym kapitale to znaczący wkład i pomoc w modernizacji oraz rozwoju firmy. Jesteśmy na początku inwestycji, ale mam nadzieję, że pozwoli to nam wejść na wyższy poziom technologiczny, uzyskać przewagę technologiczną i tym samym stać się konkurencyjną firmą na rynku.

Artykuł sponsorowany przez Bank Gospodarstwa Krajowego. Przyznanie premii uzależnione jest od pozytywnej analizy zdolności kredytowej. Niniejszy materiał nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego. Szczegółowe informacje na temat produktu dostępne są na www.bgk.pl, w zakładce Kredyt na Innowacje Technologiczne, oraz w najbliższej placówce.

PROF. GRZEGORZ SZULCZEWSKI

profesor SGH w Warszawie,
członek Zespołu Etyki Biznesu przy
Towarzystwie Naukowym Prakseologii



Niski poziom moralności finansowej

Kiedy mówimy o etyce finansów, to jakże często zajmujemy się tylko problemami moralnymi, które rodzi postępowanie banków wobec klienta czy w stosunku do własnych pracowników. Od kilku lat mamy jednak możliwość wejrzenia od drugiej strony w etykę finansów. Otóż po raz trzeci na początku roku zostaje opublikowany przez Konferencję Przedsiębiorstw Finansowych w Polsce – Związek Pracodawców raport o moralności płatniczej Polaków.

Z niego dowiadujemy się, że od 32,7 do 19 proc. Polaków nie pochwała, ale jednak akceptuje, gdy ktoś „zaciąga kredyt, nie zapoznając się dokładnie z warunkami spłaty, pracuje na czarno, by uniknąć ściągania długów z pensji, płaci gotówką bez rachunku, by uniknąć płacenia VAT, przepisuje majątek na rodzinę, by uciec przed wierzycielem, zataja informacje uniemożliwiające wzięcie kredytu, zmienia często rachunki bankowe, by uniknąć zajęcia środków przez komornika, zawyża wartość poniesionych szkód, by uzyskać nienależne odszkodowanie, jak i nie zwraca uwagi kasjerowi, który pomylił się na własną niekorzyść”.

Te przykłady, jak określa raport „moralnego permissywizmu konsumentów w sferze finansowej”, plasują nas w średniej europejskiej i tym samym nie zaskakują. Gdy jednak powrócimy do wcześniejszych raportów, okaże się, że mimo iż do ankietowanych co roku zalicza się kolejne nowe roczniki osiągające dojrzałość, to wyniki nie różnią się szczególnie. Brak choćby małych zmian w kierunku na lepsze, a mianowicie moralnego rozwoju.

Warto zatem zadać pytania: dlaczego tak się dzieje? Na czym polega samoodtworzenie średnio niskiego poziomu moralnego w sferze decyzji finansowych?

Zajmując się wytłumaczeniem tego zjawiska, skupmy się na jednej grupie, na którą zwraca się uwagę w konkluzji raportu: „Akceptację dla nieetycznych zachowań w najwyższym stopniu deklarują osoby z wyższym wykształceniem, zamieszkujące w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców”.

W tym przypadku przyczyną niskiego poziomu moralności finansowej staje się co prawda niegodny pochwały, ale racjonalny proces postępowania, szczególnie jeśli dotyczy on młodych, wykształconych, pozostających w wielkich miastach. Został on gruntownie zbadany jako zjawisko socjo-psychologiczne związane z awansem społecznym.

Przysłowiowi młodzi, wykształceni, pozostający w wielkich miastach znają poziom życia panujący w rozwiniętych krajach Europy, na co dzień są wręcz bombardowani wiadomościami o nowych możliwościach nabywania dóbr konsumpcyjnych. Ponieważ zawsze w naturalny sposób aspirujemy do tego, co najlepsze, to potrzeby finansowe przekraczają w znaczący sposób możliwości zarobkowe. Z drugiej strony również zaspokojenie elementarnej potrzeby podstawowej, mianowicie mieszkania, związane jest z zaciąganiem 30-letniego kredytu, który może być odmówiony, gdy nie spełni się jego warunków formułowanych przez banki. Budzi to wiele frustracji. Rozbieżność pomiędzy pragnieniami a powszechnie dostępnymi środkami, których społeczeństwo dostarcza do ich realizacji, rodzi pokusę drogi na skróty, a mianowicie niedotrzymywania zobowiązań płatniczych, podatkowych, prób wyłudzeń, fałszywego poświadczania itd., czyli wszystkich tych sytuacji, które przede wszystkim są akceptowalne przez prawie 25 proc. wykształconych z wielkich miast.

Czy z biegiem lat, gdy w końcu wyprowadzą się z kolei na przedmieścia, będą bardziej uczciwi? Miejmy nadzieję, choć można w to wątpić. Pesymiści bowiem głoszą, że czym skorupka za młodu nasiąknie i to, w jaki sposób zdobyło się pierwszy milion, rzutuje na dalsze zachowania. Wtedy ukształtuje się – jak określa raport – „swoista moralność retributywna usprawiedliwiająca popełnianie nadużyć dążeniem do wyrównania rachunków. Tego typu usprawiedliwienie jest szczególnym przejawem funkcjonowania reguły wzajemności”. Głosi ona, by czynić jedynie dobro za dobro, a zło za zło, czyli traktować innych tak, jak oni na to zasługują.

Dlatego warto, by same banki zachowywały się moralnie, gdyż wtedy wytraci się przynajmniej z rąk tej grupy klientów przytaczane w raporcie usprawiedliwienie, że można pozwolić sobie być nie fair w stosunku do banków, bo one też nie grzeszą uczciwością. ●



Zapewniamy bezpieczeństwo energetyczne Polski

Jesteśmy liderem na rynku gazu ziemnego w Polsce. Poszukujemy i wydobywamy gaz ziemny i ropę naftową w kraju i za granicą. Importujemy i sprzedajemy gaz, w tym LNG. Dywersyfikujemy źródła dostaw.



MAŁGORZATA DYGAS

Kielecki fenomen

Mieszkańcy nie wyobrażają sobie swojego miasta bez „Majonezu kieleckiego”, choć na półkach sklepowych roi się od „konkurencji”. Oryginalna receptura nie zmienia się od dziesięcioleci



Wytwórcza Spółdzielnia „Społem” w Kielcach, 1930 r.

Kiedy tylko odzyskali niepodległość, zabrali się do budowania swojej małej-wielkiej ojczyzny. Działkę wraz z budynkami (po fabryce cementu portlandzkiego Leona Sztumpfa) kupiła Centralna Spółdzielczość Spożywców „Społem” z siedzibą w Warszawie. Zamysł był prosty – praca od podstaw: uruchomienie zakładów, które będą zaopatrywały w chemię gospodarczą i artykuły spożywcze sklepy spółdzielni „Społem”.

Działka była usytuowana za linią kolejową, miała także własną bocznice. „W ciągu kilku miesięcy zorganizowano stanowiska pracy, opanowano technologię – zgoda – początkowo mało skomplikowaną, ale z biegiem pierwszych lat coraz bardziej zaawansowaną i złożoną, uruchomiono produkcję. Na takim poziomie, że graficzny symbol zakładów kieleckich i całej spółdzielczości stał się w przedwrześniowej Polsce nie tylko symbolem, lecz równocześnie gwarancją najwyższej jakości” – napisał Zbigniew Biskup w publikacji „80 lat Wytwórczej Spółdzielni »Społem« w Kielcach”.

Szlachetne mydło

Na początku postawiono na produkcję mydła – i popyt, i o surowiec łatwo. 15 września 1920 r. ugotowano, w chałupniczych, trudnych warunkach pierwszą partię – 200 kg – szarego mydła gospodarczego. Po kilku miesiącach produkcja wzrosła do 13 ton mydła do prania, dla przemysłu, które poszło w Polskę. A po upływie roku fabryka zatrudniająca kilkanaście osób wytwarzała 300 ton!

I tu dotykamy fenomenu kieleckich zakładów – zawsze komuś chciało się być innowacyjnym, zapobiegliwym, nie wając trudu... Niebawem rozpoczęto w Zakładach Wytwórczych „Społem” produkcję mydła mozaikowego, na próbę. I tak zaczęła się ekspansja zapachowych mydeł toaletowych. Po trzech latach zatrudnienie w zakładach wzrosło do 89 osób.



W tym czasie było to największe przedsiębiorstwo w mieście. Fabryka miała także działający tartak i szykowała się do eksportu tarcicy.

Niebawem, w 1923 r., w jednej z wyremontowanych hal magazynowych rozpoczęto produkcję i klejenie papierowych torebek przeznaczonych do pakowania towarów sprzedawanych w sklepach „Społem” oraz uruchomiono produkcję nowego hitu sprzedażowego – czarnej pasty do butów, której technologię opanowali pracownicy kieleckich zakładów. Szli jak burza... W tym samym roku w tych zakładach uruchomiono rozlewnię oleju rzepakowego i lnianego. Niecałe dwa lata później, w 1925 r., rozpoczęto produkcję zapraw i past do podłóg, papierowych gliz (bibułki do skręcania papierosów) i tutek. Z wypracowanego przez siedem lat zysku zakłady miały odnowiony park maszynowy, a większość produkcji była zmechanizowana.

Kryzys niestraszny

Kryzys gospodarczy lat 20. XX w. w niewielkim stopniu odbił się na kondycji finansowej kieleckich zakładów. W 1930 r. tylko mieszkańcy Warszawy kupowali niemal 150 tys. kg mydła do prania, ponad 13 tys. kg pasty do butów, prawie 7 tys. kg proszku do prania i tyle samo mydeł toaletowych (miesięcznie).

Początek lat 30. minionego wieku to rozpoczęcie produkcji nowych artykułów w Zakładach Wytwórczych „Społem” w Kielcach. W 1931 r. uruchomiono wytwórnię świec stołowych. Rok później zakłady zainstalały jeden z pierwszych w Polsce, nowoczesny generator do produkcji octu. W 1932 r. ruszyła też produkcja „Musztardy kieleckiej”. Do wybuchu II wojny światowej w Kielcach otworzono linię wytwarzającą kostki bulionowe,



koncentraty i ziołowe przyprawy do zup, rozpoczęto produkcję drożdży. Podobnie jak wcześniej musztarda również te artykuły trafiły na większość stołów międzywojennej Polski.

Zakłady „Społem” zdobywały rynek, niestraszna im była konkurencja. Kostki bulionowe z sukcesem konkurowały z przyprawą maggi słynnego Szwajcara Juliusa Maggi. Ostatnim wydziałem uruchomionym w Kielcach rok przed wybuchem II wojny światowej była mała, ale najnowocześniejsza w kraju drożdźnia. „Pompatycznie ogłoszono w tamtych pionierskich latach, że w Kielcach dokonał się oto cud gospodarczy. [...] Z całego kraju zjeżdżały liczne wycieczki, by na własne oczy się o tym przekonać” – napisał Zbigniew Biskup.

Kataklizm wojenny

W latach 30. XX w. Zakłady Wytwórcze „Społem” w Kielcach były zespołem kilku wytwórni: mydła i artykułów kosmetycznych (mydlarnia produkowała 25 produktów – pięć rodzajów mydła do prania, 11 rodzajów mydeł toaletowych) i dziewięć rodzajów artykułów kosmetycznych (m.in. miętowy proszek do mycia zębów). Niektóre partie wysyłano do odbiorców w kartonach z obrazkami dla dzieci. W Kielcach wytwarzano

Zakłady Wytwórcze Związku Spółdzielni Spożyców RP „Społem” w Kielcach przy ul. Młynarskiej 20 – produkcja mydła, 1930 r.



w tym czasie również: pasty do obuwia i podłóg, chemiczne środki do czyszczenia, proszki do prania i szorowania, świece, wyroby papierowe, kostki bulionowe, przyprawy i zupy w proszku, ocet, musztardy i drożdże. Jak na niewielki zakład i kilkudziesięcioosobową załogę – asortyment bogaty i urozmaicony. Nad całością czuwał ówczesny dyrektor Józef Rządcki, doskonały fachowiec, człowiek wielkiego ducha.

Dynamiczny, wręcz pikowy rozwój zakładów przyhamował wybuch II wojny światowej. W 1940 r. do zakładów przyszedł Hans Müller, wojskowy komisarz, który nadzorował całą produkcję zakładów w Kielcach. Po wkroczeniu do Kielc oddziałów Wehrmachtu teren wytwórni został obsadzony posterunkami wojskowymi. Komisarz Hans Müller już w październiku 1939 r. rozpoczął grabież majątku – przez kilka miesięcy Niemcy wywieźli wiele ton zarekwirowanych produktów. Na szczęście nieoceniony dyrektor Józef Rządcki zdołał uratować część zapasów. Przez co najmniej pół roku zakład produkował mydło ze zgromadzonych zapasów tłuszczów. Uruchomiono system wsparcia dla potrzebujących pracowników – paczki z mąką, cukrem, tłuszczem, bibułkami papierosowymi. Dyrektor Rządcki wymusił na władzy komisarycznej częściową wypłatę pensji pracownikom w towarach z powodu galopującej inflacji. Zaczął kwitnąć handel wymienny. Za drożdże i bibułki papierosowe w pobliskich wsiach można było otrzymać mięso z nielegalnego uboju, kartofle, nabiał i samogon.



podjeżdżały furmanki. Pod pretekstem odbierania skrzyń z pastą do butów czy ze świecami chłopcy wywieźli materiał wybuchowy, który partiami dostarczali partyzantom.

Jesienią 1944 r. podczas oblavy Niemcy aresztowali i wywieźli do Obozu Gross-Rosen m.in. dyrektora Józefa Rządckiego, inżyniera Michała Zawadzkiego, innych kierowników działów produkcji – z ponad 20 osób zaledwie sześć przeżyło obóz. Tego samego dnia na przymusowe roboty do Niemiec wywieziono kilkudziesięciu pracowników, w tym inżyniera Mariana Słonia, pierwszego powojennego dyrektora zakładów, a później prezydenta Kielc

(styczeń 1945 r.) – udało mu się zbiec z transportu.

Historia z happy endem

Pod koniec 1944 r. komisarz wydał załodze ostatnie polecenie – demontaż i załadowanie parku maszynowego z zakładów. Transportem kolejowym miały odjechać do Rzeszy. I tym razem pracownikom udało się sabotaż – podmienili listy przewozowe i cały transport trafił do Kłomnic koło Częstochowy, gdzie został złożony w przygotowanych pomieszczeniach.

Po kilku miesiącach, w lipcu 1945 r., park maszynowy powrócił do Zakładów Wytwórczych „Społem” w Kielcach. W tym samym miesiącu zostały uruchomione wszystkie wydziały produkcyjne. Mydlarnia w początkowym okresie zużywała tłuszcze ukryte przed okupantem. Wytwórnia past działała dzięki prywatnym dostawom wosków i terpentyn. Pełną parą ruszyła octownia.

Ale... niebawem nastał czas nowego ekonoma. Komunistyczna władza żądała coraz większej wydajności produkcyjnej, nie zwracając uwagi na zdewastowane maszyny, kłopoty ze zdobyciem surowców. Innowacyjni pracownicy wpadli na pomysł i pod koniec 1945 r. obok drożdżowni zainstalowano aparat do odzyskiwania spirytusu z beczki drożdżowej. Rok później przystąpiono do rozbudowy tartaku.

...jak na drożdżach

Od 1950 r. w zakładach stawiano na maksymalizację produkcji drożdży. Ten wydział, z wydajnością 100 ton miesięcznie, był niewątpliwie jednym z najnowocześniejszych w kraju. Jego sposób produkcji nazywano w Europie „metodą kielecką”. Autorem technologii był kierownik wydziału Ignacy Kurek, kielczanin.

Wbrew niepokojom władz i załogi zakładów w Kielcach likwidacja gospodarczej działalności Centrali Spółdzielni Spożywców „Społem” (1950 r.) i podporządkowanie Centralnemu Związkowi Przemysłu

Źródło: Wytwórcza Spółdzielnia Pracy „Społem” w Kielcach

”

W Kielcach dokonał się cud gospodarczy. Z całego kraju zjeżdżały liczne wycieczki, by na własne oczy się o tym przekonać

W 1944 r. w zakładach pracowało prawie 500 osób. Taki „przerost” personelu był podyktowany względami politycznymi – chodziło o to, aby jak najwięcej ludzi miało legalne zatrudnienie, w tym osoby z konspiracji. Bohaterscy pracownicy pomagali ukrywającym się żołnierzom państwa podziemnego, dostarczali żywność oddziałom partyzanckim stacjonującym w Górach Świętokrzyskich, a także przyjęli na przechowanie kilka ton trotylu. Kilka dni później pod magazyn

Tłuszczowego korzystnie wpłynęły na przedsiębiorstwo (stabilne dostawy tłuszczów do produkcji mydeł toaletowych, pieniądze na konieczne inwestycje...). Po tych zmianach produkcja uległa pewnemu przeprofilowaniu – poza dominacją produkcji drożdży drugim produktem stały się środki czystości. Rozwinięto także i unowocześniono wytwarzanie past oraz świec.

I nastąpił znany w Polsce „fenomen” – sześć lat państwowego zarządu wystarczyło, aby zakład utracił dynamizm produkcji, sprzedaży, dopasowania wytwarzanych artykułów do potrzeb rynku. W 1957 r. zakłady w Kielcach ponownie przeszły do spółdzielczych struktur.

Podbój polskich stołów

W 1958 r. dyrektor Mieczysław Karpiniec, przedwojenny absolwent Politechniki Lwowskiej, stworzył w Kielcach Wydział Doświadczalny, w którym opracowywano receptury nowych produktów (wieloletni prezes Oddziału Wojewódzkiego NOT Kielce, zmarł w czerwcu 2012 r., przeżywszy 93 lata).

„To był przypadek. W księgarni na ulicy Sienkiewicza kupiłem wydaną w Moskwie książeczkę – Instrukcję dla robotników zakładów majonezowych. Nauczyłem się wtedy trochę rosyjskiego i zacząłem czytać. Było tam kilka rysunków urządzeń i taka »mniej więcej« receptu-

ra majonezu. Po wielu próbach, przede wszystkim smakowaniu nowego produktu, powstała w kieleckim zakładzie receptura produkcji majonezu, która z niewielkimi modyfikacjami jest aktualna do dziś. To nie było łatwe zadanie. Nie było żółtek w proszku, bo te produkowane w Radomiu w całości szły na eksport. Musieliśmy je wybijać w zakładzie” – wspominał jeden z pracowników zakładowego laboratorium (z Kroniki zakładów).

Okolo Wielkanocy 1959 r. powstawały w Zakładzie Doświadczalnym pierwsze partie majonezu, pakowane w 20-kilogramowych garnkach. Produkcja na skalę przemysłową rozpoczęła się we wrześniu tego roku. Linie produkcyjną i najważniejsze urządzenie – homogenizator – zaprojektował Rafał Ekielski (inżynier, konstruktor i budowniczy motocykli), przed wojną pracował w Kieleckich Zakładach Wyróbów Metalowych SHL SA.

Pierwsze partie majonezu miały na początku kilkuniedniowy, a później miesięczny okres przydatności do spożycia, ponieważ majonez z powodu szybkiego mieszania był zbyt napowietrzony i szybciej się psuł. W początkowym okresie nazywał się „Majonez stołowy” (było wiele produktów o tej nazwie). Do kieleckiego przylgnęła nazwa własna „Majonez kielecki” – i tak jest do dzisiaj, od 60 lat. Z firmowych archiwów wynika, że Kielce były pierwszym w Polsce producentem majonezu na skalę przemysłową.

REKLAMA

101/0119/F

SCORPIONS

CRAZY WORLD TOUR 2019

21 lipca 2019
Arena Gliwice

23 lipca 2019
ERGO ARENA Gdańsk/Sopot



BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige
MJM



Arena Gliwice



eprasa.pl 4d01dec8c9

DZIENNIK
ZACHODNI

trojmiasto.pl

Dziennik
Bałtycki

cgm.pl

wprost

Multikino

Emcy

4 GOLD

Gazeta

STRÖER

Perkusista

WIKON

WP

pap

Interia

EXPRESS

Panie do wybijania jaj

Piękny widok – przy taśmie siedziały panie, rozbiły tysiące jajek, wachały je i oddzielały żółtka od białek, a zepsute wyrzucały (w tym czasie nie było jeszcze jajek w proszku). Zostawało bardzo dużo białek. W Kieleckim Zakładzie Doświadczalnym, aby niczego nie zmarnować, opracowano metodę produkcji albuminy z białek. Kielecki zakład był w tym czasie jej jedynym producentem w Polsce (albumina ma zastosowanie przede wszystkim w produkcji wyrobów cukierniczych, garmażeryjnych i mięsnych). Jerzy Kudliński i Aleksandra Dobrut opracowali polską normę majonezu, która obowiązywała do 1994 r.

Mimo upływu niemal 60 lat „Majonez kielecki” (nr 2 na rynku) ma swoich fanów, tak jak „Majonez dekoracyjny” Winiar (nr 1 na rynku). Kielecki ma swoją stronę w serwisie YouTube, a spersonifikowany „Majonez kielecki” – kilkanaście tysięcy znajomych na Facebooku. O „Majonezie kieleckim” powstała książka („Historia dobrego smaku”) oraz awangardowa wystawa pt. „Stefan i majonez” – chodzi o Stefana Żeromskiego.

„Majonez kielecki” szybko stał się wiodącym wyrobem firmy i już w latach 70. XX w. stanowił 30 proc. produkcji całego zakładu. Innowacji było więcej. W tym okresie opracowano rewolucyjną na tamte czasy metodę produkcji octu. Pozwoliła na znaczące zwiększenie produkcji bez dużych nakładów inwestycyjnych. Tak zwana wgłębna fermentacja octowa rozwinięta w Kielcach stała się wzorem dla producentów z Polski i Niemiec. Obecnie „Kielecki” jest nie tylko na stołach rodaków, lecz również Polonii w Wielkiej Brytanii, Irlandii, Niemczech, Stanach Zjednoczonych oraz Australii.

Przysmak i transformacja

Na przełomie lat 60. i 70. XX w. w laboratorium zakładowym rozpoczęto dodatkowe prace badawcze, których celem było poszerzenie i udoskonalanie asortymentu. W tym czasie uruchomiono wytwórníę makaronów (nowoczesne linie produkcyjne zostały w części sprowadzone z Włoch). Oprócz tradycyjnych produkowano też mało znane wtedy w Polsce pierożki tortellini, powstał wydział koncentratów ciast. I wypuszczono na rynek nowy hit: „Snack – Przysmak świętokrzyski”, chrupki. Także w ich przypadku załoga wykazała się innowacyjnością. Linie do produkcji makaronu zostały przeprojektowane pod kątem nowego wyrobu i w latach 90. XX w. ruszyły pełną parą.



Wejście w życie Ustawy z dnia 20 stycznia 1990 r. o zmianie ustawy Prawo spółdzielcze spowodowało zlikwidowanie struktur gospodarczych, według których rynek funkcjonował przez ponad 40 lat. Wtedy też zlikwidowano Centralny Związek Spółdzielczości w Warszawie, właściciela Zakładów Wytwórczych „Społem” w Kielcach.

Jak ocalić fabrykę i miejsca pracy? Po konsultacjach z załogą zdecydowano się utworzyć spółdzielnię pracy. Tak powstała Wytwórcza Spółdzielnia Pracy „Społem”, do której przystąpiło większość pracowników zakładu. Stali się

udziałowcami nowej spółdzielni (ok. 60 proc. to członkowie spółdzielni, często członkowie rodzin pracujących tutaj przez dekady).

Od 1993 r. WSP „Społem” postawiła na eksport. Współpracuje z odbiorcami z 18 państw z czterech kontynentów. Zachowanie tradycyjnych procedur, wysoka jakość oferowanych produktów oraz smak zbliżony do wyrobów domowych sprawiły, że produkty Wytwórczej Spółdzielni Pracy „Społem” uznawane są za jedne z najlepszych na rynku. W portfolio firmy poza standardowym „Majonezem kieleckim” są musztardy i octy – sięgające tradycją lat 30. ubiegłego wieku; sosy, aromatyczne keczupy, przekąska „Snack – Przysmak świętokrzyski” oraz chemia gospodarcza.

Społem na prostej

Czas gospodarki wolnorynkowej mimo zaangażowania załogi dotknął także spółdzielnię w Kielcach. W 1997 r. prezesowi Jerzemu Misiakowi podziękowano za współpracę. Nie został wyrzucony, bo jako spółdzielca, a nawet członek założyciel, miał prawo, jak każdy ustępujący z zarządu, do pracy zgodnej z kwalifikacjami: został szefem produkcji i głównym technologiem.

W ciągu sześciu lat zmieniło się trzech prezesów, wymieniali się również zastępcy. Sytuacja finansowa firmy pogarszała się (zaległości w ZUS, problemy ze spłatą kredytów). Ostatecznie w 2003 r. rada zaproponowała Misiakowi powrót na fotel prezesa. Zgodził się. Razem z nim wrócili zastępcy i w prawie niezmiennym składzie pracowali przez kilka lat.

Obecnie WSP „Społem” w Kielcach jest na prostej. Zakłady zatrudniają niemal 400 osób z dobrymi pensjami i dywidendą z zysku.

Źródła: m.in. Zbigniew Biskup, „80 lat Wytwórczej Spółdzielni »Społem« w Kielcach”, Kielce 2000 r.; <https://echodnia.eu/majonez-kielecki-pochodzi-ze-zwiazku-radzieckiego>; www.wspspolem.com.pl/firma-z-tradycjami/nasza-historia; www.poradnikhandlowca.pl; <https://echodnia.eu/kiedys-robili-mydlo-dzisiaj-nas-karmia-i-to-jak>





APLIKACJA BANKOWA IKO PO RAZ KOLEJNY NAJLEPSZA NA ŚWIECIE



Bank Polski



Aplikacja mobilna IKO PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z lutego 2019 r., obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.



Moda na polskie krawiectwo

MARIO MENEZI to polska marka specjalizująca się w sztuce krawiectwa miarowego

Od ponad 25 lat właściciele firmy – Doro-
ta i Dariusz Pieniakowie – dbają o perfek-
cjonizm oraz misterność w procesie szy-
cia kreacji na indywidualne zamówienie.
Wszystkie projekty wykonywane przez ate-
lier domu mody MARIO MENEZI charak-
teryzuje klasyczny krój połączony z awan-
gardową stylizacją. Niepowtarzalnego stylu dodaje
jakość używanych tkanin, m.in. wysokogatunkowych
jedwab, muślinów, kaszmirów oraz wełen o unikatow-
ych splotach.

MARIO MENEZI, oferując unikalną sztukę trady-
cyjnego, włoskiego krawiectwa, prezentuje wachlarz
wyjątkowych umiejętności w dziedzinie szycia kreacji
na miarę.

Osoby korzystające z usług firmy MARIO MENEZI
otrzymują możliwość współrealizacji tworzenia pro-
jektu wedle własnej koncepcji oraz uznania – od po-
czątkowego procesu omawiania zamysłu stylizacji,
przez wybór materiałów (obok firmy znajduje się ma-
gazyn X.Qual-Tex z ponad 5 tys. włoskich tkanin), aż po
wykończenie.



Specjaliści domu mody, opracowując wstępny projekt, zwracają szczególną uwagę na modelowanie kroju, który ma na celu wyeksponowanie walorów sylwetki oraz zatuszowanie mniej atrakcyjnych kształtów. Klienci korzystający z usług MARIO MENEZI to osoby

świadome potrzeby dbania o własny wizerunek – odgrywa on ważną rolę w psychologii relacji społecznych, towarzyskich oraz zawodowych. Dobrze dopasowana garderoba ma pozytywny wpływ na poczucie własnej wartości oraz estymę.



Oferta MARIO MENEZI:

Moda damska – kreacje koktajlowe, wieczorowe, ślubne oraz okolicznościowe, odzież codzienna (casual), bogate kolekcje płaszczy, kostiumy, garnitury oraz produkty z naturalnych, wyselekcjonowanych skór.

Moda męska – garnitury, smokingi, płaszcze, marynarki, koszule, spodnie oraz dodatki.

Serdecznie zapraszamy!

MARIO MENEZI

Warszawa, ul. Wał Miedzeszyński 646

+48 609 660 850

EWA ROT-BUGA

Zdrowy businessmen – jak businessmen relaksuje się po pracy?

„Bez pracy nie ma kołaczy” – wie każdy, kto prowadzi własny biznes. Dajemy z siebie wszystko, wdramy, poszerzamy... żyjemy w morderczym tempie każdego dnia. Czy to sposób na rozwój w biznesie? Wiele osób powie: „Tak!”, lecz jeszcze więcej: „Tak, tak kiedyś myślałem, ale...”.

Co się kryje pod tym pełnym wahania „ale” i jak znaleźć prawdziwą receptę na sukces?

Przesilenie wiosenne – czy tylko?

Wczesna wiosna to czas, gdy wiele osób nie czuje się najlepiej. Wstajemy rano zmęczeni, w ciągu dnia jesteśmy senni i rozdrażnieni. Dokucza nam brak energii, a złe samopoczucie obniża wydajność, kreatywność i odporność na stres. Zakasujemy rękawy i zostajemy dłużej w firmie, a pracy wcale nie ubywa. Pracujemy dłużej, bo pracujemy dla siebie, a z przerażeniem obserwujemy, że idzie coraz wolniej, że trudniej nam się skupić, że coraz częściej ponoszą nas nerwy. Znamy ten scenariusz, ale co z tym robić?

Kiedy tworzymy nową jakość?

Sytuacja biznesmena jest podobna do sytuacji sportowca. Jeden i drugi nastawiony jest na sukces i ciężko na niego pracuje. Często też jeden i drugi popełnia ten sam błąd, czyli zapomina o regeneracji. W przypadku sportowca skutkiem jest kontuzja, w przypadku biznesmena – wypalenie lub choroba. Przemysław Owczarek, wielokrotny wicemistrz Europy w kulturystyce, opowiada: „Wielu adeptów kulturystyki myśli, że mięśnie buduje się przede wszystkim na treningach. Cisną więc, ile mogą, co skutkuje kontuzjami i regresem. Trening stymuluje mięśnie, ale rozbudowują się one w okresie



regeneracji”. Pozostając przy analogii biznesmena i sportowca, ten pierwszy – aby odnieść sukces – również musi odpoczywać.

Najlepsze pomysły rodzą się w ciszy

Ciężka praca to tylko część recepty na sukces w biznesie. Tak samo ważny jest odpoczynek, który regeneruje organizm. Nie odpoczniesz przed telewizorem, przeglądając internet czy kładąc się na kanapie z gazetą w rękę. Gdy twój organizm bije na alarm, warto wybrać taki rodzaj wypoczynku, który pozwoli na odbudowę zasobów energetycznych i wyciszenie umysłu. Nie tylko po to, by nie trafić w końcu do szpitala, lecz także dlatego, że większość kreatywnych pomysłów pojawia się nie wtedy, gdy pracujemy, ale gdy wypoczywamy.

Wypoczywając, nie tracisz czasu

Twoim największym sprzymierzeńcem w biznesie jest twój umysł – odpowiada za strategię negocjacji, kreatywne pomysły na zwiększanie sprzedaży, przewidywanie nowych trendów na rynku, analizowanie działań konkurencji i setki innych działań, które składają się na sukces firmy. Czy jednak potrafisz go świadomie „wyłączyć” i zaufać sobie na tyle, by mógł pracować „w tle”? Można to sobie ułatwić, korzystając z floatingu. I choć

osoby żyjące w ciągłym biegu niekiedy potrzebują czasu, by przestawić się na tę floatingową ciszę oraz „bezczynność”, to właśnie one mogą czerpać z niej najwięcej korzyści.

Floating – dla ciała i umysłu

Seans odbywa się w kapsule o kosmicznym kształcie – unosisz się na wodzie bez żadnego wysiłku niczym w Morzu Martwym, ponieważ zawiera ona dużo soli, w tym leczniczą sól EPSOM. Ściany kapsuły izolują od dźwięków i światła. Przypomina to stan lewitacji i powoduje, że mózg oraz całe ciało wchodzi w głęboki stan relaksacji. Floating zwalnia mózg z konieczności ciągłego przetwarzania informacji i ułatwia wejście w stan związany z kreatywnym myśleniem, dostępem do nieświadomych zasobów oraz budzącej się intuicji. Czasem pojawiają się luźne skojarzenia i natchnienie, tak cenne dla artystów oraz... biznesmenów! A godzina snu podczas floatingu to wypoczynek porównywalny z czterema godzinami snu w nocy. Już choćby dlatego warto spróbować.

Zabiegi w SPA – chwila zapomnienia

Sporą popularnością wśród biznesmenów cieszą się różnego typu masaże relaksacyjne w SPA. Miła dla ucha muzyka, zapach olejów, blask świec powodują, że masaż przynosi nie tylko korzyści dla ciała (rozluźnienie mięśni, redukcja bólu kręgosłupa), lecz także dla psychiki – chłoniemy go wszystkimi zmysłami, a dzięki temu w pełni się relaksujemy. Czasami jednak i to nie wystarcza – osobom szczególnie wyczerpanym pracą polecane są tradycyjne masaże orientalne, które dodatkowo harmonizują energię Chi w ciele. Co to znaczy?

Masaż orientalny – Bali w środku Warszawy

Tradycja wywodzi się z kultur Wschodu, gdzie od ponad 2 000 lat wierzy się, że Wszechświat i organizm człowieka przenika energia. W ciele człowieka ta energia krąży kanałami energetycznymi (meridianami). Łagodny i harmonijny przepływ energii to stan, w którym organizm jest zdrowy; zastoje są znakiem choroby. To, co różni zwykły masaż relaksacyjny od masażu balijskiego, to m.in. świadoma praca masażysty z energią Chi. Ma on szczególną moc regenerowania sił witalnych, które tracimy wskutek stresu, chorób, złych doświadczeń. Jest masażem głęboko relaksującym i odstresowującym, zmniejsza zmęczenie, pomaga na bezsenność, likwiduje

stres. Najlepiej, jeśli wykonują go masażystki pochodzące z Bali – które poznały jego sekrety w swej ojczyźnie – tak jak ma to miejsce w Studio Sante Uzdrawisko Miejskim. Mamy pewność, że doświadczamy prawdziwego masażu balijskiego, który aktywuje punkty akupresure i wzmacnia energię Chi.

Masaż peelingujący – relaks 2 w 1

Panie często wybierają rewitalizujący masaż peelingujący całego ciała Yonelle LUX, czyli peeling z lawy wulkanicznej w połączeniu z masażem całego ciała. Dlaczego to masaż idealny dla wymagającej bizneswoman? Specjalnie dobrane techniki pozostawiają na długo uczucie lekkości ciała i głębokiego odprężenia. Masaż peelingujący ujędrnia i pielęgnuje ciało, a jednocześnie oddala stres oraz zmęczenie. Pozwala wyciszyć emocje, oddziałując holistycznie na ciało, zmysły i odczucia, a to bardzo ważne, gdy organizm jest przemęczony stresem i pracą.

Twoja twarz w biznesie

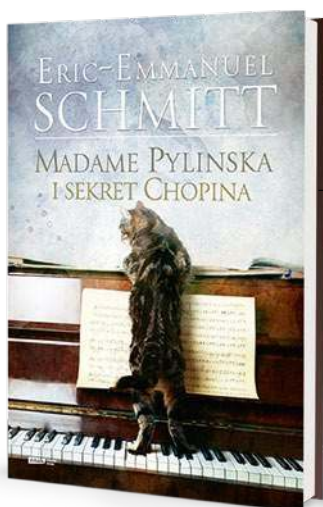
Czasem panie, by poczuć się lepiej, potrzebują po prostu poczuć się piękniejsze. W takich sytuacjach sprawdzają się zabiegi na twarz. Panie zaganiane w pracy nie mają czasu na wielokrotne powtarzanie procedur kosmetycznych i cierpliwe oczekiwanie na cud. Czasem polepszenie wyglądu jest potrzebne natychmiast – np. przed ważnym spotkaniem. W takich sytuacjach niezastąpiony jest zabieg DermaOXY, który liftinguje skórę twarzy, szyi i dekolту. Nazywany jest czasem zabiegiem gwiazd i stanowi alternatywę dla botoksu. – Pomaga w usuwaniu zmarszczek, poprawia kontur ust i rozjaśnia cienie pod oczami, a efekty są widoczne natychmiast, po pierwszym zabiegu – mówi Elżbieta Czajkowska, kosmetolog w Studio Sante. Panowie mogą wybrać zabieg Yonelle Man Vitalic, który nadaje męskiej twarzy świeży i zadbany wygląd. Redukuje dyskomfort związany z suchością skóry, a ponadto relaksuje, ponieważ jego częścią jest masaż szyi i karku.

Sposobów na relaks oraz regenerację po wyczerpującej pracy jest wiele. Ważne, by dobrać najbardziej odpowiedni dla siebie i zarazem taki, który nas zaskoczy. Bogatą ofertę ma Studio Sante Uzdrawisko Miejskie w Warszawie, gdzie oprócz floatingu, masaży orientalnych, rytuałów wellness i zabiegów na twarz anti-aging można skorzystać z kameralnej strefy saun i basenów, a w niej takich unikatów jak Ganbanyoku – japońska sauna skalna, czy Goldarium – wypoczywalnia z czystego złota. Jagiellońska 55 A – to adres wart zapamiętania. ●



K

ULTURA



„Madame Pylinska i sekret Chopina”

Eric-Emmanuel Schmitt, wyd. Znak

Schmitt wraca z niezwykle osobistą opowieścią o tym, jak pewien młody człowiek rozpoczyna swoją muzyczną edukację. Edukację u nauczycielki z Polski. W tej lirycznej opowieści mieszają się muzyka Fryderyka Chopina, wspomnienia z młodości autora i historia tego, jak można odnaleźć porozumienie pomiędzy dwoma wcale nie tak odległymi od siebie kulturami. Zdecydowanie jest to dobra literatura na wiosenne wieczory.



„Mój piękny syn”

reż. Felix Van Groeningen

Poruszająca opowieść o rodzinie, która musi się zmierzyć z największą tragedią – narkotykowym uzależnieniem syna. Znany z komediowych ról Steve Carell tym razem doskonale odnajduje się w skomplikowanej roli ojca przeżywającego problemy swego dziecka. Sam film jednocześnie nie epatuje nas drastycznymi obrazami narkomana sprowadzonego przez swój nałóg na samo dno, lecz wskazuje na emocjonalne zniszczenie, jakie narkotyki wywołują w życiu rodziny. Film subtelny i ciepły, ukazujący wielką siłę rodzicielskiej miłości.



Dave Matthews Band

25 marca, Torwar Warszawa

To będzie jedno z najważniejszych muzycznych wydarzeń tego roku! Dave Matthews Band po sukcesie koncertu w Trójmieście ponownie przyjedzie do Polski! Tym razem amerykańska grupa porwie publiczność 25 marca w hali COS Torwar w Warszawie! Każdy, kto zakupi bilet na ten koncert, otrzyma niespodziankę – link do pobrania płyty za darmo! Bilety na to niezwykle wydarzenie już dostępne. Wejściówki można nabywać poprzez stronę: www.prestigemjm.com.



„A Star is Born”

Bradley Cooper, Lady Gaga

„Narodziny gwiazdy” były jednym z najciekawszych filmów ubiegłego roku – ciepła, ale niepozabawiona tragizmu historia artysty country, który pomaga w karierze młodej śpiewaczce, była wydarzeniem głównie ze względu na znakomitą ścieżkę dźwiękową, bogatą w piosenki wykonywane przez głównych aktorów – Bradleya Coopera oraz Lady Gagę. Teraz można zdobyć też samą ścieżkę dźwiękową z filmu. Otrzymujemy 34 utwory, w tym kilka „dialogowych”. Świetna propozycja dla miłośników country i dobrego kina.



TELEWIZJA

W POLSCE PL

Wywiad gospodarczy



OGLĄDAJ CODZIENNIE O 12:05



NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825



Ponad 100 mld zł
na inwestycje w linie kolejowe, tabor,
dworce i rozwój przewozów intermodalnych
do 2023 roku.



www.pkp.pl